cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 11 987 indeks 211060 #174 11/2020

Ewa Polak-Pałkiewicz
ZWYCZAJNE CUDA ŚWIĘTYCH PAŃSKICH

Piotr Lisiewicz
JESTEŚMY GRUDĄ ZIEMI I SUMIENIEM ŚWIATA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

Xi idzie na wojnę

Pandemia COVID-19 potężną bronią w walce o dominację Chin

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT. IGOR KOVALENKO/PAP/EPA, ADOBE STOCK (3)

ISSN 1895-4960

TEMAT NUMERU ▼ 4–22

Xi idzie na wojnę / 4

IDEE ▼ 24–43

Zwyczajne cuda Świętych Pańskich / 24

HISTORIA ▼ 44–69

Jesteśmy grudą ziemi i sumieniem świata / 44

KULTURA ▼ 70–78

Zanim zamknęli muzea – trochę Warburga, szczypta baroku / 70

ŚWIAT ▼ 80–97

Kopalnia diamentów, której podobno... nie ma / 80

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Xi idzie na wojnę /4

Ryszard Czarnecki
COVID-19 a polityka /11

Hanna Shen
Chińska narracja w dobie pandemii /12

Przemysław Żurawski vel Grajewski
UE wobec pandemii COVID-19 /16

IDEE

Ewa Polak-Pałkiewicz
Zwyczajne cuda Świętych Pańskich /24

Tomasz Terlikowski
Ku sprawiedliwszemu światu /32

Małgorzata Matuszak
Dzieci ulicy /35

Jakub Augustyn Maciejewski
Spiskologia, czyli dlaczego teorie spiskowe są szkodliwe /38

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Jesteśmy grudą ziemi i sumieniem świata /44

Dariusz Jarosiński
Tyrmand. Obowiązki wolnego człowieka /50

Agnieszka Kowalczyk
Stanisław Wyspiański. Między Apollinem a Tanatosem /56

Tymon Terlecki
Żeromski prawdziwy /62

Rozmowa z generałem Klemensem Rudnickim
O wojnie z Niemcami w 1939 i o sowieckiej okupacji /65

KULTURA

Olga Doleśniak-Harczuk, Antoni Opaliński
Zanim zamknęli muzea – trochę Warburga, szczypta baroku /70

Krzysztof Karnkowski
„Kelner". Dusza w podróży /76

ŚWIAT

Stefan Czerniecki
Kopalnia diamentów, której podobno... nie ma /80

Antoni Rybczyński
Najdłuższa wojna nowożytnej Europy /88

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
Ideologia politycznej opozycji w Rosji /94

eprasa.pl 8308ffc301

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Żądają aborcji, wprowadzą eutanazję
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... symbolika światła
KATECHIZM INTELIGENTA 35

Marek Kalinowski
Domowe recitale
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 75

Ryszard Czarnecki
Ksawery Branicki, czyli daleko padło polskie jabłko od tar
CZARNECKO TO WIDZĘ 79

Marcin Wolski
Od powietrza, głodu, wojny...
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Postęp czy upadek
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska

Żądają aborcji, wprowadzą eutanazję

Czuję się upokorzona tym, iż tak wiele osób – nawet po tzw. prawej stornie – mówi o proteście kobiet, a wręcz, że rozumie emocje protestujących kobiet. Otóż jako kobieta i mama chcę powiedzieć jasno: proszę mnie nie łączyć z tym chamstwem. Proszę nie tworzyć wrażenia, iż wyuzdane, odrażające babsztyle są jakimiś moimi przywódczyniami i w choćby najmniejszym stopniu mnie reprezentują. Bo nawet sugestia, iż tak może być, jest dla mnie obraźliwa.

Efektem masowych protestów, przybierających formę imprez połączonych z niewyobrażalną wręcz agresją i prymitywizmem, będą masowe zgony. COVID zbierze śmiertelne żniwo nie tylko wśród tych, którzy na niego zachorują zarażeni zwielokrotnioną transmisją, lecz także wśród ludzi cierpiących na inne choroby, którym zdemolowana epidemią służba zdrowia nie udzieli na czas pomocy. Na ulicach w proaborcyjnych marszach biorą udział nie tylko zwolennicy zabijania dzieci, ale też po prostu siewcy śmierci. Przyznam, że już dawno w polskim życiu publicznym nie było zjawiska tak niszczycielskiego i bezwzględnego. Naganiacze i organizatorzy ulicznych sabatów mają krew na rękach i jeśli politycy opozycji łudzą się, iż dzięki partii „Wypier...ć" zbiją kapitał polityczny, to srodze się zawiodą. Bo są dla tej młodej tłuszczy elementem systemu, takim samym jak PiS. Nikt ani Budki, ani Kosiniaka na rękach nosić nie będzie. Dzicz bowiem nie wyszła po to, by zmieniać Polskę, ale po to, by się zabawić.

Do tej imprezy jest, rzecz jasna, mocno zachęcana – przez celebrytów, nauczycieli, wykładowców, media, które pompują jej ego, ogłaszając wszem i wobec, iż jest wspaniała, nowoczesna, ludzka – cokolwiek to ostatnie miałoby znaczyć. Sęk w tym, że prymitywizm – nawet nie wiem jak hołubiony – będzie tylko gorszy i bardziej niszczycielski. Ta „rewolucja" pożre swoich podżegaczy. Ale na początek pochłonie życie tysięcy Polaków, zdewastuje finanse państwa, sprowadzi biedę na wiele rodzin uczestników tego ponurego show. Dziś rozwydrzone panny krzyczą coś o swoich macicach, a za pół roku nie będą miały pieniędzy na nowe smartfony – bo to zdaje się szczyt ich aspiracji.

A teraz bardzo osobiście. Czuję się upokorzona tym, iż tak wiele osób – nawet po tzw. prawej stornie – mówi o proteście kobiet, a wręcz, że rozumie emocje protestujących kobiet. Otóż jako kobieta i mama chcę powiedzieć jasno: proszę mnie nie łączyć z tym chamstwem. Proszę nie tworzyć wrażenia, iż wyuzdane, odrażające babsztyle są jakimiś moimi przywódczyniami i w choćby najmniejszym stopniu mnie reprezentują. Bo nawet sugestia, iż tak może być, jest dla mnie obraźliwa. Nie – to nie są protesty kobiet, to nie są emocje kobiet, ta dzicz reprezentuje samą siebie, a nie kobiety.

Skończmy również z powielaniem piramidalnych bzdur wykrzykiwanych przez ten niedouczony tłum. Ciągle słyszę, że „kobiety nie mogą być zmuszane do rodzenia martwych dzieci lub takich, które za chwilę umrą". Otóż aborcja dziecka z wadą genetyczną – w tym z wadą letalną – polega na wywołaniu porodu, bólach porodowych i urodzeniu. Bo dotyczy nie „zlepka komórek", lecz dziecka niemalże wcześniaczego. Wad genetycznych nie wykrywa się w 8. czy 12. tygodniu ciąży. Chyba że ktoś chce wróżyć z fusów. Ale jeśli choroba ma być potwierdzona, to jest to możliwe ze względów biologicznych dopiero około 20. tygodnia. Koniec, kropka. Tak duże dziecko – około półkilogramowe lub większe – nie wchłonie się, nie zniknie, nie rozpuści ani nie wyparuje z macicy. Może opuścić ciało matki tylko poprzez poród, ze wszystkimi jego konsekwencjami.

Na to, co dziś widzimy na ulicach, trzeba również patrzeć jak na wyzwanie. Bo widać gołym okiem, iż brak edukacji, wiedzy, pozwala siać potworne spustoszenie w umysłach wielu ludzi i choć ta ocena nie jest żadnym odkryciem, to aktualna sytuacja – jak być może niewiele innych – dotkliwie to potwierdza. Działania instytucji państwowych muszą być nakierowane na budowanie wspólnoty i odpowiedzialności. To również gigantyczna misja dla Kościoła, który ewidentnie nie radzi sobie z tym zadaniem. I niestety nie zdał egzaminu, jakim są wobec niego te antychrześcijańskie erupcje. Gdzie są księża i biskupi? Trudno nie odnieść wrażenia, iż zostawili wiernych i postanowili przeczekać. W ogromnej większości wykazali się trudno wybaczalną krótkowzrocznością graniczącą z tchórzostwem. Zawiedli. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Piotr Grochmalski

Xi idzie na wojnę

Chiński prezydent Xi Jinping, przemawiając 20 października 2020 roku do żołnierzy w bazie wojskowej w południowej prowincji Guangdong, wezwał ich do „poświęcenia wszystkich umysłów i energii na przygotowania do wojny". Podkreślił, aby „utrzymywali stan wysokiej czujności". Napięcie między USA i ChRL osiągnęło poziom najwyższy od 50 lat. U ich podstaw są podejrzenia Stanów Zjednoczonych o czynny lub bierny udział komunistycznych Chin w pandemii koronawirusa, a także coraz bardziej agresywne działania ChRL wobec Tajwanu. Dzień przed wystąpieniem Xi Biały Dom powiadomił amerykański Kongres Stanów Zjednoczonych, że USA sprzeda Tajwanowi trzy zaawansowane systemy uzbrojenia.

FOT. IGOR KOVALENKO/PAP/EPA, ADOBE STOCK (3)

eprasa.pl 8308ffc301

eprasa.pl 8308ffc301

Bije po oczach to zestawienie – 8 mln 690 tys. zakażonych w USA i 225 tys. zmarłych na koronawirusa, a z drugiej strony w ChRL, gdzie wszystko się zaczęło, 85 790 zakażonych, a zmarłych 4634 – i to w populacji 1,4 mld ludzi, ponad cztery razy większej od amerykańskiej. A to oznacza, iż w Chinach jeden zakażony przypada na 16 237 osób! A jeden zmarły na 300 604. Szokuje to, gdy porównamy te zestawienia z USA, gdzie jedna zakażona osoba przypada na 37 ludzi. A jeden zmarły na 1449 osób. Liczby nie kłamią – w USA zmarło 49 razy więcej ludzi na koronawirusa niż w Chinach, a zakaziło się 101 razy więcej. Ludzi na świecie jest około 7 765 216 497, co daje średnią zakażeń w całej globalnej populacji na poziomie jedna osoba na 181 osób. Łączna liczba przypadków covidowych w Polsce [podane dane to stan na koniec października – przyp. red.] to 254 tys., uzdrowień 113 tys., śmierci 4438. Jedno zarażenie jest więc u nas na 149 osób, a więc 109 razy więcej. We Włoszech jest 526 tys. dotąd zarażonych, a zmarło 37 338 osób. A to oznacza, iż jeden zakażony przypada statystycznie na 115 osób, a jeden zgon na 1619 obywateli tego państwa, a więc 185 razy więcej niż w ChRL w przeliczeniu na liczbę ludności. Co jeszcze bardziej szokuje, w ChRL od marca 2020 roku występują znikome liczby zakażeń, dziennie około 20, a w tej chwili w kwarantannie lub leczeniu znajduje się 265 osób. Musi porażać ta dysproporcja.

Koronawirus a gospodarka

Według szacunków D. Clarka gospodarka UE skurczy się w 2020 roku o 8,3 proc. Według prognozy Fitch Rating PKB USA ma spaść o 4,6 proc., a w tym czasie ChRL uzyska wzrost na poziomie 2,7 proc. Jednak prognozy nie uwzględniały narastania na Zachodzie drugiej fali pandemii, co znów uderza w gospodarki tych państw. Równocześnie widać przyspieszanie ekonomiki ChRL. A polityka Pekinu staje się coraz bardziej agresywna. Według chińskiego Krajowego Biura Statystycznego, chińska gospodarka wzrosła o 4,9 proc. w kwartale od lipca do września 2020 roku w porównaniu z tymi samymi miesiącami ubiegłego roku, co oznacza, iż ChRL niemal wracają do około 6-procentowego tempa wzrostu, które odnotowywały przed pandemią. Eksport ChRL także zanotował silne pobudzenia, wzrastając we wrześniu o 9,9 proc. rok do roku, co oznacza czwarty miesiąc rosnącej sprzedaży zagranicznej – głównie dzięki wielkiemu popytowi na artykuły medyczne i elektronikę. A to oznacza, iż Chiny walczą o światową dominację, wykorzystując sytuację. Justin Lin Yifu, były kapitan tajwańskiej armii, który uciekł do ChRL w 1978 roku, a dziś jest rządowym doradcą, uważa, iż w wyniku epidemii koronawirusa chińska gospodarka zdominuje globalny wzrost i radykalnie zwiększy swoją finansową potęgę. Ale korzyści z tego czerpią głównie Chiny, ponieważ znacząco ograniczyły import. Ogromne inwestycje na rynku wewnętrznym w autostrady, koleje dużych prędkości i infrastrukturę miejską spowodowały stworzenie nowych miejsc pracy dla Chińczyków, ożywiły wewnętrzną konsumpcję, ale nie przełożyło się to na globalne ożywienie.

Chiński sen o rządach światem

Na początku obecnej dekady, w 2010 roku, emerytowany pułkownik Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej Liu Mingflu opublikował „Chińskie marzenie: myślenie o Wielkiej Potędze i strategia pozycjonowania Chin w post-amerykańskiej erze". Książka stała się swoistą biblią nowych Chin. Ukazywała rosnącą pewność siebie ChRL i roszczenia do światowej dominacji. Już na wstępie czytamy, iż „Przywództwo na świecie – oto chińskie marzenie od stu lat". Mingflu ukazuje w niej nadchodzący „pojedynek stulecia" między ChRL a USA i przedstawia strategię pokonania Stanów Zjednoczonych i przejęcia także kulturowej dominacji nad ludzkością przez Państwo Środka. Ekipa Xi Jinpinga po dojściu do władzy uznała za swój zasadniczy cel realizację Zhongguo meng, chińskiego marzenia. W podręcznikach dla wyższych uczelni podkreślano, iż po stuleciu hańby, gdy Chiny w okresie od 1840 do 1949 roku doświadczyły stu lat narodowego poniżenia od Zachodu, nadchodzi chińska epoka. Książka Mingflu przyjęta była też entuzjastycznie w szeregach armii, bo głosiła potrzebę stworzenia potężnych, zwycięskich sił zbrojnych.

Mao i historia

Mao Zedong stanowi nadal fundament komunistycznego państwa, które nie zdystansowało się do jego zbrodni. Partia i Xi ich nie dostrzegają, bo to oni mają wyłączne prawo do jej interpretacji. Podczas 19. kongresu partii Xi wygłosił 66-stronicowe przemówienie. Ukryte w nim było jedno zdanie: „Chiński sen to sen o historii, teraźniejszości i przyszłości". Bo to historia legitymizuje w ChRL sen komunistów o odrodzeniu potęgi. Jak pisze historyk Antonia Finnane: „Każdy kraj ma swoje mity narodowe, z których większość jest zakorzeniona w historii lub się z niej wywodzi; ale w Chinach podstawą jest sama historia. Republika Ludowa nie ma religii [...]. Nie ma już nawet rewolucyjnej ideologii. Po prostu ma długą historię. Aby spełnić chiński sen, konieczne jest – jak to określił sam Xi – zapewnienie ludziom »prawidłowego spojrzenia na historię«. Można zapamiętać tylko pewne epizody – inne mają być zapomniane. Jak ofiary Mao". Podczas konferencji w Moskwie w 1957 roku powie-

eprasa.pl 8308ffc301

dział: „Nie powinniśmy obawiać się wojny. Nie powinniśmy obawiać się bomb atomowych i rakiet. Nieważne, jaka wojna wybuchnie – konwencjonalna czy nuklearna – my wygramy. Chiny, jeżeli imperialiści wypowiedzą nam wojnę, mogą stracić przeszło trzysta milionów ludzi. I co z tego? Wojna to wojna. Miną lata, a my weźmiemy się do pracy i urodzimy więcej dzieci niż kiedykolwiek przedtem" – ten rubaszny i żartobliwy sposób, w jaki chiński przywódca opisywał hekatombę, zmroził nawet komunistów. Antonín Novotný, ówczesny przywódca Czechosłowacji, miał się żalić „A co z nami? W Czechosłowacji mamy tylko dwanaście milionów ludzi. W wojnie stracilibyśmy wszystkich. Nie byłoby nikogo, kto mógłby zacząć wszystko od nowa".

no obudzić czujność Waszyngtonu. W żadnym bowiem okresie zimnej wojny między USA a Związkiem Sowieckim Moskwa nie przekroczyła połowy potencjału gospodarczego Stanów Zjednoczonych. Thomas J. Christensen, który przez lata był gorącym zwolennikiem zbliżenia z ChRL, dziś uważa, iż żaden kraj nie zrobił więcej, aby zwiększyć potęgę Chin, niż USA. W dużym stopniu był to efekt skutecznej strategii Denga. Kultura strategiczna Państwa Środka opiera się na cierpliwym budowaniu przewagi, tak aby przeciwnik w porę nie dostrzegł, iż utracił możliwość skutecznej obrony. Swoim następcom zostawił zalecenie, by zachowywali ostrożność i uważali, aby Chiny nie starały się być liderem, a także aby ukrywali własne możliwości i zamiary. Te zasady kolejni przywódcy ChRL stosowali konse-

W 70. rocznicę utworzenia Armii Ludowo-Wyzwoleńczej ChRL Xi przyjął defiladę w bazie Zhurihe. Chińska telewizja pokazała narodowi armię gotową umierać za Xi. W imię wielkich Chin, w imię potęgi. Żadna inna armia na świecie nie jest dziś tak fanatycznie oddana swojemu przywódcy.

Mao i miliony jego ofiar

Naturalną puentą słów Mao była największa w dziejach Chin, ale także świata, katastrofalna, wywołana w okresie pokoju, klęska głodu w okresie 1958–1961. W długiej historii Państwa Środka żaden władca nie miał na swoim sumieniu tylu ludzkich istnień co Mao i jego reżim. Według ocen Franka Dikötter, holenderskiego historyka, autora przetłumaczonej także na polski książki „Wielki głód. Tragiczne skutki polityki Mao 1958–1962", w dramatycznych, nieludzkich warunkach zginęło wówczas 45 mln ludzi. Język chiński utrwalił w swojej pamięci odcisk tego dramatu – w chińskim języku „yi ze er shi" oznacza zamianę dzieci dla jedzenia. W niektórych wioskach ChRL dochodziło wówczas do kanibalizmu. Aby nie jeść własnych, zmarłych z głodu dzieci, rodzice wymieniali się ich ciałami z sąsiadami. Xi dorastał w takich Chinach. A Deng Xiaoping, twórca wielkiego sukcesu współczesnych Chin, miał swój niebagatelny udział w tamtych wydarzeniach.

Strategia Denga

Dwa lata po tym, jak Deng Xiaoping stał się faktycznym przywódcą ChRL, w 1980 roku chińskie PKB stanowiło 7 procent PKB Stanów Zjednoczonych. 35 lat później wynosiło już 61 procent PKB USA. Już to powin-

kwentnie. Dopiero Xi Jinping uznał, iż czas na przejście do drugiej fazy strategicznej rywalizacji z USA.

Już w 2021 roku, na setną rocznicę powstania KPCh, Chiny mają stać się społeczeństwem umiarkowanego dobrobytu, a na stulecie ChRL w 2049 roku ma się spełnić chińskie marzenie (Zhongguo meng) – wielki renesans Chin jako największej światowej potęgi (cel ten umieszczono w kontekście całych dziejów cywilizacji chińskiej). Według KPCh obecny „renesans chińskiej nacji" (Zhonghua minzu weida fuxing) jest trzecim takim przełomem (po epoce Han i po dynastii Tang), ma więc – z chińskiej perspektywy – stworzyć globalny porządek na stulecia oparty na chińskim systemie wartości. Dynastie Han i Tang trwały łącznie przez siedem stuleci i były epoką wielkiego dobrobytu Chin. Oznacza to, że Xi chce zapoczątkować nową wielką epokę panowania Państwa Środka nad światem i i zachodnią cywilizacją.

Czystki Xi i konsolidacja władzy

Zasadnicza walka frakcyjna w łonie komunistycznych elit rozegrała się przed 18. kongresem KPCh, który miał wyłonić nowego przywódcę po Hu Jintao. Gdy Deng Xiaoping, po śmierci Mao Zedonga, tworzył podstawy odrodzenia gospodarczego Państwa Środka, równocześnie stworzył mechanizm władzy, który uniemożliwiłby na przyszłość kult jednostki i kumulację władzy

eprasa.pl 8308ffc301

w rękach jednego człowieka. Miało to też chronić przed takimi gigantycznymi zbrodniami, jakich dokonał Mao. Zaczęła obowiązywać reguła dwóch kadencji, a także zasada kolegialnej władzy nad partią i państwem. To dziewięcioosobowy Stały Komitet Biura Politycznego KPCh był rzeczywistym głównym ośrodkiem władzy. Jednym z pewnych kandydatów do tego grona był Bo Xilai, kierujący partią w bogatym Chongqingu, uznawanym za największe mega-miasto świata, liczące wówczas 29 mln ludzi. Był też synem Bo Yibo, jednego z najbliższych współpracowników Mao Zedonga. W 2007 roku został członkiem komunistycznego Biura Politycznego, który był ostatnim przedsionkiem prowadzącym na sam szczyt. Miał wielkich protegowanych, Jiang Zemina, który stanął na czele partii po masakrze na Placu Niebiańskiego Spokoju, a także Zhou Yongkanga, nadzorującego w partii bezwzględne i brutalne chińskie służby. Jego frakcja została jednak pokonana przez środowisko Xi Jinpinga. Sam Bo Xilai tuż przed 18. kongresem KPCH został wyrzucony z partii. Po zdobyciu władzy Xi natychmiast rozpoczął jej konsolidację. Pod hasłem walki z korupcją dokonał gigantycznych czystek. Bo Xilaia skazał na dożywocie za korupcję we wrześniu 2013 roku (mniejsze wyroki dostała jego żona i syn). W 2015 roku na dożywocie skazano, budzącego dotąd respekt, Zhou Yongkana. Był to gigantyczny wstrząs dla partii. W 2016 roku skazany został też na dożywocie Ling Jihua, osobisty sekretarz poprzedniego genseka Hu Jintao.

W Chinach myśli tylko Xi, a reszta wykonuje

Ale Xi uderzył też w armię. Generał Xu Caihou, wiceprzewodniczący Centralnej Komisji Wojskowej, uniknął wyroku, umierając w trakcie procesu. W 2018 roku aresztowano byłego szefa sztabu generalnego ChALW, gen. Fang Fenghui, za współudział w próbie zamachu stanu, a gen. Zhang Yang popełnił samobójstwo podczas procesu przeciwko niemu. Łącznie skazano 31 byłych lub aktualnych członków KC KPCh, 122 ministrów i szefów prowincji, 36 generałów i 1,2 mln urzędników niższego szczebla. Otoczenie Xi, wykorzystując potęgę mediów, w pełni kontrolowanych przez partię, wykreowało go jako nieomylnego, genialnego, pełnego życzliwości przywódcę, którego można jedynie przyrównywać do Shi Huanga, pierwszego cesarza Chin, i do „Wielkiego Sternika", przewodniczącego Mao. Ich zdaniem Xi wyznaczył wizjonerskie cele na miarę tysiąclecia, skupione wokół „chińskiego snu" i „wielkiego odmłodzenia narodu chińskiego". Obudzić one miały chińską dumę i pchnęły społeczeństwo do pragnienia odbudowy Państwa Środka jako centrum globalnej cywilizacji. Konsolidację władzy Xi zakończyła nowelizacja konstytucji – w marcu 2018 roku – która wykreślała mechanizm dwóch kadencji. Andrew J. Nathan napisał: „Xi wyłonił się jako rewanż Mao nad Dengiem. Deng uczynił bowiem to, czego Mao obawiał się, że zrobią jego następcy – zakończył permanentną rewolucję. Natomiast Xi zrobił dokładnie to, czego najbardziej obawiał się po swoich sukcesorach Deng – odnowił jednoosobowe rządy". Odtąd w Chinach myśli tylko jeden – a reszta wykonuje.

> Chiny mają ogromny bank danych obejmujący systematycznie gromadzone informacje genetyczne o obywatelach, a także informacje o badaniach nad sekwencjonowaniem genomów i związanych z tym efektach badań biologicznych.

USA utraciły oczy i uszy w Chinach

W 2018 roku Z. Dorfman i J. McLaughlin ujawnili, iż w latach 2011–2012, a więc w momencie dokonującej się transformacji władzy w ChRL, Amerykanie stracili dziesiątki swoich kluczowych agentów w tym państwie. Stany Zjednoczone zostały pozbawione możliwości trafnej oceny rzeczywistych celów i projektów realizowanych w chińskich laboratoriach. Niemająca precedensu we współczesnym świecie władza, którą skumulował Xi, czyni z niego osobę równą chińskim cesarzom. Nawet bowiem Mao Zedong nie miał tylu instrumentów podporządkowywania sobie woli społeczeństwa. Powstający wokół jego osoby kult czynił go coraz bardziej podatnym na realizację wielkich wizji. Już za swego życia Xi pragnie symbolicznie zasiąść na tronie cesarza Państwa Środka. Xi, z jego otoczeniem, uznali, że Chiny stoją przed historyczną szansą zdominowania USA. Jednak model długotrwałej brutalnej wojny gospodarczej byłby zabójczy dla obu stron. Hen-

eprasa.pl 8308ffc301

ry Kissinger ostrzegał już w 2011 roku, iż „Przedłużająca się konfrontacja między Chinami a Stanami Zjednoczonymi zmieniłaby światową gospodarkę, powodując niepokojące konsekwencje". W chińskiej tradycji w takiej sytuacji poszukiwano zwykle miękkiej strategii – chodzi o zrobienie czegoś tak nieoczekiwanego lub wywołanie tak nieoczekiwanej zmiany, aby wymusić na przeciwniku porzucenie przygotowanych przez niego scenariuszy i aby druga strona zmuszona była do improwizowania, a w istocie do rywalizacji w warunkach przygotowanych wcześniej przez drugą stronę i dla niej korzystnej.

▶ Przygotowania do epidemii koronawirusa?

Z obecnej perspektywy dostrzec można, na podstawie dostępnych danych statystycznych, iż koronawirus zasadniczo strukturalnie osłabił Zachód, a w niewielkim stopniu i jedynie na krótko negatywnie wpłynął na Chiny, które wychodzą zwycięsko z tej batalii. Dało to podstawy propagandzie chińskiej do ukazywania chińskiego systemu politycznego jako bardziej uniwersalnego i zdecydowanie lepszego od demokracji. W tle kumulacji władzy przez Xi, a także ogromnych czystek, trwały przygotowania do stworzenia potężnego narzędzia totalnego nadzoru społecznego. Decyzję w tej sprawie podjęto w 2013 roku, kilka miesięcy po wyborze Xi na szefa partii. W dokumencie z 2014 roku określano, iż ma to być system wspierający rząd w takich obszarach, jak produkcja, finanse, ustalanie cen, ruch drogowy, handel, opieka zdrowotna. Ludzie też na masową skalę byliby oceniani pod kątem ich pracy – szczególnie ci, którzy funkcjonują w strukturach partyjno-administracyjnych, a także nauczyciele, lekarze, pracownicy mediów oraz oceniane byłoby ich zachowanie w Internecie. Analizowana byłaby też postawa obywateli wobec wymiaru sprawiedliwości. Szokujące było tempo budowania infrastruktury do stworzenia tego systemu. Już w 2016 roku zainstalowanych było 176 mln kamer monitorujących (USA – 62 mln), ale do 2020 roku miało być ich 0,6 mld – połączonych w system i nadzorowanych przez algorytmy AI. Ogromne zamówienia rządowe na programy i urządzenia wspierające ów projekt scoringu społecznego były lokowane wyłącznie w chińskich firmach kontrolowanych przez państwo.

▶ Chiny 5.0. Cyfrowa dyktatura

Kiedy w 2018 roku ukazywała się książka Kai Strimattera „Chiny 5.0. Jak powstaje cyfrowa dyktatura", nikt nie sądził, iż nowy kontekst pospiesznego wdrażania systemu scoringu nada pandemia. Decyzją partii, a partia to dziś Xi, mechanizm miał być uruchomiony do 2020 roku. W ramach eksperymentów poprzedzających jego uruchomienie, w prowincji Syczuan tamtejsza partia testowała system wyboru młodych działaczy komunistycznych w oparciu o algorytm, który śledzi ich wszystkie kroki i analizuje jakość stosunków międzyludzkich. System objął cztery obszary aktywności społecznej: działania na styku władza–obywatel, wszelką aktywność biznesową, cały obszar aktywności społecznej ludzi oraz wymiar prawnych interakcji obywatela z państwem. Informacje pozyskiwane z systemu są w coraz większym stopniu gromadzone w centralnych bazach danych i mają stanowić „infrastrukturę kredytową online". Wszyscy też mają być objęci systemem kar wymierzanych obywatelom – od sankcji ekonomicznych przez reglamentowanie dostępu do stanowisk i funkcji społecznych, ograniczanie możliwości nabywania określonych dóbr aż do odbierania prawa do przebywania w określonych obszarach życia codziennego (na przykład korzystania z komunikacji kolejowej czy lotniczej). W trakcie wybuchu epidemii koronawirusa na początku 2020 roku system ten został przetestowany i wzbogacony o nowe instrumenty. Chiny mają też ogromny bank danych obejmujący systematycznie gromadzone informacje genetyczne o obywatelach, a także informacje o badaniach nad sekwencjonowaniem genomów i związanych z tym efektach badań biologicznych.

▶ Chińska armia stawia na militaryzację biotechnologii

Przyjmijmy, iż jest to zwykły, niewytłumaczalny przypadek, że uruchomienie owej cyfrowej dyktatury, jak ją nazywa Strimatter, zbiegła się w czasie z pandemią. Ale równie intensywnie, decyzją partii, zaczęto rozwijać wówczas narodową strategię fuzji militarno-cywilnej (junminronghe), której zasadniczym celem jest przygotowanie armii do działań w wojnach, w których istotnym elementem będzie wykorzystanie AI powiązanej z biotechnologiami. Jeszcze w 2017 roku powstał Centralny Komitet ds. Nauki i Technologii podległy Centralnej Komisji Wojskowej KC KPCh, na czele której stoi Xi. Ta chińska DARPA [DARPA to amerykańska agencja rządowa zajmująca się rozwojem technologii wojskowej działająca w strukturach Departamentu Obrony – przyp. red.] miała dać nowe technologie armii. Dyrektorem Komitetu został gen. Liu Guozhi, który zainteresowany był rozwojem biotechnologii powiązanych ze sztuczną inteligencją. Amerykański analityk Elsa Kania sygnalizowała z niepokojem już w 2017 roku szereg eksperymentów chińskich, które przekraczały wszelkie granice etyczne – na przykład naukowcy chińscy stworzyli zarodki, które reprezentują „chimery ludzko-zwierzęce". Cuo Jiwei z Wojskowego Uniwersytetu medycznego opublikował w 2010 roku książkę o woj-

eprasa.pl 8308ffc301

nie o dominację biologiczną. Opisuje w nim zastosowanie biologii na polu walki. Chińska Armia Ludowa – jak pisała Kania – „zaczyna rozpoznawać biologię jako nową dziedzinę działań wojennych i podnosi jej znaczenie w myśleniu strategicznym". He Fuchu, prezydent Akademii Wojskowych Nauk Medycznych podkreślał, iż broń biotechnologiczna stanie się podstawą przyszłych działań strategicznych. Kania wprost sygnalizowała, iż „Niepokoją pewne elementy strategicznego myślenia ChALW o ofensywnym potencjale tych technologii". Na przykład nowy podręcznik dla kadry oficerskiej opublikowany przez Uniwersytet Obrony Narodowej ChRL zawiera cały rozdział poświęcony operacjom wojskowym realizowanym w dziedzinie biologii.

▶ Wzrost zainteresowania bronią biologiczną

Wiele innych danych ukazuje, iż chińska armia była i jest przygotowana do szerokiego wykorzystywania broni biologicznej. Dr Li-Meng Yan, wirusolog, która pracowała w Hongkongu w jednym z laboratoriów badawczych, twierdzi, że uciekła, aby ujawnić udział ChRL w pandemii. We wrześniu opublikowała ona pre-print artykułu naukowego na stronie internetowej Zendo, w którym twierdzi, że SARS-CoV-2, wirus powodujący COVID-19, został stworzony w laboratorium i nie jest pochodzenia naturalnego. Wywołał on szeroką dyskusję w świecie nauki. Wielu badaczy podważa przedstawione dowody przez Li-Meng Yan. Ale wystarczy uważnie prześledzić dziesiątki publikacji powstających po chińsku w środowisku wojskowych badaczy, aby dostrzec ogromny wzrost zainteresowania chińskiej armii bronią biologiczną. Stratedzy chińskiej armii uważają, że osiągnięcie „dominacji mentalnej" będzie miało kluczowe znaczenie w przyszłej rywalizacji wojskowej i pozwoli na zwycięstwo bez walki. Pandemia stanie się dla chińskiej propagandy twardym dowodem na zwycięstwo wschodniego ducha i organizacji nad zachodnią cywilizacją. Mao Zedong w swojej czerwonej książeczce napisał: „Jesteśmy zwolennikami zlikwidowania wojny, nam wojna nie jest potrzebna, ale zlikwidować wojnę można tylko poprzez wojnę. Aby nie było karabinów, trzeba chwycić za karabin". A jeśli dr Li-Meng Yan mówi prawdę?

▶ Armia Państwa Środka hołduje cesarzowi Xi

Szokujące wrażenie: potężna chińska baza Zhurihe w Mongolii Wewnętrznej, dziesiątki tysięcy mundurów, ludzie ustawieni jak żywe klony, wielka defilada siły i oddania. Dla jednego człowieka – Xi Jinpinga. To w tej bazie, o powierzchni ponad tysiąca kilometrów kwadratowych, dwie chińskie brygady starły się ze sobą w 2015 roku. Były tak samo wyposażone, ale „niebieska" była zorganizowana i walczyła na wzór amerykańskiej jednostki. Zmiażdżyła przeciwnika. Dowódca czerwonych, Wang Ziqiang, był zdumiony skalą porażki, a jego komisarz polityczny, Liu Haitao, popłakał się ze wstydu i wściekłości. W filmie wyemitowanym w państwowej telewizji tuż przed 19. Kongresem KPCh, w 2017 roku, Liu podkreślał, że był pewien zwycięstwa „Ale w ciągu siedmiu dni zostaliśmy pobici... przegraliśmy, ponieważ nie spełnialiśmy realistycznych standardów bojowych podczas szkolenia naszych żołnierzy" – powiedział. Film miał być czytelnym impulsem. Wielkie reformy armii, które Xi Jinping zapoczątkował w 2015 roku, trzeba przyspieszyć. W 70. rocznicę utworzenia Armii Ludowo-Wyzwoleńczej ChRL Xi przyjął defiladę w bazie Zhurihe. Chińska telewizja pokazała narodowi armię gotową umierać za Xi. W imię wielkich Chin, w imię potęgi. Żadna inna armia na świecie nie jest dziś tak fanatycznie oddana swojemu przywódcy. Nie wiadomo, jak to się stało. Kiedy ten uczeń Denx Xiuao Pinga zerwał z jego naukami i stał się współczesnym Mao Zedongiem? Chiny już się nie cofną. Xi już się nie cofnie. ■

Z obecnej perspektywy dostrzec można, iż koronawirus zasadniczo strukturalnie osłabił Zachód, a w niewielkim stopniu i jedynie na krótko negatywnie wpłynął na Chiny, które wychodzą zwycięsko z tej batalii. Dało to podstawy propagandzie chińskiej do ukazywania chińskiego systemu politycznego jako bardziej uniwersalnego i zdecydowanie lepszego od demokracji.

eprasa.pl 8308ffc301

Ryszard Czarnecki

COVID-19 a polityka

Pandemia koronawirusa nie odpuszcza. Co więcej, jest polityczną kartą w grze.

„Żeby już było normalnie" – wzdychamy od przeszło pół roku. Tymczasem należy sobie uświadomić, że, niestety, teraz normalnością jest... pandemia. I nic się nie zmieni, zapewne przez najbliższe parędziesiąt miesięcy. Amerykańscy eksperci oceniają, że pandemia potrwa do 2022 roku włącznie. Ale ci sami Amerykanie jeszcze parę miesięcy temu mówili, że koronawirus zostanie z USA wyparty... jesienią 2021 roku. Gdy wiosną czytaliśmy przecieki z brytyjskiego rządowego raportu, że COVID-19 nie zakończy się przed wiosną przyszłego roku, wydawało się to czasem niesłychanie odległym. Jak to? Czyli TO ma trwać jeszcze rok? Dziś każdy z pocałowaniem ręki wziąłby 2021 rok jako globalny, a choćby tylko europejski koniec pandemii.

Zatem to, co było kiedyś nienormalne, czyli masowa epidemia „korony", dziś jest normą. Statystyki zarażeń i zgonów, rosnący strach – to dziś chleb powszedni. I odwrotnie. Pełne stadiony, kina, sale koncertowe, „normalne" wesela i już nawet zwykłe rodzinne czy z przyjaciółmi pójście do restauracji – stają się czymś z „czasu przeszłego dokonanego", przedmiotem tęsknoty, rarytasem. COVID-19 zmienił świat. Zmienił nas. Wszystko jest inne, niż było.

Za chwilę będziemy wiedzieli, czy prezydent największego mocarstwa świata, który sam zachorował na koronawirusa, zapłaci najwyższą polityczną cenę za zlekceważenie pandemii. Jeśli Donald John Francis Trump przegra wybory w USA (oby nie), to będzie najbardziej spektakularną polityczną ofiarą pandemii. Premier Jej Królewskiej Mości Alexander Boris de Pfeffel Johnson też zlekceważył pierwsze tygodnie epidemii w Zjednoczonym Królestwie Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, ale na szczęście dla niego nie ma teraz wyborów do House of Commons, a pamięć ludzka, w tym brytyjska, bywa ulotna. Z kolei prezydent Rzeczypospolitej Andrzej Sebastian Duda (pozostając w kanonie wymieniania nie tylko pierwszego imienia) rozstrzygnął czerwcowe wybory na swoją korzyść także dlatego, że państwo polskie zdało „pandemiczny" egzamin wiosną 2020 roku. Polska była jednym z trzech pierwszych krajów – obok Danii i Czech – które zamknęły granice jeszcze w marcu. To była błogosławiona w skutkach decyzja, choć wtedy ostro skrytykowana przez przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen. Gdy po paru dniach jej kraj, Niemcy, też zamknęły granice, to szefowa KE już tego nie potępiła. Jak widać, koronawirus jeszcze bardziej uwidocznił unijne „double standards" – „podwójne standardy".

COVID-19 a polityka. Oczywiście pandemia jest polityczną kartą w grze. Przed chwilą pisałem, że Donald Trump może przez nią przegrać wybory, ale też może dzięki niej wygrać. Jest bowiem najbardziej konsekwentnym krytykiem Chin, które czyni odpowiedzialnymi za „wyhodowanie" wirusa i pandemijną lawinę. Pekin był dotąd dla Trumpa uosobieniem kraju, który może ekonomicznie „podbić" Amerykę, a teraz jeszcze stał się siedliskiem i roznosicielem śmiercionośnego wirusa, kolejnym wcieleniem Reaganowskiego „imperium zła".

Wydawałoby się, że Chiny, które wyeksportowały COVID-19, są w związku z tym – politycznie – na straconej pozycji. Nic bardziej mylnego. To światowe „mocarstwo numer 2" w ostatnich miesiącach obdarowuje milionami maseczek i środków dezynfekcyjnych kraje na kilku kontynentach, w tym Europę. Zostało to bardzo dobrze przyjęte przez wiele obdarowanych państw. Szef MSZ Włoch, Luigi di Maio, piał o pozytywnej roli Chin, które wspierają w potrzebie jego ojczyznę, porównując to z całkowitym brakiem pomocy ze strony Unii Europejskiej. Licytował się w ten sposób z najbardziej zagorzałymi eurosceptykami.

Ba, to polityczne skutki pandemii, czyli pozostawienie samych sobie Italii i Hiszpanii, i wynikający z tego euronegatywistyczny skręt opinii publicznej w tych państwach legł u podstaw nowego, unijnego „planu Marshalla", czyli Recovery Found, którego głównymi beneficjentami stały się właśnie Rzym i Madryt. Berlin z Paryżem woleli nie dawać paliwa eurosceptykom...

Jak widać, pandemia zmieniła też politykę, w tym międzynarodową. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Hanna Shen

CHIŃSKA NARRACJA W DOBIE PANDEMII

Komunistyczne władze Chin próbują wykorzystać kryzys związany z pandemią COVID-19 do pozycjonowania się jako rozważnego światowego lidera, który poradził sobie z koronawirusem. Ta oparta na kłamstwach i manipulacji taktyka zalewa globalną przestrzeń informacyjną, odwraca uwagę od rzeczywistej sytuacji w Chinach i od działań, które powinny doprowadzić do pociągnięcia Pekinu do odpowiedzialności za wywołanie pandemii.

eprasa.pl 8308ffc301

Komunistyczna Partia Chin (KPCh) próbuje przekonać zarówno swoich obywateli, jak i świat, że z sukcesem poradziła sobie z pandemią. I tak jak wielu Chińczyków z nieufnością podchodzi do danych podawanych przez ich własne władze, to na Zachodzie ta narracja zdobywa akceptację. Pojawiają się nawet głosy, że skoro w ChRL koronawirus przyniósł „tylko" ponad 90 tys. zakażeń i 4,7 tys. zgonów, a na przykład w USA to prawie 9 mln zakażonych i około 230 tys. zmarłych, to Państwo Środka może być wzorem dla świata w walce z pandemią.

Prawda jest jednak taka, że nie znamy prawdziwych danych dotyczących ofiar pandemii w Chinach, a musimy pamiętać, że Pekin ma długą historię przerabiania wszelakich statystyk. Na przykład pod koniec 2018 roku, gdy Pekin podawał, że wzrost PKB Chin wynosi ponad 6,5 proc., chiński ekonomista Xiang Songzuo podczas jednego z oficjalnych wystąpień stwierdził, że wzrost ten naprawdę wynosi tylko 1,67 proc. Xiang to nie byle kto, jest zastępcą dyrektora Międzynarodowego Instytutu Studiów Monetarnych na Renmin University i byłym głównym ekonomistą Agricultural Bank of China, jednego z czterech czołowych banków w ChRL, a zatem wie, co mówi.

Fałszywe liczby ofiar epidemii

Manipulowanie danymi dotyczącymi pandemii potwierdzają chińscy lekarze, pracownicy krematoriów i internauci. Pokazują to także oficjalne dokumenty, do których docierają dziennikarze.

Około 26 stycznia bieżącego roku w chińskim internecie pojawiło się nagranie jednej z pielęgniarek, która mówiła o 90 tys. zakażonych w Wuhan, epicentrum pandemii. Oficjalne dane mówiły wtedy o 1975 chorych. O dużo większej, od tej podawanej przez KPCh, liczbie zakażonych mówili także eksperci z Uniwersytetu Hongkońskiego. Gdy Pekin donosił o 2800 przypadkach zachorowań, hongkońscy badacze twierdzili, że jest już 44 tys. chorych. Z chińskimi oficjalnymi danymi nie zgadzają się także zachodni badacze. Raport naukowców z brytyjskich uczelni Uniwersytet w Lancaster i Uniwersytet w Glasgow oraz amerykańskiego Uniwersytetu Florydy stwierdza, że na początku lutego liczba zachorowań mogła wynosić 250 tys. tylko w samym Wuhan.

1 lutego internauci na Tajwanie i w Chinach informowali, że chiński gigant Tencent na swojej stronie internetowej zatytułowanej „Obserwator sytuacji epidemiologicznej" na krótko pokazał dane dotyczące koronawirusa w Chinach, które były znacznie wyższe niż oficjalne szacunki. Zdjęcia z licznika, który po kilku godzinach został zmodyfikowany tak, by pokazywał oficjalne dane, pokazywało 154 023 przypadki zachorowań. Liczba podejrzanych przypadków wynosiła 79 800, podczas gdy rządowe dane wskazywały cztery razy mniej. Wyleczonych było 268 osób, a oficjalne dane mówiły o 351. Tencent wskazał na 24 589 przypadków śmiertelnych, a Pekin podawał, że jest ich tylko 304.

Co więcej, jeszcze w kwietniu tego roku krematoria w Wuhan przyjmowały ciała osób, które miały umrzeć w wyniku niezidentyfikowanego zapalenia płuc. To oznacza, że wiele przypadków śmierci z powodu SARS-CoV-2 nie było oficjalnie rejestrowanych.

Gdy 25 marca ogłoszono koniec kwarantanny w prowincji Hubei, niektóre domy pogrzebowe zaczęły pozwalać miejscowym odbierać prochy swoich krewnych, którzy zmarli od lutego. Wtedy to chiński internauta, używający pseudonimu „Mao Daqing", opublikował na Weibo, chińskiej platformie społecznościowej będącej odpowiednikiem Twittera, zdjęcie długiej kolejki przed domem pogrzebowym w dzielnicy Hankou w Wuhan. Oryginalny post Mao został wkrótce usunięty przez władze, wzbudzając oburzenie wielu użytkowników Weibo. Niektórym internautom udało się skopiować oryginalne zdjęcie i ponownie umieścić je na swoich kontach. Internauci zaczęli zadawać pytanie, dlaczego fotografia została ocenzurowana. Czy dlatego, że mogła być dowodem na to, że liczba przypadków śmiertelnych w Wuhan była dużo wyższa niż oficjalne dane?

Według informatorów gazety „The Epoch Times" właśnie w tym samym krematorium w dzielnicy w Hankou w lutym w 20 piecach palono ciała przez całe doby. Takie obłożenie krematorium świadczy, że z powodu epidemii zmarło dużo więcej osób, niż podaje KPCh.

23 marca krematorium w dzielnicy Wuchang w Wuhan poinformowało, że od tego dnia będzie wydawać ciała zmarłych. Codziennie było to 500 urn. Wydawanie zostało zakończone po 12 dniach (4 kwietnia w Chinach jest Święto Zmarłych zwane Qingming Jie). W Wuhan jest osiem krematoriów. Oznacza to, że w ciągu 12 dni tylko jedno wydało około 6 tysięcy ciał. Zatem wszystkie przekazały 48 tysięcy urn. Należy jeszcze dodać, że od momentu blokady Wuhan do chwili, gdy krematoria otrzymały zakaz wydawania ciał, upłynęły dwa tygodnie. W tym czasie wydano 16 tysięcy ciał. Z tego wniosek, że od momentu izolacji epicentrum epidemii, miasta Wuhan, zmarło tam co najmniej 64 tysiące osób. Oficjalne dane mówiły wtedy o około 2 tys. zmarłych. Zatem rządowe dane mogły być zaniżone ponad 30 razy.

Inne materiały, do których dotarli dziennikarze gazety „The Epoch Times", pokazują, że oficjalne dane z prowincji Shandong dotyczące liczby zarażonych były zaniżane nawet 52 razy.

7 kwietnia, czyli dobę przed otwarciem Wuhan, Pekin ogłosił, że tego dnia nie było żadnych przypadków śmiertelnych. Tymczasem chińscy internauci publikowali filmy z tego dnia pokazujące, jak w nocy z różnych budynków w Wuhan wynoszone są ciała w workach.

Pod koniec marca hongkońska gazeta „The South China Morning Post" pisała, że do końca lutego w Chinach

FOT. YAN YAN/ PAP/PHOTOSHOT

eprasa.pl 8308ffc301

testy na obecność wirusa dały wynik dodatni u 43 tys. osób, które nie miały wówczas żadnych objawów. Takie osoby poddawano kwarantannie, ale nie wliczano ich do oficjalnego bilansu potwierdzonych zakażeń, który miał wynosić wówczas około 80 tysięcy. I tak naprawdę nawet dziś nie wiemy, ile w Państwie Środka jest takich bezobjawowych przypadków, które mogą dalej zarażać. A cały czas słyszymy też o wioskach i dzielnicach w kilku miastach w Chinach, które są ponownie zamykane. Nie robi się tego, ponieważ zachorowała tam garstka osób. To muszą być duże skupiska zarażonych.

Dezinformacji ciąg dalszy

Druga połowa roku w Chinach przyniosła zdecydowanie mniej zachorowań, ale cały czas dane przekazywane przez władze są niespójne. I tak na przykład 15 czerwca chińska Narodowa Komisja Zdrowia poinformowała, że dzień wcześniej w Pekinie zdiagnozowano koronawirusa u 36 nowych pacjentów. Jednak wewnętrzne dokumenty ze szpitala Ditan w Pekinie, o którym wiadomo, że obecnie leczy pacjentów z COVID-19, uzyskane przez „The Epoch Times", wykazały, że 14 czerwca placówka miała 375 pacjentów z gorączką – u 41 z nich dzień później zdiagnozowano COVID-19. Choć różnica w stosunku do oficjalnych danych wynosi 5, mimo wszystko pokazuje to, że chińskie władze wciąż nie mówią prawdy.

Kilka tygodni temu Pekin ogłosił kolejny sukces, twierdząc, że ponownie w czasie pandemii Chiny „wprowadziły świat w zachwyt".

Po wykryciu w pierwszej połowie października kilku grupowych przypadków COVID-19 w chińskim mieście Qingdao, władze chwaliły się, że w ciągu pięciu dni przetestowały prawie 11 mln mieszkańców tego miasta i wszystkie testy okazały się negatywne. Wielu mieszkańców Qingdao przyznało, że nie ufa jakości i dokładności testów, jakim zostali poddani.

Wyniki masowych testów w Qingdao kwestionuje też tajwański minister zdrowia i szef Centrum Dowodzenia Epidemiologicznego, Chen Shih-chung. Chen powiedział, że „niemożliwe" jest otrzymanie kilku milionów testów tylko negatywnych, ponieważ zestawy testów mają na ogół pewien procent błędu, dając wyniki fałszywie negatywne lub fałszywie pozytywne.

Chiński komentator polityczny Zheng Zhongyua w wywiadzie dla nadającej z USA dla chińskiej diaspory na całym świecie stacji radiowej Sound of Hope, powiedział, że masowe testy pokazały „zero przypadków" zakażeń, ponieważ chiński reżim chciał „utrzymać stabilność" przed ważnym wydarzeniem politycznym – piątą sesją plenarną XIX Komitetu Centralnego KPCh, pod koniec października

Choć władze komunistyczne starają się przekonać świat, że całkowicie poradziły sobie z pandemią, do podawanych przez nie danych dotyczycących zakażeń i ofiar śmiertelnych trzeba podchodzić zgodnie z sugestią jednego z lekarzy w Wuhan. Zapytany na początku kwietnia przez japońską agencję Kyodo, jak traktować te liczby, odpowiedział, że nie należy im ufać.

Trzeba zaciskać pasa

Chińska gospodarka wyszła z koronakryzysu, podczas gdy państwa zachodnie ekonomicznie się kurczą – to kolejna narracja, jaką KPCh puszcza w świat i która znajduje aprobatę, zwłaszcza w mediach, zarówno w Europie, jak i w USA.

Według oficjalnych danych PKB Chin wzrósł w III kwartale o 4,9 proc. rok do roku i 2,7 proc. kwartał do kwartału.

Jednak wspomniana wcześniej wypowiedź chińskiego ekonomisty Xiang Songzuo na temat prawdziwego stanu PKB z końca 2018 roku pokazuje, jak bardzo chińskie oficjalne dane mogą być dalekie od realiów. I to nie tylko dane rządowe. Potwierdza to m.in. tegoroczny skandal z siecią chińskich kawiarni Luckin Coffee, która miała być wyzwaniem dla amerykańskiego Starbucksa. W 2019 roku chińska firma zadebiutowała na amerykańskiej giełdzie Nasdaq. Jednak w połowie bieżącego roku okazało się, że Lucking Coffee zawyżył o 310 mln dolarów swój przychód za 2019 rok. Gdy skandal wyszedł na jaw, akcje firmy straciły ponad 90 proc., a zachodni inwestorzy przekonali się, że transparentność, jeden z filarów ładu korporacyjnego, nie dotyczy chińskich firm.

Ale mimo braku transparentności i przy dużej kreatywności chińskiej władzy w temacie danych dotyczący gospodarki, warto słuchać chińskich przywódców. To z ich wypowiedzi, bardziej niż z oficjalnie publikowanych danych, często można wywnioskować, jaki naprawdę jest stan chińskiej gospodarki.

12 października chińska agencja Xinhua podała, że premier komunistycznych Chin Li Keqiang na sympozjum dla przedstawicieli samorządów lokalnych powiedział, że sytuacja wewnątrz Chin jest poważna, że „niepewność wzrasta", więc władze na każdym poziomie muszą zaciskać pasa.

Kilka dni wcześniej na posiedzeniu wykonawczym Rady Państwa Li Keqiang stwierdził, że „obecnie nadal jest duża presja w kwestii zapewnienia zatrudnienia" i że „utrzymanie zatrudnienia może ustabilizować fundamenty gospodarcze".

Wiadomo, że spośród tych robotników, którzy wrócili do pracy, duża część zgodziła się pracować za połowę wynagrodzenia. W ogóle kwestia dochodów w ChRL to smutny temat. W maju premier Chin przyznał, że 600 mln ludzi ma miesięczny dochód w wysokości zaledwie 1000 juanów (około 560 zł).

Cały czas sytuacja nie wygląda ciekawie w kwestii pracy dla młodych. Według „The South China Morning Post" stopa bezrobocia wśród chińskich studentów w wieku 20–24 lata była we wrześniu o 4 proc. wyższa niż

eprasa.pl 8308ffc301

w tym samym okresie ubiegłego roku. Według badania przeprowadzonego przez Uniwersytet Renmin w Chinach, liczba wolnych miejsc pracy dla młodych ludzi w trzecim kwartale spadła o 5 proc. w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego roku, ale liczba osób poszukujących pracy wzrosła o około 20 procent.

Liczba absolwentów uczelni w tym roku osiągnęła poziom aż 8,74 miliona, z czego w lipcu bez pracy pozostawało 5,9 mln.

Rosnące bezrobocie oznacza wzrastające niezadowolenie społeczne, a to znowu może przynieść protesty. Według badania China Labour Bulletin (CLB) z Hongkongu, wykorzystującego informacje prasowe i monitorującego chińskie media społecznościowe, w ChRL w ostatnich miesiącach owo niezadowolenie związane ze wzrostem bezrobocia bardzo się podniosło. Już w marcu w jednym ze swoich z przemówień premier Li Keqianga stwierdził, że priorytetem po pandemii nie będzie wzrost gospodarczy, lecz zatrudnienie. Problem może być o tyle poważniejszy, że swoją produkcję z Chin wycofuje wiele firm amerykańskich, japońskich i tajwańskich.

Dlatego jak pisze singapurski „Business Times", chiński rząd zobowiązał na przykład wszystkie przedsiębiorstwa państwowe do stworzenia nowych miejsc pracy. Inną inicjatywą na rzecz zatrudnienia, jaką promuje władza, jest zwiększenie liczby rekrutów do wojska. Pekin apeluje również do bezrobotnych o znalezienie innych elastycznych miejsc pracy, takich jak sprzedawcy uliczni czy przedsiębiorczość internetowa.

▶ Odwrócić uwagę od odpowiedzialności

Dzisiejsza propaganda sukcesu – przekonywanie, że Chiny najlepiej z wszystkich państw na świecie poradziły sobie z pandemią i że teraz ich gospodarka triumfuje – służy przede wszystkim temu, by odwrócić uwagę od odpowiedzialności Chin za wybuch pandemii. Obranie takiej strategii sprawia, że kwestia odszkodowań nie istnieje. Odpowiedzialność KPCh jest oczywista i za mało się dziś o niej mówi. Władze Chin od początku kłamały w sprawie epidemii. Już na przełomie grudnia i stycznia było wiadomo, że chiński wirus przenosi się z człowieka na człowieka, ale Pekin, a za nim Światowa Organizacja Zdrowia, prawie do końca stycznia twierdziły, że jest inaczej. Teraz wiemy, że gdyby na początku roku podjęto zdecydowane kroki, najprawdopodobniej nie byłoby pandemii. A wiemy to z badań naukowców z brytyjskiego Uniwersytetu w Southampton opisującego, jaki wpływ na ograniczenie epidemii miały niefarmakologicze metody, w tym m.in. izolacja chorych, ograniczenia w podróży czy kordony sanitarne w Chinach. Brytyjczycy stwierdzili, że wczesna reakcja Pekinu, a nie zakłamywanie sytuacji, sprawiłoby, że mielibyśmy 95 proc. mniej chorych na COVID-19. To znaczy, że wirus nie wyszedłby poza prowincję Hubei, w której leży Wuhan, a my wiedlibyśmy normalne życie.

Ci z Chin, którzy próbowali wbrew władzy nas ostrzec lub nadal ostrzegają, płacą za to ogromną cenę.

Najbardziej spektakularnym przypadkiem było to, co spotkało okulistę Li Wenlianga. Ponieważ już w grudniu 2019 roku ostrzegał przed chorobą, był z tego powodu dwukrotnie zatrzymywany. Kazano mu również podpisać dokument, w którym przyznawał się, że rozsiewał plotki, co przyczyniało się do zakłócania porządku społecznego. Li po tym wszystkim wrócił do pracy w szpitalu, gdzie zarażony przez pacjenta koronawirusem – zmarł. Dziś Pekin za represje wobec Li wini policję i przyznaje, że lekarz był bohaterem. Oczywiście policja nie prześladowałaby Li, gdyby nie było rozkazu od partii. Dla wielu Chińczyków ten młody lekarz stał się bohaterem, a jego śmierć spowodowała, że internauci zaczęli domagać się wolności słowa, bo – jak pisali – gdyby w Chinach była wolność wypowiedzi, to doktor Li by ich, a prawdopodobnie nas wszystkich, uratował. Nie uratował. Za mówienie prawdy był torturowany. Dziś wiemy, że prawdopodobnie na rok przed śmiercią przyjął chrzest. Ale o tym partia i oficjalne media chińskie milczą.

W marcu zaginęła koleżanka po fachu Li Wenlianga, dr Ai Fen, ordynatorka oddziału ratunkowego Szpitala Centralnego w Wuhan. To ona wykryła pierwsze przypadki nowego koronawirusa u pacjentów, którzy zgłosili się do szpitala. Kilka dni przed zniknięciem, Ai Fen udzieliła wywiadu, w którym przyznała, że „gdyby lekarze zostali niezwłocznie powiadomieni" o wirusie, sytuacja wyglądałaby dużo lepiej. Opisała również, w jaki sposób była uciszana przez przełożonych.

Bardzo głośna jest także sprawa chińskiej wirusolog dr Yan Li-Meng. Jej samej udało się co prawda uciec do USA i napisać tam raport, w którym twierdzi, że wirus powstał w chińskim laboratorium. Doktor Li wraz z grupą naukowców w stworzonym dokumencie omawia kwestie dotyczące cech genomu i struktury wirusa, które wskazują na ręczną modyfikację. Przedstawia także prawdopodobną ścieżkę laboratoryjnego stworzenia SARS-CoV-2, której kluczowe etapy są poparte dowodami obecnymi w genomie wirusa. Doktor Li otwarcie mówi, że wirus od początku był idealnie dostosowany do przenoszenia się między ludźmi. Wskazała na specjalną strukturę białka obecnego w wirusie, która zwiększa zakaźność wirusa, a która jest nieobecna w naturze.

Za te informacje o pochodzeniu wirusa przedstawione przez Yan Li-Meng, KPCh postanowiła ukarać jej matkę mieszkającą nadal w Chinach. Na początku października 63-letnia kobieta została aresztowana. „Jestem jedynym dzieckiem w mojej rodzinie. Moja mama nie zrobiła nic złego. Jedyną rzeczą, za którą aresztują moją mamę i wysyłają ją do Pekinu, jest to, że mówię prawdę o COVID-19. Z tego powodu chiński rząd jest wściekły. To, co zrobili, to próba uciszenia mnie" – powiedziała dr Yan Li-Meng. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Przemysław Żurawski vel Grajewski

UE WOBEC PANDEMII COVID-19

Pandemia koronawirusa jest trzecim z rzędu kryzysem, z którym od 2008 roku musi borykać się Unia Europejska. Nakładając się na skutki poprzednich dwóch (zadłużeniowego w strefie euro i imigracyjnego) silnie wpływa na sytuację gospodarczą, społeczną i polityczną w UE, grożąc jej stabilności. Wyzwanie to, w swej naturze – medyczne, w istocie jednak, z uwagi na charakter UE, stanowi dla niej przede wszystkim problem gospodarczy, polityczny i wizerunkowy.

eprasa.pl 8308ffc301

FOT. ADOBE STOCK

epressa.pl 8308ffc301

Epidemia uderzyła w Europę 25 stycznia 2020 roku, kiedy to w raporcie Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) odnotowano pierwsze trzy przypadki infekcji COVID-19 na naszym kontynencie. Ilość zakażeń narastała odtąd lawinowo i w efekcie 13 marca WHO uznała Europę za epicentrum pandemii. Tempo i skala rozwoju infekcji COVID-19 były zróżnicowane w zależności od kraju. Pandemia dotknęła jednak wszystkie państwa członkowskie UE. Fakt ten w istotny sposób różni obecny kryzys od dwóch poprzednich. Podobieństwo zaś polega na tym, że pierwsza fala epidemii (o drugiej zbyt wcześnie wyrokować) dotknęła najmocniej – podobnie jak dwa poprzednie kryzysy – południową flankę UE.

Wybuch pandemii zaskoczył Unię i na początku Bruksela w istocie na nią nie zareagowała. Związane z przeciwdziałaniem pandemii zamrożenie gospodarek wprowadzane było w sposób nieskoordynowany przez każde państwo członkowskie UE osobno – w różnej skali i tempie. Sanitarno-medyczny sens tych posunięć nie niwelował jednak ich ubocznych skutków – wytworzonych przez nie poważnych problemów gospodarczych. W wymiarze medycznym reakcji na epidemię koronawirusa Unia okazała się bezradna. Rezygnując z dokładnej analizy przyczyn tego stanu, odnotujmy jednak, że nie była ona stworzona do reakcji na kryzysy pandemiczne i nie posiada po temu stosownych zdolności. Oskarżanie jej o brak efektywności na tym polu jest zatem dowodem bycia uwiedzionym przez wytworzony przez mainstreamową propagandę unijną obraz tej organizacji jako tworu bliskiego doskonałości. Obszarem merytorycznym, rzeczywistych działań unijnych z nadzieją na ich skuteczność i – co równie ważne – ze świadomością, że nikt poza UE nie ma szansy działać w tej sferze skuteczniej, jest natomiast jej reakcja na gospodarcze skutki epidemii koronawirusa.

Sytuacja wyjściowa

Unia została zaskoczona wybuchem pandemii w sytuacji określonej przez trzy podstawowe okoliczności towarzyszące: końcówkę debaty na temat Wieloletnich Ram Finansowych (WRF) UE 2021–2027, skalę zadłużenia państw Południa i doświadczenia kryzysu imigracyjnego. Debata finansowa przebiegała pod znakiem presji tzw. Klubu skąpców (Austria, Dania, Finlandia, Holandia, Niemcy, Szwecja) na głęboką redukcję budżetu unijnego, w tym cięć transferów środków pieniężnych do państw biedniejszych. Postulat ten, obecny od lat, ma swe źródło w presji wyborczej elektoratów, które wysuwają go, zainspirowane retoryką partii antysystemowych (Alternative für Deutsachland – AfD, Prawdziwych Finów, holenderską Partię Wolności – PVV itd.), krytykujących „Unię transferową", która „ciężko zarobione pieniądze pracowitych Niemców (Finów, Holendrów itd.) marnotrawi na leniwych Południowców lub zacofanych, niewdzięcznych i niesolidarnych biedaków ze Wschodu". Stereotyp ten narodził się w latach 2008–2012 w kontekście kryzysu zadłużeniowego południa strefy euro i Irlandii i stworzył napięcie między Południem (zależnie od punktu widzenia „eksploatowanym i pogardzanym" lub „leniwym i przejadającym dotacje"), a Północą (odpowiednio: „arogancką i dążącą do dominacji" lub „traktowaną jak bankomat"). Kryzys imigracyjny, który podobnie jak ten pierwszy najmocniej dotknął południową flankę UE, wzmocnił wzajemne pretensje między Północą („zapraszającą ustami Merkel nowe fale imigrantów, a potem odcinającą się od Południa przywracanymi kontrolami na granicach wewnątrz obszaru Schengen"), Południem („porzuconym i osamotnionym"), a Wschodem („niesolidarnym i niewdzięcznym"). Nie mniej masowa, lecz legalna i łatwo się integrująca imigracja z Ukrainy do Polski w tej narracji nie jest brana pod uwagę. Na dodatek w wyborach do Parlamentu Europejskiego z 2019 roku partie establishmentowe, mimo ostatecznego zwycięstwa, poniosły bardzo poważne straty. Przekonało to je, że lekceważenie presji antysystemowców, w sytuacji pogarszającej się koniunktury gospodarczej, może prowadzić do dalszej erozji ich popularności. Zapadnięcie się francuskiej sceny politycznej w 2017 roku, objawiające się marginalizacją tradycyjnie dominujących na niej partii (gaullistów i socjalistów), i podobne zjawisko we Włoszech (wyłonienie się jako dominujących sił Ruchu Pięciu Gwiazd komika Beppe Grillo, Ligi Salviniego i mniejszej partii Fratelli d'Italia) rok później, było groźnym memento dla unijnego mainstreamu. Żądanie ukrócenia transferów finansowych w budżecie UE ma więc mocne fundamenty polityczne i każdy rząd na Północy, starający się o odnowienie mandatu wyborczego, musi je brać pod uwagę, bez względu na gospodarczą sensowność czy nonsensowność takiego kroku.

Pierwszym państwem UE, w którym odnotowano przypadki infekcji wirusem COVID-19, była Francja. Największą skalę i natężenie pierwsza fala pandemii osiągnęła jednak we Włoszech i w Hiszpanii oraz w pozostającej w stanie brexitu Wielkiej Brytanii, w okresie przejściowym nadal objętej licznymi decyzjami polityki unijnej. Sposób i szybkość reakcji poszczególnych państw na wybuch epidemii były zróżnicowane w czasie intensywności, skali i naturze i przyniosły różne skutki. Abstrahując od osiągniętych rezultatów medycznych, dla zorientowania się

eprasa.pl 8308ffc301

w skutkach gospodarczych pandemii ważki jest wniosek, że liczba zarażonych i zmarłych nie może być realną „jednostką pomiaru" strat ekonomicznych. Przeciwnie, pobieżny i nieprawdziwy wywód logiczny mógłby wieść do odwrotnego wniosku, iż rządy, które zamroziły gospodarkę szybciej, głębiej i na dłużej, uratowały swych obywateli przed epidemią, ale pogłębiły jej skutki gospodarcze. Ta intuicyjna ocena zero-jedynkowej natury wyboru między zdrowiem i życiem ludzkim a kondycją gospodarki nie znalazła jednak potwierdzenia w badaniach.

▶ Początkowe działania UE i ich skutki polityczne

UE, mimo posiadania wyspecjalizowanej agendy w postaci Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (European Centre for Disease Prevention and Control – ECDC) spóźniła się z reakcją – nie ostrzegła państw członkowskich. ECDC w ślad za WHO zlekceważyło zagrożenie i nie wszczęło na czas alarmu. Początkowo, jak wspomniano wyżej, poszczególne państwa reagowały więc samodzielnie na wybuch pandemii. Przybrało to postać nieskoordynowanego zamykania granic, a we Francji i w Niemczech przejawiło się także konfiskatą sprzętu i materiałów medycznych niezbędnych do walki z pandemią i zakazem ich wywozu za granicę. Francuzi zatrzymali dostawy jadące tranzytem do Włoch, a Niemcy do Austrii. Wycofano się potem z tego ostatniego działania, ale szkody, które przyniosło ono w relacjach między państwami członkowskimi UE, obniżyły wzajemne zaufanie. Jednolity rynek UE w dniach 4–15 marca został bowiem w wymiarze medycznym de facto zawieszony na mocy decyzji Paryża i Berlina. Wszystko to wywołało, szczególnie we Włoszech, wrażenie odcięcia i porzucenia przez inne państwa członkowskie UE. Italia, która doświadczała częstego i w opinii Włochów pochopnego zamykania granic przez Austrię i Francję już w okresie kryzysu imigracyjnego, a której ważną gałąź gospodarki stanowi turystyka, odczuła to szczególnie boleśnie.

Początek kwietnia przyniósł pierwsze poważniejsze działania UE w zakresie reakcji na gospodarcze skutki pandemii. Stworzono program CRII (Coronavirus Response Investment Initiative) i CRII+ (Coronavirus Response Investment Initiative Plus) i co najważniejsze – w zasadzie zawieszono unijny zakaz udzielania pomocy publicznej. Rozpoczęto także dyskusję na temat sposobu kredytowania z budżetu unijnego programów odbudowy gospodarek po zniszczeniach wywołanych przez związany z pandemią lockdown, załamanie się turystyki, łańcuchów dostawczych i innych rozlicznych wywołanych nią stratach. Każdy z tych kroków okazał się jednak źródłem kolejnych napięć między państwami członkowskimi.

▶ Trzy obozy: Północ („Klub skąpców"), Południe (ofiary pandemii), Wschód („Klub przyjaciół polityki spójności")

Środki finansowe, użyte w programach CRII i CRII+, nie były nowymi pieniędzmi z budżetu UE, lecz sumami przekierowanymi z funduszy spójnościowych już rozdysponowanych między państwa członkowskie w ramach unijnej polityki regionalnej. Zasady ich dystrybucji były więc zgodne logiką tejże polityki, a nie z potrzebami wynikającymi z reakcji na COVID-19. Państwom, którym przyznano te pieniądze, pozwolono je wydać na walkę ze skutkami gospodarczymi pandemii, a nie na cele określone regułami polityki regionalnej. Zawieszono także liczne ograniczenia w uzyskiwaniu tych funduszy, jak na przykład konieczność wniesienia do współfinansowanego przez UE projektu określonego procentowo wkładu własnego. Decyzja o powołaniu CRII i CRII+ została podjęta i program uruchomiony szybko. Było to niewątpliwą zaletą działania UE w tym wymiarze. Przyjęte w pośpiechu reguły skutkowały jednak sporami politycznymi. Ich najlepszym przykładem była burzliwa debata w parlamencie Niderlandów, krytycznym wobec wspomnianej „unii transferowej". Stworzony system odpowiadał jednak w gruncie rzeczy „Klubowi skąpców", którego najaktywniejszym członkiem jest właśnie Holandia. Parlamentarzyści, szczególnie opozycyjni, nie zawsze jednak rozumieją kulisy gry międzyrządowej. Tymczasem rzeczony „Klub skąpców" w istocie osiągnął swój cel polityczny, w postaci uniknięcia wyasygnowania nowych sum na oba programy. Dodatkowym zyskiem politycznym tego ugrupowania było podjęcie próby rozegrania przeciw sobie państw Południa i Wschodu UE. Sposób podziału funduszy obliczony był bowiem na zainicjowanie rywalizacji o nie między „niesłusznie obdarowanym" Wschodem a „pokrzywdzonym" Południem. Największe środki w liczbach bezwzględnych w ramach programu CRII otrzymały Polska, Węgry i Rumunia, a w procencie PKB Węgry, Litwa i ex aequo Łotwa oraz Słowacja, a nie – odnotowujące największą liczbę infekcji i ofiar śmiertelnych – Włochy, Hiszpania i Francja. Wytworzona sytuacja obiektywnie popychała ku „Klubowi skąpców" Włochy i Hiszpanię w tym zakresie, w jakim jego celem pozostaje ograniczenie transferów środków unijnych do państw członkowskich UE z Europy Środkowej. Rzecz nie jest jednak tak prosta. Ani Włochy, ani Hiszpania nie są bowiem zainteresowane redukcją

eprasa.pl 8308ffc301

budżetu polityki spójności, Francja zaś, z uwagi na wpływowe lobby farmerów, nie może poprzeć cięć w budżecie Wspólnej Polityki Rolnej. Polityka rolna i regionalna są zaś głównymi pozycjami budżetowymi, w ramach których następuje największy transfer środków finansowych UE na Wschód. Wyżej wskazane zawiłości można jednak objaśnić na seminarium akademickim lub w gronie ekspertów. W komunikacji z wyborcami trzeba natomiast brać pod uwagę ich emocje, a te i za Pirenejami, i za Alpami są niemałe. Emocje zaś, choć nie są dobrą podstawą kalkulacji ekonomicznych, to są naturalnym obszarem gry wyborczej. Jak wskazano wyżej, liczba zakażonych, chorych i zmarłych na COVID-19 nie jest jednostką pomiaru strat gospodarczych wynikłych z pandemii. Trudno jednak z taką tezą wystąpić na wiecu wyborczym. W przyciąganiu elektoratu tak Północy, jak i Południa do poparcia pomysłu redukcji „nadmiernych" transferów funduszy na Wschód, hasło „niesprawiedliwego" podziału środków na walkę ze skutkami koronawirusa jest więc bardzo użyteczne i na Południu działa przeciw Wschodowi, a na korzyść politycznych interesów „Klubu skąpców" z Północy.

▶ Zawieszenie zakazu pomocy publicznej – groźba zniszczenia jednolitego rynku UE

Groźba upadku licznych firm w wyniku wywołanych pandemią koronawirusa rządowych decyzji o zamrożeniu gospodarek skutkowała radykalnym złagodzeniem zasad udzielania pomocy publicznej z budżetów państw członkowskich dla przedsiębiorstw prywatnych. Stosowną decyzję Komisja Europejska (dalej: KE) ogłosiła 20 marca 2020 roku. Był to krok powszechnie oczekiwany i niezbędny gospodarczo, politycznie i społecznie. Bez niego niemożliwa byłaby jakakolwiek poważna walka z ekonomicznymi skutkami pandemii. Pozostawienie bankrutujących firm samym sobie groziłoby masowymi bankructwami, bezrobociem i w ślad za tym buntem społecznym. Zakaz pomocy publicznej, obowiązujący w UE przed 20 marca, miał jednak uzasadnioną przyczynę. Pozostawienie rządom swobody w zakresie dotowania rodzimych przedsiębiorstw w warunkach jednolitego rynku europejskiego uniemożliwiałoby uczciwą konkurencję między państwami o tak zróżnicowanym potencjale jak Niemcy i Malta (by podać skrajności), ale nawet odrzucając ekstrema, jest oczywiste, że nikt nie jest w stanie konkurować na dotacje z budżetem RFN i Francji. Wprowadzone na mocy Jednolitego Aktu Europejskiego z 1986 roku i obowiązujące od 1987 roku cztery swobody europejskie (swoboda przepływu ludzi, dóbr, usług i pieniędzy) nie byłyby możliwe. Bogate państwa o dużych budżetach, wobec braku w ramach jednolitego rynku barier celnych, kontyngentów importowych itp. instrumentów ochrony rynku wewnętrznego państw uboższych przed silniejszą konkurencją zewnętrzną, byłyby bez tych zakazów zawsze w stanie przelicytować w swych dotacjach biedniejsze kraje i zniszczyć ich przedsiębiorców, zapewniając własnym pozycję monopolisty. Pandemia tego nie anulowała. Wprowadzone w jej wyniku praktyczne zawieszenie zakazu pomocy publicznej i uproszczenie procedur starania się o fundusze z państwowych środków budżetowych, na które zgodziła się KE, obok pożądanych, a co więcej niezbędnych skutków pozytywnych – tzn. umożliwienia rządom ratowania gospodarek narodowych rujnowanych skutkami epidemii, przyniosło i skutki negatywne. Zapewniło najbogatszym państwom UE uprzywilejowaną pozycję, wydatnie zwiększając różnice w zdolności do konkurowania firm z bogatych państw członkowskich Unii z firmami z państw biednych. Jak długo obowiązywały surowe ograniczenia w zakresie pomocy publicznej, tak długo, przynajmniej w teorii, przedsiębiorstwa polskie, portugalskie, greckie czy rumuńskie rywalizowały w ramach jednolitego rynku europejskiego z firmami niemieckimi, francuskimi, holenderskimi czy skandynawskimi na tych samych zasadach. Po zawieszeniu tych ograniczeń, nawet teoretycznie nie jest to możliwe. Istnieją dwa sposoby rozwiązania tego problemu. Można albo z wykorzystaniem Funduszu Odbudowy hojniej wesprzeć biedniejsze kraje UE, albo zmienić obowiązujące – zliberalizowane zasady pomocy publicznej, biorąc pod uwagę zróżnicowane możliwości budżetowe konkretnych państw. Wagę wskazanego problemu potwierdzają dane dotyczące zatwierdzonej do końca kwietnia 2020 roku przez KE pomocy publicznej w poszczególnych państwach UE. Osiągnęła ona łączną wielkość 1,95 bln euro. Państwa Europy Środkowej spoza strefy euro wyasygnowały jak na swe możliwości dużą ilość środków do walki z gospodarczymi skutkami pandemii. Mimo to, już pod koniec kwietnia pakiet niemiecki stanowił aż 56 proc. całej zatwierdzonej przez KE unijnej pomocy publicznej, francuski 18 proc., włoski 11 proc., a belgijski 3 procent. Wśród pozostałych pakietów poszczególnych państw członkowskich żaden nie przekraczał zaś 1 proc. łącznie przyznawanej w UE pomocy publicznej. W kolejnych miesiącach rozziew między dotacjami przede wszystkim niemieckimi dla firm niemieckich a tymi udzielanymi z budżetów innych państw dla ich rodzimych przedsiębiorców jeszcze się powiększył. Na początku lipca KE zatwierdziła niemiecki pakiet pomocy publicznej dla niemieckich podmiotów gospodarczych w wysokości 500 mld euro. Aprobowanie przez KE

eprasa.pl 8308ffc301

tej sytuacji wiedzie do wytworzenia miażdżącej przewagi konkurencyjnej firm z najbogatszych państw UE nad tymi z biedniejszych krajów, których budżety nie pozwalają na podjęcie wyścigu na dotacje z unijnymi gigantami. Konsekwencją tego stanu rzeczy mogą być masowe bankructwa i bezrobocie w państwach o słabszej gospodarce, a w ślad za tym wzrost popularności partii radykalnie antyunijnych i rozpad jednolitego rynku UE, a w konsekwencji i Unii jako takiej.

▶ Fundusz odbudowy gospodarki – spór o charakter „koronaobligacji"

Na spotkaniu ministrów finansów państw strefy euro (7–9 kwietnia 2020) odbytym w formule inkluzywnej (tzn. z udziałem ministrów państw członkowskich UE spoza eurolandu) ustalono wstępne programy finansowego wsparcia dla państw członkowskich Unii w warunkach pandemii. Dotyczyły one jednak wyłącznie finansowania walki z bezrobociem i opieki zdrowotnej. Na tym etapie nie podjęto jeszcze decyzji o powołaniu Funduszu odbudowy gospodarek, choć obietnica jego utworzenia padła. Przedmiotem sporu był sposób kredytowania pożyczek, które miały być udzielane w jego ramach. Unia podzieliła się na dwa obozy. Północ („Klub skąpców") żądała, by środki pomocowe oddane do dyspozycji wnioskujących o nie państw miały charakter „trudnych pieniędzy" – tzn. były obwarowane polityczną kontrolą instytucji unijnych nad programami uzdrawiania gospodarek kredytobiorców i ich wdrażaniem oraz by ich celem było uniknięcie kumulacji wydatków w czasie, a nie zastąpienie środków narodowych środkami unijnymi – tzn. by były spłacane. Państwa Południa (w tym Francja) dążyły natomiast do uwspólnotowienia „długów koronawirusowych". W ich koncepcji Fundusz odbudowy miał dostarczać bezzwrotnych grantów, z łagodnymi warunkami ich uzyskania. Wynikało to z faktu, iż Południe jest silnie zadłużone. Dług publiczny Włoch wynosił w czwartym kwartale 2019 roku (tzn. przed wybuchem epidemii) 134,8 proc. PKB, Francji 98,4 proc. PKB, zaś Hiszpanii 95,5 proc. PKB. Obecnie do tych wskaźników trzeba by dodać co najmniej po 20 procent. Na tym etapie negocjacji Wschód UE – którego największe państwa: Polska, Rumunia, Czechy, Węgry i Bułgaria – pozostają poza strefą euro, dbał zasadniczo o to, by przyjmowane regulacje dotyczyły wszystkich państw członkowskich UE, a nie tylko eurolandu. W ustaleniach dotyczących strefy euro siłą rzeczy zaś nie uczestniczył. O ile jednak dwa najbiedniejsze państwa regionu – Bułgaria i Rumunia – znalazły się w trudnym położeniu, o tyle Polska, Czechy i Węgry pierwszy etap pandemii przeżyły w stosunkowo dobrej kondycji gospodarczej. Zachowały zdolność zaciągania kredytów zewnętrznych po niewygórowanych cenach, kursy ich walut dostosowały się do nowych warunków, przyczyniając się tym także do amortyzacji skutków kryzysu i potwierdzając użyteczność posiadania walut narodowych, a jedyne zastrzeżenie do tej optymistycznej oceny wynikało z niezdolności przewidzenia głębokości kryzysu oraz czasu wystąpienia, trwania i skali ewentualnych kolejnych fal pandemii.

Nadmierne ambicje Południa – w tym Francji – w zakresie „uwspólnotowienia długów koronawirusowych" 5 maja 2020 roku skontrował niemiecki Federalny Trybunał Konstytucyjny (FTK), uznając w precedensowym wyroku, że Europejski Bank Centralny naruszył prawo w sprawie QE (tzw. luzowania ilościowego), a orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) w tej kwestii wykraczało poza kompetencje tej instytucji. Zablokował tym samym skup obligacji państw Południa, dokonywany w ramach unijnego programu PSPP (Public Sector Purchase Programm).

Rozdźwięk w łonie „starej" UE starały się zminimalizować Niemcy i Francja. 19 maja oba państwa ogłosiły wspólny projekt powołania Funduszu odbudowy (Recovery Fund) w wysokości 500 mld euro. Był on politycznie i gospodarczo korzystny dla Północy i dla Południa, ale zupełnie nie do przyjęcia dla Wschodu. Unia miała zaciągać na międzynarodowych rynkach finansowych długi i z tych środków finansować pomoc dla państw członkowskich. Zadłużenie to byłoby więc długiem unijnym, a nie długiem poszczególnych państw kredytobiorców i spłacane byłoby solidarnie przez wszystkie państwa członkowskie, składające się na Fundusz odbudowy. Nie sprecyzowano, co miałoby być podstawą kalkulacji udzielanego wsparcia – ofiary ludzkie COVID-19, straty gospodarcze czy kombinacja tych dwóch czynników. Nie wymieniono jednak jako czynnika, który powinno się brać pod uwagę, generalnej zamożności danego kraju (PKB per capita) i zupełnie pominięto problem wynikający z liberalizacji zasad pomocy publicznej, czyli zdolność finansowania odbudowy przez poszczególne budżety narodowe. System spłat pożyczek opierać się miał na zasadzie proporcjonalności udziału danego państwa w ciężarach finansowych z tym związanych do jego składek do budżetu UE. Założono przy tym, że poszczególne państwa w następnej dekadzie będą rozwijały się w tym tempie co w poprzedniej i stosownie do tego skalkulowano ich obciążenia, co w sytuacji szybkiego wzrostu gospodarczego państw Wschodu nakładało na nie maksymalne ciężary spłat przyszłych długów unij-

eprasa.pl 8308ffc301

nych. W konsekwencji według tego projektu, uboższe państwa Wschodu Unii finansowałyby odbudowę bogatszego od nich Południa, którego rządy reagowały gorzej na wyzwanie pandemii i które poniosły z tego tytułu większe straty. Spełnione zostałyby jednak w ten sposób polityczne cele Północy – redukcja transferów na Wschód, a nawet odwrócenie ich kierunku, redukcja wkładów własnych poprzez ich częściowe zastąpienie funduszami państw Wschodu i uzyskanie poparcia Południa dla tak skonstruowanego programu.

Ostatecznie nadzwyczajny szczyt UE (17–21 lipca 2020) przyniósł decyzję o utworzeniu Funduszu odbudowy w wysokości 750 mld euro. Z tej sumy 390 mld euro będą stanowiły bezzwrotne granty (w istocie uwspólnotowione długi spłacane solidarnie przez całą UE), a 360 mld euro pożyczki – spłacane bezpośrednio przez państwa kredytobiorców. Wartość całego budżetu UE na kolejne siedem lat miała wynieść 1,74 bln euro. Przyjęty w lipcu kompromis złamany jednak został przez próbę powiązania funduszy unijnych z tzw. praworządnością. W tej sytuacji najpierw Węgry, a potem Polska odmówiły ratyfikacji osiągniętego porozumienia budżetowego i zagroziły wetem. Niezdolność do przyjęcia budżetu na kolejną siedmioletnią perspektywę finansową UE, który musi – zgodnie z traktatami – być przyjęty jednomyślnie, skutkować będzie prowizorium budżetowym. Oznacza to, że środki UE będą rozdysponowywane zgodnie z ich strukturą w ostatnim roku budżetowym. Sytuacja ta jest dla Polski korzystna, gdyż oznacza napływ większej ilości pieniędzy niż ta przewidziana w przyjętym w lipcu projekcie nowego budżetu. Gra jest w toku.

▶ Wnioski

Przeforsowanie postulatów Północy wymaga zdyskredytowania państw Wschodu, by można je było „ukarać" za „nieprzestrzeganie zasad unijnych". Stąd (obok sporu ideologicznego progresywistycznego mainstreamu unijnego z konserwatywnymi rządami w Warszawie i w Budapeszcie) wzięły się ataki na Polskę i Węgry. Jest to z punktu widzenia „Klubu skąpców" logiczna taktyka działania. O budżecie UE decyduje jednak Rada Europejska jednomyślnie i Rada UE także jednomyślnie, chyba że ta pierwsza również jednomyślnie zezwoli tej drugiej na procedurę większościową. Oznacza to, że bez zgody Polski i Węgier, zgodnie z prawem, nic się ustalić nie da. Polityka nie jest jednak uczciwym procesem sądowym. Mocarstwa mają zdolność naginania prawa. Abstrahując od twardej sprzeczności interesów finansowych uczestników tej gry, problem dla całej Unii jest jeszcze głębszy i zapewne nierozwiązywalny. Kryje się w retorycznym w gruncie rzeczy pytaniu: Czy pierwsza gospodarka unijna (niemiecka) oraz relatywnie małe gospodarki niderlandzka, austriacka i skandynawskie, są w stanie skredytować drugą gospodarkę unijną (francuską), trzecią (włoską) i czwartą (hiszpańską), i to nie wiedząc, czy, kiedy i w jakiej skali nastąpi kolejna fala pandemii, jakie będą jej skutki, kogo dotknie najbardziej i czy będzie ostatnia? Pomoc finansowa by była skuteczna, musi być potężna. Zużywanie zasobów w skali strategicznej wymaga zaś zgody ich twórców, czyli wyborców. (Niemcy już o tym wiedzą i wyrok ich Trybunału Konstytucyjnego dał jasny sygnał, że RFN zachowa kontrolę nad wydawaniem pieniędzy swych podatników bez względu na decyzje instytucji unijnych.) Czy i w jakich krajach zgoda ta zostanie uzyskana? Jakie ruchy polityczne wywoła? Które partie na Północy zbiją na sporach wokół tego kapitał polityczny i czy rządy pod tą presją się nie ugną? Innymi słowy, czy Północ się nie zbuntuje? Jeśli pomoc zaś będzie nieskuteczna, Południe popadnie w głęboki kryzys gospodarczy, co ostatecznie także doprowadzi do buntu społecznego i uderzy w interesy Północy, której wyborcy-podatnicy zapominają, że transfery finansowe wewnątrz UE służą utrzymaniu jednolitego rynku europejskiego – są rekompensatą za zniesienie barier celnych i kontyngentów importowych i wystawieniem słabszych gospodarek na konkurencję silniejszych, a nie działaniem charytatywnym. Ich likwidacja skasuje rynek zbytu dla dóbr i usług produkowanych na Północy i „poświęcających" się podatników z tych państw uczyni bezrobotnymi. To nie jest scenariusz dobry dla kogokolwiek. Ten sam wywód można powtórzyć także dla Wschodu. Próba jego eksploatacji przez odwrócenie kierunku transferu funduszy jest na krótką metę atrakcyjna dla całej zachodniej (północnej i południowej) klasy politycznej. Skończy się jednak wypchnięciem wschodniej flanki UE ze wspólnego rynku, a zatem bezrobociem na Zachodzie. To także nie jest scenariusz dobry dla kogokolwiek.

UE zmaga się z trzecim kryzysem, a skutki dwóch poprzednich, zarówno finansowe, jak i mentalne (narastająca wzajemna nieufność i niechęć do okazywania, a nie tylko deklarowania solidarności), nakładają się na siebie. Rządy stąpają po cienkim lodzie, gdyż polityczność wyborcza nie jest seminarium akademickim – nie jest polem ważenia chłodno kalkulowanych argumentów. Szansa, że lód nigdzie nie pęknie i nie spowoduje spękania całej tafli, jest niewielka. To wszystko zaś to tylko część rzeczywistości. Świat poza UE nadal istnieje, daje o sobie znać i na ogół nie są to znaki przyjazne. Na dodatek nie żyjemy w nirwanie i czas dany nam na rozwiązywanie pojawiających się problemów nie jest nieograniczony. ■

eprasa.pl 8308ffc301

ZAMÓW DOWOLNĄ PRENUMERATĘ

ZYSKAJ DO 15% RABATU

NA ZAKUPY W SKLEPIE GAZETY POLSKIEJ

Sprawdź naszą ofertę na stronie

prenumerata.swsmedia.pl

RABAT ZALEŻY OD OKRESU PRENUMERATY!

PRENUMERATA KWARTALNA = **5% RABATU**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA = **10% RABATU**

PRENUMERATA ROCZNA = **15% RABATU**

Promocja obowiązuje w dniach 19.10-30.11.2020 r.

Gazeta Polska CODZIENNIE

GAZETA POLSKA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

Wejście na stronę www przez kod QR. Zeskanuj kod aplikacją do odczytu kodów QR w telefonie.

Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl | tel. 605 900 002, 501 678 819

Konto prenumeraty: **82 1240 5963 1111 0010 3867 3017**

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.,

ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

Ewa Polak-Pałkiewicz

ZWYCZAJNE CUDA ŚWIĘTYCH PAŃSKICH

Kto słyszał, że XVII wiek był czasem niezwykłych wydarzeń, które ludzie wierzący zwą cudami, a w których realność nigdy wówczas nie wątpiono? Gdy zaś ktoś w istocie w nie zwątpił, a jeszcze do tego sobie z nich pokpiwał, nie cieszył się zbyt długo dobrym humorem. Kroniki odnotowały kilka takich wypadków.

FOT. ARCH.

eprasa.pl 8308ffc301

eprasa.pl 8308ffc301

XVII wiek na terenach Rzeczypospolitej w świadomości współczesnych Polaków to przede wszystkim wiek narastającego zagrożenia Rzeczypospolitej. Wiek krwawych wojen, wyniszczających kampanii, nieubłaganej konieczności stawienia czoła agresji z wielu stron. Narasta groza, świadomi są tego królowie tacy jak Jan Kazimierz, Jan III Sobieski, część biskupów, niektórzy hetmani. Ale to także wiek wolnej elekcji przebiegającej wśród dzikich nieraz harców roznamiętnionej szlachty, wiek gorszącej anarchii, samowoli i warcholstwa wśród przywódców wielkich rodów, bratania się niektórych z nich z jawnymi wrogami Rzeczypospolitej dla zaskarbienia większej potęgi i wpływów. Kusi coraz bardziej splendor wielkopańskości i chęć zdominowania innych pretendentów do bycia książętami naznaczonymi wszechpotęgą majątkową i polityczną. Wiek złotej wolności i zaciętych politycznych sporów na tym tle. Szlachta nie chce ustąpić przywilejów, droczy się z magnatami i królem. Kozacy domagają się przywilejów szlachty i za tę tylko cenę gotowi są dochować wierności polskiemu królowi. Nie zostają wysłuchani.

A zarazem XVII wiek to wiek wstrząsających, srogo okupionych zwycięstw – jak to pod Wiedniem czy pod Chocimiem – wspaniałych czynów zbrojnych obrońców Rzeczypospolitej; wiek sławnych hetmanów i pobożnych królów, wiek wielkiego bohaterstwa i ofiary dla Ojczyzny. Wiek trwogi, co będzie dalej z krajem, którego granice stają się coraz bardziej chwiejne. Zapomina się jednak często, że był to także czas drugiego etapu ekspansji protestantyzmu na ziemiach polskich. Szwedzi wdarli się do nas w postaci dobrze uzbrojonej masy zdemoralizowanego protestanckiego żołdactwa żądnego łupów; trafnie nazywa się potopem tę inwazję, której celem było brutalne ograbienie słynącej w Europie z bogactwa katolickiej Polski i osadzenie tu protestanckich władców.

Nie pamiętamy już, że był to wiek wciąż silnych, a gdzieniegdzie wzmagających się jeszcze wpływów reformacji. Zwłaszcza na terenach Lubelszczyzny, gdzie kalwinizm, arianizm okazywały się wciąż popularne wśród warstw wyższych, atrakcyjne dla części mieszczaństwa; ich wyznawcy przejmowali dobra kościelne, w ich zasięgu znajdowały się kolejne miasta i miasteczka. Wznoszono zbory i protestanckie szkoły. Popularność innowierców nie wynikała jednak z atrakcyjności ich nauk, ich reprezentanci obiecywali jedynie szlachcie łatwe wzbogacenie się kosztem zagrabionych majątków kościelnych. Pazerność i chciwość stały za szerzeniem orędzia „wolności religijnej".

Wątpi? – znaczy inteligentny, znaczy „ktoś"

Ale kto słyszał, że był to także wiek niezwykłych wydarzeń, które ludzie wierzący zwą cudami, a w których realność nigdy wówczas nie wątpiono? Gdy zaś ktoś w istocie w nie zwątpił, a jeszcze do tego sobie z nich pokpiwał, nie cieszył się zbyt długo dobrym humorem. Kroniki odnotowały kilka takich wypadków. Te niezwykłe, nadprzyrodzone wydarzenia pozostawiły wiekopomne ślady w postaci monumentalnych sanktuariów, do dziś istniejących, poświęconych postaciom, które przybywały z nieba. Ukazywały się oczom ludzkim, głosząc orędzie skierowane do katolików. Sanktuaria te istnieją do dziś, ich historia wciąż od nowa zadziwia. Pozostały też cudowne źródła w ich pobliżu. Są na ten temat obszerne i szczegółowe zapisy w kronikach klasztorów, parafii. Odbywają się dziś konferencje i sesje naukowe im poświęcone, z udziałem historyków sztuki, archiwistów. Pomimo wojen, grabieży, pożarów, nieustannych napaści, a wreszcie wyśmiewania cudownych interwencji w czasach komunistycznych, ślady wielkich XVII-wiecznych cudów przetrwały.

Jak mamy się dziś odnosić do cudów? Dość powszechna jest atmosfera puszczania oka, gdy mówi się o cudach. Jakbyśmy wszyscy byli naprawdę wystarczająco „młodzi, wykształceni i z dużych miast". Wiara może sobie być, ale to kwestia indywidualna, intymna, a cuda? Te dobre są dla tępych wieśniaków. Trzeba być kompletnie naiwnym i nieoświeconym, by w nie uwierzyć. Trzeba nic nie wiedzieć i nie rozumieć. A ci święci – bladzi, papierowi i zupełnie niedzisiejsi. Dzieło propagandystów kościelnych.

Pierwsza odsłona

Mamy więc wiek XVII i jesteśmy na terenie dzisiejszej Zamojszczyzny. W obrębie prostokąta, którego narożnikami są cztery niewielkie miejscowości (w tym jedna wioska): Krasnobród, Biłgoraj, Górecko i Radecznica. Cóż tam się dzieje?

Krasnobród, dziś znany ośrodek kultu Maryjnego i słynne roztoczańskie uzdrowisko, jest własnością rodziny Lipskich. Lipscy, podobnie jak Firleje, poprzedni właściciele tego miasteczka, są kalwinami. Kościół jeszcze w 1595 roku zamienili na zbór. Wybudowali szkołę kalwińską. Dobrze im się wiedzie. Są nieprzejednanymi wrogami

eprasa.pl 8308ffc301

Kościoła. Po zniszczeniu Kocka w 1648 roku, silnego ośrodka kalwińskiego, szkoła w Krasnobrodzie jest szkołą całego dystryktu lubelskiego. Do 1647 roku odbyły się tu cztery synody kalwińskie; niewielki, położony wśród nieprzebytych lasów Krasnobród staje się stolicą kalwinizmu w Małopolsce. Tutejsi chłopi, drwale, rzemieślnicy nie mają swojego kościoła. Dla nich protestantyzm to coś obcego, ale nie potrafią czynnie ustosunkować się do religii „panów". Jeden z mieszkańców podkrasnobrodzkiej osady Szarowola, młody rolnik, Jakub Ruszczyk, w 1640 roku doznał na własnym ciele straszliwej choroby. Cała wieś uważała, że ich dwudziestoczteroletni sąsiad jest opętany. Nie wiemy dziś, na czym ta jego niemoc polegała. Musiało być to coś spektakularnego. Jakub Ruszczyk czuje się nie tylko napiętnowany swoim, oczywistym dla wszystkich, stanem, ale jest bardzo nieszczęśliwy, cierpi. Będąc w lesie, nieopodal Krasnobrodu pada na kolana i prosi Matkę Bożą o ratunek. Jest 5 sierpnia 1640 roku, święto Matki Bożej Śnieżnej.

Ratunek przychodzi natychmiast. Jakub widzi przed sobą Maryję, która zwraca się do niego słowami pełnymi łagodności. Mówi, że jego prośba została wysłuchana. Będzie to początek kultu Jej Syna w tym miejscu. Jego uzdrowienie – natychmiastowe i trwałe – ma być znakiem, że to miejsce jest wybrane przez Boga, bo tutaj ma powstać kaplica, gdzie „chwała mojego Syna będzie się odprawiała, a na znak tego wiedz, że jesteś od czarta uwolniony". Wydarzenia zaczynają toczyć się jak w sensacyjnym filmie. Jakub wraca uszczęśliwiony do wsi. Ludzie widzą, że został wyzwolony z opętania. Mówi i wygląda normalnie. Jakub opowiada, że miał widzenie Maryi. Jego sąsiedzi, rodzina, znajomi są pełni podziwu, ufności, padają na kolana, modlą się dziękując Matce Bożej.

Wiadomość dociera do dworu Lipskich. Jest dla tej heretyckiej rodziny gromem z jasnego nieba. Lipscy boją się, że rozbudzona pobożność Maryjna miejscowych chłopów pokrzyżuje ich plany dokonania kolejnych aktów zaboru kościelnych dóbr. Adam Lipski nie patyczkuje się, wsadza Jakuba Ruszczyka do więzienia. Nie ma prawa pokazywać się ludziom zdrowy, radosny i opowiadający z uniesieniem o wielkim cudzie, którego doznał. Wieść jednak rozchodzi się szerokim echem. Jest reakcja katolickiej szlachty. Znana z religijnej gorliwości szlachcianka, Katarzyna z Ostrogskich Zamoyska, dobrze znając pazerność sąsiadów, decyduje się potrząsnąć im przed nosem trzosem. Jest zamożniejsza. Działa spokojnie i rozważnie, analizuje na zimno sytuację. Wie, że nie da się jej protestanckich znajomych żadną miarą udobruchać. Nie da się przekonać. Trzeba ich przekupić. Lipscy sprzedają jej swoje krasnobrodzkie dobra. Katarzyna Zamoyska buduje drewniany kościół.

Wcześniej jeszcze wyciąga z więzienia Jakuba. W Krasnobrodzie rozwija się z wielką szybkością kult Maryjny. Protestanci zostali zepchnięci do defensywy. Mogą tylko cieszyć się swoim materialnym łupem. Znika z Krasnobrodu szkoła kalwińska, przestaje działać zbór. Rozpraszają się nielicznie pozostali kalwini. W miejscu objawień Jakuba Ruszczyka staje figura upamiętniająca cud. U jej stóp wytryska z wapiennej skały źródło. Woda niesie zdrowie dusz i ciał dla całej okolicy. Ludzie pielgrzymują tu i modlą się coraz tłumniej. Na kapliczce wieszają wota. Różańce, medaliki, święte obrazki. Krasnobród staje się centrum rozbudzonej pobożności Maryjnej i szczerej, gorliwej wiary.

▶ Cudowny obrazek uzdrawia królową Marysieńkę

Jest listopad 1648 roku, nadciągają Kozacy Bohdana Chmielnickiego. Dziką furię wzbudza w nich modlący się na polanie tłum. Kapliczka zostaje zniszczona, wota rozkradzione, ludzie sterroryzowani; chowają się po lasach. Dopiero na wiosnę, gdy nie słychać już tętentu kopyt kozackich koni i ryku półdzikich wojowników, ludzie wracają na miejsce objawień. Ktoś znajduje leżący w błocie i śniegu obrazek Matki Bożej, jedno z wotów, które stały się łupem kozackiej sotni. Obrazek jest papierowy, to metaloryt, odbitka wykonana w południowych Niemczech, sporządzona na podstawie obrazu włoskiego malarza Francesco Raiboliniego z Bolonii (jak okazało się później, w czasie badań historyków sztuki). Przedstawia Matkę Bożą adorującą Dzieciątko leżące u Jej stóp na spłachetku białego płótna, wprost na ziemi. W tle ogród kwitnących róż, sylwetka kościoła, fragment lasu... Rzecz zadziwiająca, pomimo że obrazek leżał w rozmokniętej ziemi przez kilka miesięcy, nie nosi żadnych śladów zniszczenia. Jest świeży, cały, błyszczący nowością. Jakby nie był ze stali, a nie z papieru. Miejscowy biskup kieruje badaniami komisji Akademii Zamoyskiej, które potwierdzają oryginalność obrazka. Nikt już nie wątpi, że to cud. Kolejny znak opieki Matki Bożej nad tym miejscem.

Obrazek ocalał także z napadu i podpalenia drewnianego kościoła, którego sześć lat później dokonują Tatarzy. W czasie najazdu szwedzkiego,

eprasa.pl 8308ffc301

podczas oblężenia Zamościa obrazek jest obnoszony w uroczystej procesji po murach twierdzy Zamość, tak jak Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej na murach Jasnej Góry. Atak zostaje odparty. Do Krasnobrodu sprowadzeni zostają dominikanie, znani z męstwa obrońcy wiary, pogromcy herezji. Są lubiani i cenieni przez szlachtę i magnaterię, mają odwagę, polot, są wykształceni, reprezentują wyższą kulturę religijną. Potrafią umiejętnie dla celów obrony wiary podbechtywać światowe ambicje arystokracji. Ściąga ich tu z pobliskiego Janowa Ordynackiego Jan „Sobiepan" Zamoyski. Rozpoczyna się wznoszenie okazałej murowanej świątyni. Ordynat Zamoyski deleguje i opłaca swojego architekta, majora Jana Michała Linka, autora fortyfikacji Zamościa, do sporządzenia projektu i nadzorowania budowy.

Fundatorką nowej świątyni jest nie byle kto: Maria Kazimiera *de domo* d`Arquien, żona Jana III Sobieskiego. Przywieziono ją do Krasnobrodu w 1680 roku, gdy lekarze próbujący wyciągnąć ją z zagrażającej życiu choroby – była to jedna z najcięższych, nieuleczalnych wówczas chorób zakaźnych – rozkładali ręce. Niespełna czterdziestoletnia królowa Marysieńka umierała, gasła w oczach. W Krasnobrodzie, leżąca na noszach, prawie już bez tchu, dotknęła brzegiem warg słynącego cudami obrazka. Choroba cofnęła się natychmiast.

Wcześniej jeszcze, w 1671 roku nowi właściciele Krasnobrodu, Tarnowscy położyli definitywny kres działalności kalwinów. Jan Stanisław Amor Tarnowski przekazał zbór Kościołowi katolickiemu, który przechodzi na własność dominikanów.

Inne „odkrywanie Ameryki"

„Stwierdzenie, że cuda rzeczywiście się zdarzają, jest kwestią zdrowego rozsądku i zwykłej wyobraźni historycznej, a nie jakiegokolwiek eksperymentu historycznego" – pisał Chesterton. „[...] moja wiara w to, że cuda naprawdę się zdarzały w historii ludzkości, nie jest mistycyzmem. Wierzę w nie na podstawie ludzkich dowodów, tak samo jak wierzę w odkrycie Ameryki. [...] Wierzący w cuda uznają ich istnienie (słusznie lub nie), ponieważ mają na to dowody. Natomiast niewierzący w cuda przeczą ich istnieniu (słusznie lub nie), ponieważ wyznają doktrynę, która je wyklucza".

W odległości trzydziestu kilometrów od Krasnobrodu leży wieś Radecznica. Jest własnością rodziny Godlewskich. Wydarzenia tam następujące także wymykają się tłumaczeniu rozumu. W nocy 8 maja 1664 roku mieszkaniec wioski, wyrobnik, Szymon Tkacz słyszy, że ktoś woła go po imieniu. Boi się, kładzie na głowę derkę, udaje, że nie słyszy. Wołanie się powtarza. Szymon Tkacz otwiera okno, nasłuchuje. I znów przestraszony kładzie się do łóżka. Za trzecim razem wstaje, ubiera się i wychodzi z domu. Słyszy nakaz, że ma wspiąć się na wzgórze, które znajduje się naprzeciw jego chałupy. Widzi, że owe strome wzgórze – zwane Łysą Górą, z powodu powtarzających się tam niepokojących i nękających miejscową ludność zjawisk mających charakter demoniczny – stoi całe w ogniu. Drżący z przerażenia, wiedziony jednak tajemniczym przynagleniem wspina się po zboczu i na szczycie spotyka zakonnika w habicie franciszkańskim, stojącego w blasku światła. Gdy zbliża się do niego, słyszy skierowane do siebie słowa w najczystszej staropolszczyźnie: „Jam jest św. Antoni, mam to z woli Najwyższego Pana, abym tobie opowiedział, iż na tym miejscu chwała Boga Najwyższego odprawiać się będzie. Przeze mnie chorzy, ślepi, chromi i różnemi dolegliwościami utrapieni znajdować i otrzymywać będą pociechy swoje. Chorzy zdrowie, ślepi wzrok, chromi chód, zgoła wszyscy uciekający się na to miejsce bez pociechy nie odejdą". W łacińskim responsorium ku czci św. Antoniego jest także zapowiedź, że dzięki jego interwencji pokonane są śmierć, błąd i diabeł (*Si quaeris miracula,/ Mors, error calamitas,/Demon, lepra fugiunt,/ Aegri surgunt sani...*).

Czym mógł być w tamtych odległych czasach błąd? Kroniki historyczne odnotowują, że arianie panoszyli się już w pobliskim Turobinie. W Szczebrzeszynie oddalanym o kilkanaście kilometrów Andrzej Górka przejął od katolików kościół św. Mikołaja i przekształcił na zbór kalwiński. Szlachtę miejscową kuszono przejmowaniem dóbr kościelnych i zakonnych.

„Nagłe pojawienie się misjonarza pokuty wsławionego w walce z herezjami i niewiarą na zboczu Łysej Góry musiało oznaczać jej oczyszczenie oraz dogłębną transformację" – podsumowuje znawca objawień, o. Cyprian Janusz Moryc OFM, zaznaczając, że miejsce objawień św. Antoniego, pierwotnie naznaczone „jakąś formą obecności i wpływu zła", zostało z największą starannością wybrane.

Jeszcze tej samej nocy św. Antoni zszedł z góry razem z Szymonem do jej podnóża. Tu w towarzystwie „dwóch pięknych młodzieńców", aniołów ze świecami w ręku, pobłogosławił wodę, bijącą ze źródła, które aż do dziś cieszy się sławą cudownego źródła. Ma właściwości uzdrawiające. Co-

eprasa.pl 8308ffc301

dziennie korzystają z niej miejscowi i licznie napływający pielgrzymi.

Czy wszystko następnie szło jak z płatka? Nie do końca. Historia kolejnych wydarzeń tego pamiętnego maja 1664 roku jest pełna dramatycznych, a nawet przerażających chwil. Jest opisem zmagania się ludzkiej wiary i zaufania Bogu z niedowiarstwem i kompletnym lekceważeniem Boga. Szymon Tkacz dostaje od św. Antoniego polecenie, by udał się do przeora franciszkanów w Zamościu i przekazał mu wszystko, czego doświadczył i co usłyszał. Gdy zatrwożony przekraczającą jego siły misją, wątpiący w jej powodzenie poprosił o znak uwiarygodniający jego słowa, św. Antoni wręczył mu małą karteczkę o przejmującym, mocnym zapachu lilii, która miała być dostarczona biskupowi. Przeor nie wziął na serio słów wieśniaka; otrzymawszy od Szymona karteczkę, schował ją, zamiast doręczyć biskupowi. Tej samej nocy zmarł na cholerę. Drugim poleceniem świętego było postawienie na miejscu objawień Figury Męki Pańskiej, krucyfiksu Chrystusa. W tym celu Szymon miał udać się do miejscowego wójta (w sąsiednim Mokrymlipiu), poprosić go o materiał na tę figurę. Szymon się ociąga, boi się wyśmiania, pobicia lub uwięzienia. Wójt musiał mieć opinię niedowiarka, odszczepieńca lub jawnego szydercy. Święty Antoni upewnia jednak Szymona, że może czuć się bezpieczny. Po wielu naleganiach wójt, Walenty Psorski, daje drzewo na kapliczkę, jednak nie chce dać Szymonowi ludzi do wniesienia go na górę, są to ciężkie, mokre dębowe bale, a Szymon ma tylko jego pomocnika. Wójt woła butnie: „Jeśli św. Antoni tego chce i tobie to rozkazał, niech wam dopomoże!". Przygląda się ze śmiechem, siedząc rozparty na koniu, jak dwaj skromnej postury chłopi próbują zataszczyć po stromym zboczu potężne kloce. Święty Antoni istotnie im dopomaga, nie czują żadnego oporu, nie zlewają się potem, nie są zmęczeni; drzewo zostaje złożone na szczycie w zadziwiającym tempie. Krzyż z figurą umierającego Chrystusa do dziś znajduje się w sanktuarium św. Antoniego Padewskiego w Radecznicy – obecnie Bazylice Mniejszej. Według kronik klasztornych, wkrótce umiera ukochany syn Walentego Psorskiego. Szymon Tkacz otrzymuje zapowiedź tej śmierci. Kronikarz kościelny zapisuje przestrogę: „Postawił urzędnik figurę, tylko też ma tyle zasługi i przed Majestatem Boskim; ale iż śmiech sobie uczynił z woli Boskiej, niechże wie, iż syn, w którym się kocha, umrze mu".

Nie jest łatwo ludziom, których Przybysze z Nieba czynią swoimi posłańcami. Jakub Ruszczyk trafia do więzienia, Szymon Tkacz zmaga się z własną słabością, poczuciem osamotnienia i niezrozumieniem. Są jednak ci, którzy w mig spostrzegają, że tu dzieją się wielkie rzeczy. Że trzeba odpowiedzieć na Boży głos.

▶ Sto pięćdziesiąt kamiennych schodów

W 1666 roku niewielką wieś Radecznicę wraz z folwarkiem zakupił od rodzeństwa Godlewskich, Jana, Pawła i Janiny, biskup sufragan chełmski, Mikołaj Świrski, który był wówczas administratorem diecezji. Miejsce tak święte, wsławione od początku licznymi cudami uzdrowienia, powinno być w opiece któregoś z zakonów. Franciszkanie odmówili, twierdząc, że mają w okolicy dość swoich świątyń i klasztorów i nie chcą ich marginalizacji; przybywają więc bernardyni prowincji ruskiej. W ciągu kolejnych lat wzniesione zostają wspaniała murowana świątynia i klasztor – ordynat Marcin Zamoyski znów deleguje architekta Linka, który zaczyna dzieło budowy od wzmocnienia stromej skarpy ogromną ilością ziemi – szlachta, księżna Gryzelda Wiśniowiecka i jej syn Michał, późniejszy król, podkomorzy chełmski Romanowski, Elżbieta z Drohojowskich Kopczyńska, król Jan Sobieski hojnie wspierają kresowy kościół i klasztor w czasie jego budowy, powstaje on na trudnym terenie z ofiar wielu osób. Wyzwaniem jest stromizna wzgórza. „Do kościoła prowadzą przeto trzy kondygnacje schodów i 150 stopniach i wspaniała szeroka arkadowa loggia rozciągająca się wzdłuż całej fasady, wspartej na wysokiej i mocnej podbudowie" – pisze ks. Andrzej Brudziński. Obraz św. Antoniego w ołtarzu głównym szybko zaczyna słynąć jako cudowny. Bernardyni dwoją się i troją, są przykładem gorliwości i sarmackiego rozmachu. Szlachta chełmska z wdzięcznością przyjmuje świętego z Padwy za swojego patrona. Lud nie ustaje w pielgrzymkach do miejsca, jeszcze tak niedawno budzącego prawdziwą grozę. W kolejnych wiekach sanktuarium i klasztor przeżywa tragiczne wydarzenia. Płoną budynki klasztorne. Po powstaniu styczniowym bernardynów wyrzucają Moskale, zamieniają kościół na cerkiew, w klasztorze osadzają mniszki prawosławne. Po II wojnie światowej komuniści dokonują brutalnej napaści na klasztor i szkołę średnią działająca przy nim, likwidują szkołę, zabierają bernardynom większość ich budynków i na „Jasnej Górze Lubelszczyzny" instalują szpital psychiatryczny. W 2015 roku kościół stojący wśród wiekowych lip, na skraju lasku, przez który św. Antoni wędro-

eprasa.pl 8308ffc301

wał z Szymonem Tkaczem zostaje ustanowiony papieskim dekretem Bazyliką Mniejszą.

Gdy milkną dzikie pszczoły

W 1615 roku bartnik z Biłgoraja wybierający w pobliżu miasteczka miód dzikich pszczół z leśnej dziupli usłyszał najbardziej nieoczekiwane w świecie słowa: „Idź, człowiecze, opowiedz o tym świętym miejscu, aby miano je we czci i by oddawano tu chwałę św. Marii Magdalenie".

Biłgoraj od początków istnienia u schyłku XVI wieku był miastem kalwińskim, miejscem obrad licznych synodów. Adam Gorayski, jego założyciel, należał do czołówki polskich kalwinów. Zbór kalwiński założony przez Firlejów, pod patronatem Gorayskich, dotrwał aż do 1680 roku. Święta Maria Magdalena objawiła się tu dwukrotnie (podobnie jak w przypadku św. Antoniego w Radecznicy jest to jedyne w świecie miejsce objawień tej świętej uznane przez Kościół). Świątynia wybudowana na miejscu objawień (zwana „Kościołem na Puszczy") wraz z klasztorem franciszkanów i liczne cuda tej świętej zahamowały ekspansję kalwinów. Powstawał mocny ośrodek katolicyzmu i ostoja patriotyzmu.

Objawienia św. Stanisława Biskupa – także jedyne w świecie – w niedalekim Górecku, położonym wśród głębokich lasów Puszczy Solskiej, miały miejsce w 1648 roku. Ich świadkiem był młody rolnik Jan Socha. W kronikach zapisano, że św. Stanisław wskazał miejsce, gdzie mają być wzniesione kapliczki i kościół, oraz pobłogosławił wodę z miejscowego potoku i powiedział: „W tej wodzie kto się obmyje z dobrą wiarą, od wszelkiej choroby będzie wolny". Górecko szybko zaczęło zyskiwać sławę miejsca cudownych uzdrowień. Nie dowierzano tej sławie wśród prałatów zamojskich. Wysłano do Górecka jednego z kanoników, który miał zaprzeczać prawdziwości cudu. W czasie powrotu z Górecka padł pod nim koń. Gdy zaś gościł tu ordynat Marcin Zamoyski, na jego oczach w miejscu objawień uklękło sześć koni. Zamoyscy oddali Górecko pod opiekę franciszkanom. Dziś jest tu słynne sanktuarium z relikwiami św. Stanisława i ośrodek pielgrzymkowy.

Chrześcijaństwo jest nadludzkim paradoksem

Protestantyzm neguje świętość. W protestantyzmie zbędni są święci. Nikomu tu nie potrzebna jest świętość. Człowiek ma tylko wierzyć, a żyć może, jak chce, żadne „dobre uczynki" Pana Boga – według protestantów – nie interesują. Mają oni swoją ponurą „koncepcję usprawiedliwienia", która nie dotyczy ludzkiej duszy, tylko ciała, bo grzesznikiem to on już pozostanie do końca świata. Nie jest po prostu zdolny do czynienia dobra. A już tym bardziej życie i śmierć męczeńska dla Pana Boga jest dla nich czystym absurdem. Dlatego protestanci negują spowiedź, nie potrzebują rozgrzeszenia ani rachunku sumienia i wyrzucają figury i obrazy świętych z kościołów. Zabiegają, by swoje kościoły stawiać w miejscach pozbawionych uroku, w pustym, monotonnym krajobrazie. Wznoszą smutne, zimne budowle pozbawione ciepła, piękna i wdzięku ludzkich postaci świętych, ogołocone z relikwi. Nie ma bowiem mowy o ich pośrednictwie, tak jak odrzucone zostaje pośrednictwo kapłanów. Jesteśmy sami naprzeciw milczącego i w gruncie rzeczy obcego Boga. Nasza wolność jest także pod znakiem zapytania. Jesteśmy wszak nieuleczalnie zepsuci.

Ten rzekomo otwierający przed człowiekiem niesłychane możliwości intelektualne protestantyzm, uwalniający jego umysł spod presji ciasnego rygoryzmu katolickich zasad i tradycji, w istocie pozbawił Boga dostępu do ludzkiej doczesności. „Sacrum ulotniło się ze świata", zauważa jeden ze współczesnych komentatorów.

Przeciw takiemu „rajowi" na ziemi wystąpiły w XVII wieku osobiście, w jednym tylko niewielkim obszarze geograficznym, aż cztery wielkie postacie świętych, z Matką Boską na czele. Po to, by Polska zmagająca się z tak licznymi wrogami politycznymi – a zarazem z wrogami wiary katolickiej – nie stała się ziemią jałową, duchową pustynią.

„To my, chrześcijanie, przyjmujemy wszystkie prawdziwe dowody – to wy, racjonaliści, odrzucacie dowody z powodu ograniczeń narzuconych wam przez wasz system" – podsumowuje Chesterton dyskusję z niewierzącymi sceptykami, ludźmi negującymi istnienie cudów. A one zdarzają się stale. Także w naszych czasach. Tak, bowiem „chrześcijaństwo jest nadludzkim paradoksem, dzięki któremu dwie przeciwstawne namiętności mogą płonąć obok siebie".

Święci mogą być pomysłowi, dowcipni, poetyccy i pełni fantazji, ale mogą też zupełnie nieoględnie przestrzegać i gromić. Mogą być groźni i nieprzejednani dla niedowiarków i szyderców, jak w tej prawdziwej opowieści o XVII-wiecznych interwencjach z nieba. Mogą całkiem na serio karać z Boskich wyroków. Bo znają ludzkie serca i nigdy nie pozwalają żartować z Pana Boga, którego są wysłannikami. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Małgorzata Matuszak

Czym jest... symbolika światła

Na pytanie, czym jest światło, nauka nie potrafi odpowiedzieć w sposób prosty i jednoznaczny. Współcześni fizycy, godząc dwie istniejące wcześniej teorie odnośnie do jego natury, definiują światło jako falę elektromagnetyczną i równocześnie strumień fotonów, a jego dwoistą naturę określają jako dualizm falowo-korpuskularny. Światło jest jednak nie tylko przedmiotem zainteresowania fizyków. Fascynowało ludzi od zarania dziejów, przyciągało i oślepiało, zachwycało i przerażało, wzbudzając podziw i grozę. Kiedy medytujemy nad naturą światła, nieuchronnie pojawiają się oniemienie i zachwyt, poczucie, iż wkraczamy w sferę misterium i sacrum. Niektórzy myśliciele, metafizycy światła, uznają je wręcz za istotę rzeczywistości. Uważany za największego z nich, XII-wieczny filozof i teolog Robert Grosseteste, postrzegał światło przejawiające się we właściwych postaciach: światła duchowego i cielesnego, jako tworzywo i podłoże każdego istnienia. Światło stanowi według niego formalną i realną zasadę wszechświata, pozwalającą na zrozumienie i opis każdej istniejącej rzeczy, którym dostarcza formy cielesności i przydaje aktywności.

Światło posiada atrybuty absolutne: jest nieskończone, transcendentne i transcendentalne; rozproszone, ale też integralne; odwieczne i wieczne, chociaż równocześnie ulotne; zawiera moc i energię, ale może też być łagodne, ledwo zauważalne. Dlatego stało się nośnikiem treści metafizycznych i teologicznych, uniwersalnym i niezmiernie bogatym, a symbolika światła, dzięki swej szerokiej semantyce, jest bardzo pojemna znaczeniowo. To symbol pokoju, pojednania i radości, wieczności, niematerialności i ducha, ciepła, miłości i nadziei.

Symbol światła przejawia się w kulturze europejskiej na wiele sposobów, wśród których wyróżnić można trzy główne: filozoficzny, teologiczny i artystyczny. Odpowiadają one trzem odrębnym dziedzinom aktywności intelektualnej człowieka: rozumowi, wierze i twórczości, stąd też także dające trzy obszary działania symboliki światła – filozofię światła, teologię światła oraz sztukę światła. Już w platonizmie symbolika światła łączy się z ideą Dobra i Piękna, w średniowiecznej teologii oznacza samego Boga, w sztuce romantycznej zaś, jak w ujęciu G.W.F. Hegla, pojednaną z sobą wewnętrzną podmiotowość. Sposoby ujmowania symbolu światła ujawniają stosunek człowieka do świata, który przejawia się w nadawaniu mu sensu i znaczenia, umiejscawiania bądź odkrywania wartości. I chociaż ulegał on znacznym i różnorakim przemianom, to symbol światła niezmiennie odnosił się do wielorako rozumianej doskonałości.

W całym bogactwie symboliki chrześcijańskiej symbol światła zajmuje miejsce szczególne. To symbol Chrystusa, który jest Światłością świata. Światłością, która jest równocześnie życiem dla świata. Dlatego my, chrześcijanie, mamy być również światłością dla świata, jak On. W Ewangelii św. Jana Chrystus mówi: „Ja przyszedłem na świat jako światłość, aby nikt, kto we Mnie wierzy, nie pozostawał w ciemności" (J 12, 46). Współczesny człowiek szczególnie potrzebuje światła, które zdolne jest oświetlić jego życie, jego przestrzeń poznania, by potrafił odróżnić dobro od zła i drogę kierującą do celu od drogi prowadzącej na manowce.

Pozostawiając na grobach zamknięty w zniczu płomień, kierujmy równocześnie swe myśli ku głębszym treściom, na które w codziennym życiu poświęcamy mało czasu – ku wspomnieniom o bliskich nam osobach, historii swojej i naszego narodu, ku refleksji nad życiem, przemijaniem i śmiercią. Światło to jednak symbol życia, nie śmierci. Bóg bowiem, jak stwierdził sam Jezus, nie jest Bogiem umarłych, lecz żywych (Mt 22,32). U Boga czas, pojmowany jako coś ograniczającego, nie istnieje. Podobnie śmierć. Tak więc modlitwę za zmarłych można porównać do światła, które oświeca tę ostatnią drogę – do domu Ojca. Oni nic już nie mogą zrobić dla siebie, cała ich nadzieja złożona jest więc w Bogu i w modlitwie tych, którzy mogą u Niego wyprosić łaski. W świetle naszej modlitwy, w świetle zapalonego znicza. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Tomasz P. Terlikowski

KU SPRAWIEDLIWSZEMU ŚWIATU

„Fratelli tutti" – nowa encyklika papieża Franciszka to wielki apel o budowę świata sprawiedliwszego i bardziej miłosiernego.

pl 8308ffc301

Kiedyś papieże pisali mocne encykliki przeciwko komunizmowi czy nazizmowi, a teraz mamy czas mocnej – bardzo mocnej – encykliki, która uznaje, że największym zagrożeniem współczesności jest bezbożny kapitalizm, a może lepiej powiedzieć: pozbawiony wymiaru społecznego neoliberalizm. Franciszek nie jest pierwszym papieżem, który formułuje takie ostrzeżenia, a „Fratelli Tutti" nie jest pierwszym poświęconym temu tematowi papieskim dokumentem. Wcześniej bowiem identyczne uwagi znaleźć można było w „Laudato si", które zajmowało się nie tylko ekologią, lecz także kwestiami społecznymi.

Niewygodna diagnoza współczesności

Analizę tego dokumentu warto zacząć od diagnozy współczesności, jaką przedstawia Franciszek. To ona jest najmocniejszym elementem tej encykliki i jest najbardziej spójnie napisana. Nie jest to – co też warto podkreślić – diagnoza pisana z jednej perspektywy. Mamy tu bowiem zarówno ostrzeżenia przed kulturą wykluczenia ludzi niepotrzebnych, która prowadzi do aborcji i eutanazji, a także odseparowania starszych, jak i ostrzeżenie przed wykluczeniem migrantów, zamknięciem się na nich. Ciekawe, że kwestię obrony życia – co zresztą nie jest u Franciszka niczym nowym – papież ustawia w obrębie potępienia kultury odrzucenia. „Wydawać by się mogło, że część ludzkości można poświęcić na rzecz selekcji, która faworyzuje grupę społeczną, zasługującą na życie bez ograniczeń". W gruncie rzeczy „ludzie nie są już postrzegani jako podstawowa wartość, którą należy szanować i chronić, szczególnie jeśli są ubodzy lub niepełnosprawni, jeśli »nie są jeszcze potrzebni« – jak dzieci nienarodzone – lub »nie są już potrzebni« – jak osoby starsze. Staliśmy się niewrażliwi na wszelkie formy marnotrawstwa, począwszy od marnowania żywności, które jest jednym z najbardziej zasługujących na potępienie" – podkreśla papież. To bardzo mocne sformułowanie, które uświadamia, że w kwestii obrony życia, nawet jeśli papież ujmuje rzecz z innej strony, jest tak samo jednoznaczny jak jego poprzednicy.

Ale w tym dokumencie mamy także ważną analizę niszczącej siły mediów społecznościowych, a także smutny, bo prawdziwy opis działań mediów i tzw. cancel culture. „Dzisiaj w wielu krajach stosowany jest polityczny mechanizm jątrzenia, rozdrażniania i polaryzacji. Na różne sposoby odmawia się innym prawa do istnienia i wyrażania swoich opinii. W tym celu stosowane są strategie ośmieszania ich, posądzania, osaczania. Nie bierze się pod uwagę prawdy i wartości prezentowanych z ich strony, a w ten sposób społeczeństwo staje się uboższe i podległe despotyzmowi najsilniejszych. Polityka prowadzona w ten sposób nie jest już zdrową dyskusją na temat projektów długofalowych na rzecz rozwoju wszystkich i dobra wspólnego, lecz jedynie doraźnymi rozwiązaniami marketingowymi, które znajdują największe korzyści w zniszczeniu drugiego. W tej nikczemnej grze dyskwalifikacji debata jest manipulowana, tak aby nieustannie podlegała kontrowersji i konfrontacji" – podkreśla papież. To bardzo mocna diagnoza, którą zresztą potwierdza wielu współczesnych medioznawców.

Franciszek mocno krytykuje też neoliberalne nastawienie współczesnej gospodarki, który pomija interesy jednostek. Pandemia, które się pojawiła, ujawniła zaś to zjawisko i jego ogromne koszty. „Świat nieubłaganie zmierzał w kierunku gospodarki, która wykorzystując postęp technologiczny, dążyła do zmniejszenia »kosztów ludzkich«, a niektórzy chcieli, abyśmy uwierzyli, że wolność rynku wystarczy, aby można było sądzić, że wszystko jest bezpieczne. Ale ciężki i nieoczekiwany cios tej pandemii, która wymknęła się spod kontroli, zmusił nas do myślenia bardziej o wszystkich ludziach, niż o korzyściach niektórych z nich [...]. Cierpienie, niepewność, strach i świadomość naszych własnych ograniczeń, które wzbudziła pandemia, wzywają do ponownego przemyślenia naszego stylu życia, naszych relacji, organizacji naszych społeczeństw, a przede wszystkim sensu naszego życia" – wskazuje papież.

Dialog i postawa Samarytanina

Jak wyjść z tego zapętlenia, jak doprowadzić do prawdziwego spotkania ludzi różnych opcji? Odpowiedź, jaką daje nam papież Franciszek, wcale nie jest prosta do realizacji. Trzeba nam autentycznego dialogu i zmiany postaw. „Autentyczny dialog społeczny zakłada zdolność poszanowania punktu widzenia drugiej osoby poprzez zaakceptowanie możliwości posiadania przez nią pewnych przekonań lub uprawnionych interesów. Drugi człowiek, poczynając od swej tożsamości, ma coś do ofiarowania i jest pożądane, aby pogłębił i wyraził swoje stanowisko, tak aby debata publiczna była jeszcze pełniejsza. Prawdą jest, że gdy osoba lub grupa

FOT. VATICAN POOL/CPP/IPA/PAP/PA

eprasa.pl 8308ffc301

jest spójna z tym, co myśli, mocno trzyma się wartości i przekonań oraz rozwija pewną myśl, to w taki czy inny sposób przyniesie korzyści społeczeństwu. Ale tak naprawdę dzieje się to tylko w takim stopniu, w jakim rozwój ten odbywa się w dialogu i otwartości na innych. Istotnie, „w prawdziwym duchu dialogu posila się zdolność rozumienia znaczenia tego, co mówi i czyni ten drugi, chociaż nie można tego przyjąć jako własne przekonanie. W ten sposób można być uczciwym, nie zatajać tego, w co wierzymy, nie przestając rozmawiać, szukać punktów stycznych, a przede wszystkim współpracować i razem walczyć o dobro" – wskazuje Franciszek.

Konieczność zmiany postaw wynika wprost z Ewangelii. Tym razem Franciszek ukazuje to na podstawie przypowieści o miłosiernym Samarytaninie, która wzywać ma chrześcijan do stawania wobec zranionych, odrzuconych, pozbawionych domu. Ten element jest mi jakoś szczególnie bliski, bo Wspólnota Emmanuel, do której należę, stawia nacisk na współodczuwanie ze zranieniami świata i ludzi. A to jest właśnie postawa Samarytanina, postawa, do jakiej wzywa nas Franciszek. Nie wystarczy być pobożnym i wierzącym, konieczne jest otwarcie na bliźniego, zobaczenie w Innym bliźniego właśnie. Bez tego, bez współodczuwania i dostrzegania zranień nie ma prawdziwej religijności. „[...] fakt wiary w Boga i oddawania Mu czci nie gwarantuje życia, jakie podoba się Bogu. Osoba wierząca może nie być wierna temu, czego ta sama wiara od niej wymaga, a jednak może czuć się blisko Boga i uważać się za godniejszą od innych" – zauważa Ojciec święty.

▶ Summa nauczania papieskiego

Ale trzeba też powiedzieć, że nowy dokument papieski to w znaczącym stopniu podsumowanie, a może lepiej powiedzieć „summa" nauczania społecznego Franciszka. Ogromna większość cytatów znajdujących się w tym dokumencie to cytaty z samego autora, choć – szczerze mówiąc – wiele z tez można by podeprzeć cytatami z poprzedników, co nadałoby owemu dokumentowi większy autorytet i bardziej zakorzeniłoby go w dotychczasowym Magisterium, nie sprawiając wrażenia zerwania. I tak rozważania o solidarności, które mocno eksponuje Franciszek, czyniąc z tej zasady jeden z fundamentów swojego nauczania, można by spokojnie wesprzeć sformułowanymi w nieco innym języku, ale w istocie głoszącymi to samo, słowami św. Jana Pawła II.

To odwołanie do międzyludzkiej solidarności jest zresztą jednym z ważniejszych elementów tej encykliki. „W takich chwilach, kiedy wszystko zdaje się zanikać i tracić swoją spójność, dobrze jest odwołać się do solidarności, która wynika ze świadomości, że jesteśmy odpowiedzialni za słabość innych, dążąc do wspólnego przeznaczenia. Solidarność wyraża się w sposób konkretny poprzez służbę, która może przybierać wiele różnych form przejmowania odpowiedzialności za innych". Służba „oznacza przeważnie troskę o to, co słabe. Służenie oznacza troszczenie się o osoby słabe w naszych rodzinach, w naszym społeczeństwie, w naszym narodzie". W pełnieniu tej posługi każdy potrafi „pozostawić na boku swoje dążenia, oczekiwania, swoje pragnienia bycia wszechmocnym w obliczu konkretnego spojrzenia najsłabszych. [...] Służba zawsze patrzy w twarz brata, dotyka jego ciała, czuje jego bliskość, a nawet w pewnych przypadkach »znosi« ją i zabiega o rozwój brata. Dlatego służba nigdy nie jest ideologiczna, ponieważ nie służy się ideom, ale służy się osobom" – pisał Franciszek. A te jego słowa można zestawić z innymi, pochodzącymi właśnie od św. Jana Pawła II. „Solidarność musi iść przed walką. Wówczas ludzkość może przetrwać. I może przetrwać i rozwijać się każdy naród w wielkiej ludzkiej rodzinie. Bo co to znaczy solidarność? Solidarność to znaczy sposób bytowania w wielości ludzkiej, na przykład narodu, w jedności, w uszanowaniu wszystkich różnic, wszystkich odmienności, jakie pomiędzy ludźmi zachodzą, a więc jedność w wielości, a więc pluralizm, to wszystko mieści się w pojęciu solidarności. Sposób bytowania ludzkiej wielości, mniejszej lub większej, całej ludzkości poszczególnego narodu bytowania w jedności godnej człowieka" – mówił św. Jan Paweł II do Polaków w 1987 roku. Zrozumienie tych słów, zarówno w ich wymiarze międzynarodowym, jak i wewnętrznym, to wielkie wyzwanie stojące przed polskimi katolikami.

Ale jeśli analizować ten dokument, to uderza w nim również diagnoza współczesności. Papież wskazuje, że żyjemy w czasie straszliwej polaryzacji, która uniemożliwia w istocie porozumienie. Wyjście z tego mechanizmu, jego odrzucenie stanowi wielkie wyzwanie, jakie stawia przed nami papież Franciszek. I dotyczy to także Polski i polskiego Kościoła. Czy mu podołamy? Wielkim optymistą nie jestem, ale trzeba spróbować. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Małgorzata Matuszak

Dzieci ulicy

Dzieci ulicy łączy poczucie zaniedbania, braku akceptacji przez najbliższe im środowisko, brak poczucia przynależności do rodziny, a także nieufność. Bardzo istotnym problemem jest także poczucie odrzucenia w wymiarze psychicznym i społecznym. Pozbawione zainteresowania i miłości, włóczą się po ulicach, popadając w kłopoty. Stają się sprawcami, ale często także ofiarami przestępstw.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 8[illegible]

Dzieciństwo to czas, w którym dziecko winno cieszyć się miłością rodziców, nieustanną i czujną, chroniącą przed złem współczesnego świata i jednocześnie wychowującą do życia w nim. To okres beztroski, nawet jeśli pojawiają się problemy, którym trzeba sprostać, a zaradzić im łatwiej, gdy otrzyma się odpowiednie i przyjazne wsparcie. To czas, w którym najważniejsza jest rodzina i jej miłość. Niestety, nie wszystkie dzieci jej doświadczają. Niektóre stają się dziećmi ulicy. Mijamy je, nawet o tym nie wiedząc. Albo wiedząc. Bezrefleksyjnie bądź świadomie, w poczuciu, że nie tak powinno wyglądać ich dzieciństwo. Dzieci ulicy – kim są?

Próby definicji „dziecka ulicy"

Rada Europy w Strasburgu, na podstawie badań przeprowadzonych w 24 krajach, sformułowała następującą próbę definicji owego zjawiska: „Dzieci ulicy to dzieci poniżej 18. roku życia, które przez krótszy lub dłuższy czas żyją w środowisku ulicznym. Przenoszą się z miejsca na miejsce i mają swoje grupy rówieśnicze i inne kontakty. Są zameldowane pod adresem rodziców lub jakiejś instytucji socjalnej. Charakterystyczne jest to, że z rodzicami, przedstawicielami szkół i instytucji pomocy i służb socjalnych, które ponoszą za nie odpowiedzialność, dzieci te mają słaby kontakt lub nie mają go w ogóle". Międzynarodowe Katolickie Biuro do Spraw Dzieci (ICCB) przyjęło nieco odmienne określenie pojęcia „dzieci ulicy". Według niego „to każda dziewczyna lub chłopiec, dla których ulica (w najszerszym znaczeniu tego słowa, łącznie z niezajętymi mieszkaniami, śmietniskami itd.) stała się jej lub jego zwykłym miejscem pobytu i/lub źródłem utrzymania; i które są niedostatecznie chronione, nadzorowane lub kierowane przez odpowiedzialną osobę dorosłą".

W Polsce zjawisko to nie jest w ogóle monitorowane, a problemem „dzieci ulicy" zajmują się przede wszystkim organizacje pozarządowe. Próbując odnieść przytoczone wyżej definicje do sytuacji dzieci ulicy w naszym kraju, najodpowiedniejsza zdaje się ta wypracowana na podstawie prekursorskich, wieloletnich doświadczeń i przyjęta przez Krajowy Komitet Wychowania Resocjalizującego. Zgodnie z nią „polskie dzieci ulicy to te, które na skutek niespełnienia przez rodzinę jej podstawowych funkcji opiekuńczych i wychowawczych dużo czasu spędzają poza domem – na ulicy, podwórku i w innych miejscach niekontrolowanej aktywności. Ulica stała się dla nich źródłem wiedzy o życiu. Tu realizują swoją naturalną aktywność poznawczą i społeczną. Są to więc dzieci wychowujące się na ulicy i tam wychowywane".

W terminologii międzynarodowej dominują dwie klasyfikacje. W pierwszej z nich wyróżnia się: (1) „street working children" – dzieci pracujące na ulicy, ale utrzymujące kontakt z rodziną i najczęściej mieszkające w domu rodzinnym; (2) „street living children" – dzieci mieszkające i pracujące na ulicy, prawie nieutrzymujące kontaktu z rodziną; (3) „children at risk" – dzieci w więzieniach lub instytucjach poprawczych, dzieci utrzymywane przez starsze dzieci, dzieci pracujące, których warunki życia nie odpowiadają Konwencji o prawach dziecka. Polskie dzieci ulicy kwalifikują się głównie do pierwszej kategorii – spędzają czas na ulicy, pracują na niej, ale utrzymują kontakt z rodziną i zazwyczaj wracają do domu na noc. Według drugiej typologii wyróżnia się: (1) „children on the street" – dzieci pracujące i bawiące się na ulicy, pozbawione zainteresowania dorosłych; (2) „children of the street" – dzieci żyjące na ulicy, sporadycznie podtrzymujące kontakt z rodzicami; (3) „street children" – dzieci żyjące na ulicy bez kontaktów i wsparcia ze strony rodziców czy innych opiekunów.

To problem globalny

Problem „dzieci ulicy" ma charakter globalny i dotyczy wszystkich systemów politycznych, gospodarczych i społecznych. Abstrahuję w tym miejscu od sytuacji dzieci w Indiach, gdzie problem „dzieci ulicy" jest smutną, nagminną codziennością, czy też w innych częściach świata, przede wszystkim w Ameryce Łacińskiej czy Afryce, gdzie sytuacja jest niezwykle poważna. Skupmy się na Europie. W poszczególnych jej krajach zjawisko „dzieci ulicy" charakteryzuje się i wyjaśnia bardzo różnie. Problem ten wiąże się z sytuacją ekonomiczną danego kraju, a zazwyczaj z jego biedą. Niezwykle trudna jest sytuacja dzieci w Rumunii, gdzie żyją na ulicach w strachu przed rodzicami i postrzegane są w kraju przez społeczeństwo jako grupa negatywna, wzbudzająca niechęć, litość i lęk. Zamiast zainteresowania ich losem, otrzymują od innych jałmużnę. W Szwecji zaś problem ten nie istnieje, bo nie jest oficjalnie nazywany. Dzieci w wieku od 12 do 18 lat, które mają sporadyczny kontakt z rodzicem czy opiekunem, czy też nie mają go wcale, określane są jako „dzieci opuszczone". We Włoszech z kolei termin „dzieci ulicy" zastąpiono określeniem „nieletni zagrożeni", akcentując fakt, iż dzieci pozbawione opieki narażone są na ryzyko wciągnięcia w nielegalne bądź zagrożone działania. W Austrii problem ten występuje rzadko i dotyczy przede wszystkim nielegalnych uchodźców, bez zabezpieczenia finansowego i miejsca zamieszkania. W krajach byłego ZSRS, na przykład na Ukrainie, za dzieci ulicy uznaje się dzieci bezdomne, które są rzeczywiście porzucone przez rodziców bądź uciekły z domu.

Dzieci żyjące na ulicy tworzą zarówno grupy subkulturowe, jak i przestępcze, mogą zajmować się że-

eprasa.pl 8308ffc301

bractwem, kradzieżą, prostytucją. Często mają też kontakt z używkami i ze środkami psychoaktywnymi. Zagrożeń, które czyhają na dzieci, jest wiele. Dlatego najistotniejsze jest to, by przeciwdziałać temu zjawisku ze wszystkich sił. Doraźna pomoc jest ważna, niestety bardzo trudna. Zmiany, które dokonują się w dziecku ulicy, bywają nieodwracalne.

Przyczyny problemu

Różnorodność dzieci ulicy nie pozwala na podanie uniwersalnej ich typologii. Próbowano stworzyć ich wiele. Jedną z nich jest podział dzieci ulicy w Polsce dokonany przez G. Olszewską-Bakę i L. Pytkę, według których sklasyfikować je można następująco: (1) dzieci pochodzące z rodzin dysfunkcyjnych, które nie mają szans na realizację własnych dóbr określonych w Konwencji o Prawach Dziecka; (2) dzieci wychowujące się w domach niebezpiecznych, pośród awantur, pijaństwa, często głodne, wykorzystywane, poturbowane, a nawet molestowane seksualnie. Podwórko i ulica dają im większe poczucie bezpieczeństwa i autonomii niż ich własny, zdemoralizowany dom rodzinny; (3) dzieci, które ze względu na swe cechy osobowości i szczególny temperament odczuwają potrzebę niezależności, lubią podróżować i przebywać poza domem, przejawiają tzw. popęd włóczęgostwa i są spragnione przygód, wrażeń, akceptacji, ryzyka. Są albo nadpobudliwe psychoruchowo, albo też ospałe i bierne, na podwórku i ulicy zaś ożywiają się, bo znajdują tam środowisko zaspokajające ich potrzebę stymulacji; (4) dzieci pochodzące z tzw. normalnych rodzin, o dobrym lub wysokim statusie materialnym, w których jednak rodzice nie potrafią wytworzyć więzi emocjonalnych i sprostać problemom wychowawczym. Zajmują się swoim sukcesem zawodowym i materialnym i materializują potrzeby psychiczne dziecka, ograniczając do minimum relacje interpersonalne i wychowawcze. Swoje niezaspokojone potrzeby dzieci realizują więc w grupie rówieśniczej, najczęściej destruktywnej.

Dzieci ulicy kojarzone są najczęściej ze środowiskiem patologicznym i biedą, jednakże problem ten dotyczy różnych typów środowisk. Coraz częściej stają się nimi dzieci pochodzące z rodzin dostatnich, a nawet zamożnych, nie znajdują w nich bowiem zaspokojenia swych potrzeb ważniejszych od materialnych – potrzeb emocjonalnych. Pokazuje to dobitnie, jak ważną rolę w rozwoju dziecka spełnia rodzina. Ta jednak we współczesnych czasach przeżywa ogromny kryzys. XXI wiek to czas rozpadu, który dotyczy niestety również rodziny. Powinna być ona źródłem miłości, kolebką moralności i miejscem bezpiecznym, stała się jednak ofiarą panującej mody na tymczasowość i względność. Małżeństwo staje się coraz częściej niepotrzebne, dzieci zresztą też. Przemiany rodziny, które nastąpiły w ostatnich latach, przyczyniły się do wzrostu rodzin niepełnych i liczby tzw. eurosierot.

Najważniejsza jest rodzina

Pytania o to, kim jest dziecko, winno być odniesione do pytania o jego rodzinę. To ona jest bowiem naturalnym, a także społeczno-kulturowym środowiskiem, w którym dziecko pojawia się i w którym dorasta. Pytając więc o dziecko, które określamy „dzieckiem ulicy", musimy brać pod uwagę przede wszystkim jego rodzinę, naturalne środowisko, z którego pochodzi. Bycie dzieckiem zawsze oznacza istnienie w rodzinie albo w kontekście rodziny, równoczesne zatem funkcjonowanie w wymiarze wzajemnych relacji i dystansów pomiędzy jej członkami. W przypadku „dziecka ulicy" mamy z pewnością do czynienia z rodziną dysfunkcyjną, jej dysfunkcyjność zaś może być powodowana różnorakimi czynnikami. Dlatego zdefiniowanie „dziecka ulicy" nie jest łatwe. Przyczyn tego, że dziecko woli spędzać większą część swego życia na ulicach, może być wiele. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że w domu nie ma wystarczającej więzi emocjonalnej, by dziecko czuło się bezpiecznie, by czuło się w nim chciane, że nie czuje wsparcia ze strony rodziców czy opiekunów i nie spędza z nimi wspólnie czasu. Woli więc przebywać w grupie rówieśników na ulicy, gdzie czuje się choć częściowo potrzebne i w jakiś sposób doceniane. (W pewnym sensie dziećmi ulicy są też te, które większość swojego czasu spędzają w rzeczywistości wirtualnej – w Internecie, jest on bowiem również sferą niekontrolowanej aktywności i formą ucieczki od rzeczywistości domowej).

Jak pisze M. Marszałek, zjawisko to ma różne przejawy, jednak istota problemu wydaje się zawsze taka sama: ktoś zapomniał o prawach dziecka, o tym, że dziecku należy się opieka i szacunek. Dzieci, które trafiają na ulicę, łączy poczucie zaniedbania, braku akceptacji przez najbliższe im środowisko, brak poczucia przynależności do rodziny, a także nieufność. Bardzo istotnym problemem jest także poczucie odrzucenia zarówno w wymiarze psychicznym, jak i społecznym. Pozbawione zainteresowania i miłości, włóczą się po ulicach, popadając w kłopoty. Stają się sprawcami, ale często także ofiarami przestępstw.

Dzieciństwo nie jest tylko etapem życia, który trwa lub minął. To część naszego istnienia, która stanowi „rdzeń" każdego z nas, która „programuje" nas na całe życie, bo wyposaża nas w umiejętności współbycia i współdziałania z innymi. Stanowi ono dla nas miejsce gromadzenia doświadczeń, które będą miały wpływ na całe nasze życie. Doświadczenie ulicy jest w przypadku dziecka całkowicie nieakceptowane. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Jakub Augustyn Maciejewski

SPISKOLOGIA, CZYLI DLACZEGO TEORIE SPISKOWE SĄ SZKODLIWE

Teorie spiskowe rozpalają wyobraźnię, stają się częścią kultury, doprowadzają do obsesji tysiące ludzi na całym świecie! I choć w historii ludzkości spiski nieraz zmieniały bieg dziejów, to jednak „spiskologia" i snucie wielkich teorii na ten temat nie tylko nie powstrzymuje spisków, lecz wręcz... im pomaga! Temu labiryntowi przesady warto się przyjrzeć.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 8308ffc301

Wyjaśnijmy najpierw, czym jest spisek, a czym teoria spiskowa, bo musimy dostrzec, czym są naturalne dla polityki tajne porozumienia, a czym paranoja szukająca sekretnej władzy rządzącej światem.

Spiski naturalnym stanem polityki

Sam spisek jest po prostu tajnym porozumieniem ustalającym działanie w konkretnym celu. Senatorowie rzymscy ustalili w sekrecie, że w idy marcowe zamordują Juliusza Cezara, na przełomie XII i XIII wieku kupcy z Republiki Weneckiej tak posterowali IV krucjatą, że zamiast walczyć z muzułmanami, obalili oni bizantyjską władzę w Konstantynopolu i zaprowadzili Cesarstwo Łacińskie, zaś w 1688 roku protestanci uknuli przeciwko katolickiemu królowi Anglii Jakubowi II udaną intrygę, by pozbawić go tronu.

Rzeczpospolita, w której panowały rządy parlamentarne, spiski nasilały się zwłaszcza w czasach wolnych elekcji – obce dwory dyskretnie umawiały się z magnatami, na poparcie ich kandydatów, zaś w debacie publicznej krążyły oficjalne i upiększone wersje o potrzebie wybierania na przykład Austriaka, bo walczy z Turkami, albo Francuza, bo pochodzi z wysokiej kultury Wersalu. Były i spiski, czasem brutalne, dla wyższego dobra. Jan III Sobieski potrafił skazać poetę Jana Andrzeja Morsztyna za zdradę i branie łapówek z Paryża (choć sam wcześniej brał), bo literat stał mu na drodze w uchwaleniu pomocy dla oblężonego Wiednia.

Konstytucja 3 maja, wielkie ustrojowe dzieło, była efektem spisku, bo król i reformatorzy nie poinformowali większości posłów o terminie kluczowego posiedzenia!

Jednym z najważniejszych spisków w dziejach było porozumienie rządu niemieckiego z rosyjskimi organizacjami terrorystycznymi, na mocy którego 31 głośnych działaczy socjalistycznych i komunistycznych zostało przewiezionych w eksterytorialnym wagonie z Niemiec w stronę Piotrogrodu w 1917 roku. Wśród specjalnych pasażerów był Włodzimierz Lenin, który dzięki tej pomocy ze strony Ministra Spraw Zagranicznych II Rzeszy Arthura Zimmermanna przybył do osłabionej rewolucją lutową Rosji i mógł wkrótce potem przejąć władzę dla bolszewików.

Spiski zatem wydają się naturalnym stanem polityki, choć – o czym będzie mowa później – ich natężenie wzrosło w XVIII wieku i trwa do dzisiaj. A jednak teoria spiskowa to coś więcej niż podejrzewanie o konkretny spisek, bo „konspiracjoniści" (ang. conspiracy theories, czyli teorie spiskowe) niejawne układy opisują według innej metody. Dla nich średniowieczny zakon Templariuszy był potężnym zgromadzeniem dyktującym układ sił w znanym świecie, a gdy go rozwiązano, przeszedł w inne struktury, istniając do dziś w towarzystwach masońskich. Spiskolodzy przyczynę rewolucji francuskiej upatrują w planie masonerii, a w dynamicznie rozwijających się bankach żydowskich XIX wieku widzą wszechmocny sojusz bogaczy semickich, którzy finansuję obie strony różnych wojen, by na tym zarabiać i osłabiać zdrowe chrześcijańskie siły. Prawda że jest różnica?

Spiskolodzy i wszechwładne knucie

Między badaniem spisków faktycznych a paranoją teorii spiskowej istnieje przepaść:

Spiski czasem realizują swój cel, a czasem się nie udają – sekretne gremia w teoriach spiskowych zawsze zwyciężają.

Spiski zawiązują się, a potem rozwiązują lub rozpadają się – superspiski istnieją od setek lat i wiecznie realizują ten sam potężny plan.

Spiskowcy popełniają błędy – w teoriach spiskowych, intryganci potrafią sterować ludzkością na dekady, a nawet stulecia wprzód.

Spiskowcy kłócą się między sobą – w teoriach spiskowych są monolitem, nawet jak są ich tysiące i pochodzą z różnych stron świata (czyli powinni się różnić).

Spisków, drobnych, większych i dużych jest wiele – w teoriach spiskowych są zazwyczaj odnogami jednego wielkiego spisku.

Spiski czasem są organizowane przez upadające albo tracące na znaczeniu siły – w teoriach spiskowych są to tylko najmocniejsi i nagroźniejsi ludzie świata.

Spiski da się powstrzymać, obalić, w teoriach spiskowych są nie do pokonania – o ile nie słucha się głosicieli tychże teorii.

Istnienie spisków prędzej czy później można zweryfikować, teorie spiskowe nie są do zweryfikowania, a dowody przeciwko nim stają się pseudodowodami na ich istnienie.

Twórcy teorii spiskowych biorą więc za obiekt nienawiści faktycznie istniejące środowisko ze swoimi celami i przypisują im nieprawdopodobne moce. Spiskolodzy biorą więc jakąś grupę interesu i pomijając racjonalne i socjologicznie badane aspekty jej działalności przypisują im wszechwładne knucie.

Według „Encyklopedii" PWN grupa interesu zajmuje się „realizacją określonych celów – od lobbingu (wywieranie wpływu na rezultaty procesu

eprasa.pl 8308ffc301

decyzyjnego władz przy wykorzystaniu wszelkich dozwolonych prawem środków) przez związki z partiami politycznymi i nieformalny wpływ na działania polityków". Tak jak obecnie wokół ustawy „piątka dla zwierząt" walczą także grupy interesu producentów futer, tak w XIII wieku Wenecjanie wpływali na Krzyżowców, a w XIX wieku asymilujący się Żydzi korzystali ze swoich przewag bankierskich i handlowych, aby zyskać wyższy status społeczny. Są to pewne procesy, które się odbywają, jeśli grupa o silnej tożsamości i spójnych interesach działa na rzecz wspólnego celu – czasem nawet nie porozumiewając się szczególnie ze sobą.

Polacy jako spiskowcy niepodległościowi nie potrzebowali jednej centrali, by przechodzić do konspiracji w czasach zaborów albo niemiecko-sowieckiej okupacji – silny kod kulturowy i tradycje powstańcze sprawiały, że już we wrześniu 1939 roku w wielu miastach powstały grupy podziemne niezwiązane ze sobą, ale spiskujące przeciwko Niemcom i Rosjanom. Władzom na emigracji zajęło ponad dwa lata scalenie większości z tych organizacji w jedną Armię Krajową. Podobnie Żydzi przez pokolenia wychowywani na uboczu głównego nurtu życia państwowego wyspecjalizowali się w ponadnarodowych transakcjach handlowych, nabierając jednocześnie nieufności do antysemickich rządów protestanckich czy organizującej pogromy prawosławnej Rosji – nie potrzeba było żadnej tajnej rady, by wyznawcy judaizmu sceptycznie patrzyli na silne religie państwowe w państwach, w których mieszkali.

Te same grupy interesu czy wspólne cele szerszych grup społecznych, które są zgodne w jednych sprawach, mają odmienne poglądy w innych – o to toczą się spory i ewentualne spiski rozpadają się właśnie przez to: trudno jest utrzymać te same przekonania w małej grupie ludzi, a co dopiero u tysięcy rozmaitych osobowości. Dlatego Żydzi potrafili w międzywojniu brutalnie spierać się o to, czy należy powrócić na ziemie starożytnego Izraela (syjoniści) czy asymilować się w laickich krajach Zachodu. Dlatego Polacy organizowali powstania czy państwo podziemne, a potem z niechętnymi wojnie generałami powstania listopadowego, skłóconymi stronnictwami powstania styczniowego czy rozbieżnymi wizjami na przetrwanie Polski w czasie II wojny światowej, przegrywali lub osiągali cele jedynie połowicznie.

Teorie spiskowe rodzą się więc z kilku powodów: na podstawie prawdziwych spisków dobudowywana jest skrajnie przesadna podejrzliwość ideologia; gdy procesy polityczne i społeczne stają się bardziej skomplikowane i łatwiej je wytłumaczyć sekretnym planem niż procesami interakcji międzyludzkich; teorie spiskowe powstają czasem... w wyniku spisków – czyli wymyśla się je i podtrzymuje do własnych, niejawnych celów.

▶ Spiski a teorie spiskowe – przykład templariuszy

Gdy w 1129 roku papież zatwierdził istnienie Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, wielu możnych ówczesnego świata patrzyło na ten twór z niezrozumieniem. Z jednej strony templariusze, bo to o nich mowa, byli katolickim zakonem (takim jak benedyktyni czy cystersi), a jednak z mieczami i zbrojami, z drugiej – rycerzami, ale mającymi szczególne względy w Kościele katolickim (jako zakon!). Dodatkowo poruszali się po niedawno zdobytych, tajemniczych ziemiach Jerozolimy, Egiptu czy Cypru – ileż tajemnic mogło się tu narodzić. Nowa formuła sprawdziła się na tyle, że templariusze nie tylko przez ponad 150 lat skutecznie bronili twierdz chrześcijańskich przed muzułmanami, lecz także gromadzili w swych zamkach spore bogactwa. Około 1310 roku skończyła się dobra passa rycerzy zakonnych, których król Francji Filip IV Piękny pozbawił mienia, kazał torturować, a wielu z nich – zabić.

W powieściach antykatolickiego Dana Browna, a także w wielu filmach („Skarb Narodów") czy nawet w grach komputerowych („Broken Sword") templariusze przetrwali prześladowania i istnieją dziś w tajnych organizacjach masońskich, nadal dysponując bogactwami, rządząc różnymi dziedzinami życia, ale nie w katolickim duchu, a w takim, o jaki oskarżał ich król Francji: promując rozwiązłość, zdobywając władzę nad światem.

I tak oto mamy pierwszą teorię spiskową, która powstała w wyniku spisku – to francuski monarcha kazał rozpowszechniać kłamstwa na temat templariuszy i zmusił papieża do zawieszenia zakonu. Monarcha potrzebował – a jakże – pieniędzy i konfiskata dóbr zakonnych miała mu pomóc, a do tego trzeba było kampanii oszczerstw wobec rycerzy-zakonników. Oskarżano więc templariuszy o homoseksualizm, gromadzenie wielkich dóbr na swoje potrzeby, herezje, a nawet wspieranie diabła. Jako „dowody" przytaczano ich symbolikę, jak na przykład pieczęć z dwoma jeźdźcami na jednym koniu, w których dopatrywano się homoseksualizmu, a Świątynia Salomona, która występowała w nazwie, miała być obiektem czci większym niż katolicki Kościół.

eprasa.pl 8308ffc301

W późniejszych wiekach wierzono, że wszystkie tragedie, jakie spadały na monarchię francuską, były działaniem templariuszy, ukrywających się od setek lat w podziemiu. Charles Louis De Gassicourt w 1792 roku wydał broszurę „Grób Jakuba de Molay" (ostatni mistrz zakonu, spalony na stosie), w której wywodził, że rewolucja francuska jest dziełem spadkobierców mściwego zakonu.

Spisek Filipa IV się powiódł, złoto templariuszy okazało się mniej obfite niż oczekiwał, zakon upadł, a spiskowa teoria przetrwała.

Spiski a teorie spiskowe – przykład masonerii

Masoneria powstała w XVIII wieku i do dziś budzi największe spiskowe skojarzenia. Zresztą – na własne życzenie, bo towarzystwa wolnomularskie zakładają tajność członkostwa, obrzędów i celów. Wiemy jednak, że powstały z grona wykształconych rzemieślników budowniczych, inżynierów i architektów, którzy chcieli strzec swojego fachu, czuli się wyjątkowi, aż wreszcie przyjęli świeckie, laickie i oświeceniowe wartości, które chcieli dyskretnie promować w społeczeństwach. Papież Klemens XII poświęcił masonerii bullę „In Emintenti" już w 1738 roku. Ojciec Święty nakładał ekskomunikę na każdego masona, a katolikom zabraniał wstępowania do organizacji wolnomularskich.

W ciągu 150 lat Rzym aż piętnastokrotnie potępiał masonerię, a stanowisko Kościoła podtrzymał jeszcze św. Jan Paweł II – katolikom nadal nie wolno należeć do zgromadzeń masońskich. Na tej podstawie wielu autorów, przedstawiających się jako katolickich, snuje opowieść o wszechwładzy masonerii, o tym jak zaplanowali oni powszechną aborcję, eutanazję, wynarodowianie, a ostatnio – szczepionki czy rzekome wszczepianie ludziom mikroczipów kontrolujących mózgi. Maciej Giertych dopatrywał się w poszczególnych gestach ręki Aleksandra Kwaśniewskiego sekretnych znaków wysyłanych masońskim mocodawcom, Henryk Pająk twierdził, że amerykański Kapitol czy lotnisko w Denver są zaprojektowane jako miejsca masonerii, a Stanisław Krajski przekonuje, że nawet koronawirus jest masońskim projektem. Nic tylko podziwiać piwoszy z londyńskiej karczmy z 1717 roku, którzy zawiązali klub, trzysta lat później produkujący wirusa i sprzedający maseczki miliardom ludzi.

Oczywiście że masoneria istnieje – wielkie loże z Francji czy Wielkiej Brytanii mają swoje organizacje satelickie, a do tych klubów należą czasem najbardziej wpływowi ludzie, których zazwyczaj łączą poglądy, które określilibyśmy progresywnymi. Wolnomularzy śmiało można uznać za wpływową grupę interesu, która różnymi narzędziami oddziałuje na rzeczywistość. Są to ludzie z establishmentu, ludzie władzy czy biznesu, którzy potrafili wytworzyć liberalną kulturę dominującą. Niejawność członkostwa czy nieobnoszenie się z nim dodaje im nie tylko egzotyczności, lecz także skuteczności – z ukrycia czasem można przekonywać skuteczniej. Czy jednak masoneria rządzi światem?

Wierzono, że wszystkie tragedie, jakie spadały na monarchię francuską, były działaniem Templariuszy, ukrywających się od setek lat w podziemiu. Charles Louis De Gassicourt w 1792 roku wydał broszurę „Grób Jakuba de Molay" (ostatni mistrz zakonu, spalony na stosie), w której wywodził, że rewolucja francuska jest dziełem spadkobierców mściwego zakonu.

Historia nie potwierdza, aby masoni, nawet w obrębie tej samej loży, popierali się w politycznych planach. Jeśli masonem w tym samym czasie był rumuński premier Alexandru Golescu i król Belgii Leopold II, to jak to się niby przełożyło na wsparcie? Jak jednym spiskiem wytłumaczyć walkę masona Silvio Berlusconiego z promasońskim europarlamentem? Spiskolodzy tłumaczą, że są to frakcje walczące o władze albo że jedynie udają spór – tak postawione zagadnienie jest nieweryfikowalne. Masoni są tymczasem po różnych stronach barykady i często zwalczają się nawzajem, co pokazuje, że wolnomularstwo jest członkostwem w jednym z wpływowych, ekskluzywnych klubów, niż siatką wielkiego mistrza, który rządzi światem.

Z katolickiego punktu widzenia masoneria jest zagrożeniem nie tylko dla Kościoła, lecz także dla ludzkości, o czym wielokrotnie przypominał Stefan Wyszyński, z niesmakiem wspominając wpły-

eprasa.pl 8308ffc301

wy wolnomularzy w II Rzeczypospolitej – jednak owe zagrożenie nie jest tak silne i wszechobecne, jak przekonują spiskolodzy.

▶ Spiski a teorie spiskowe – przykład Iluminatów

Teoretycy ogólnoświatowych spisków dali drugie życie środowiskom czasami zupełnie drugorzędnym i nieistotnym. Jedno z XVIII-wiecznych stowarzyszeń paramasońskich – Zakon Iluminatów, stał się straszakiem na konspiracjonistów we wszystkich zakątkach zachodniego – i nie tylko – świata. Założył go bawarski filozof Adam Weishaupt (1748–1830), który był typowym przedstawicielem swojej epoki: zgodnie z duchem Oświecenia wierzył w rozum, a za wady cywilizacji obwiniał brak edukacji, religię (zwłaszcza chrześcijańskie wyznania) i przesądy. Niemiecki myśliciel powtarzał te same schematy co postępowcy XVIII wieku, a za nim późniejsze pokolenia rozmaitych progresywistów i lewicowców: że kiedyś narody zginą, a ludzkość będzie się nawzajem kochać w bezklasowym społeczeństwie. 1 maja 1776 roku Weishaupt założył swój Zakon, czyli – jak to było w zwyczaju w tamtych czasach – klub wpływowych mężczyzn, mających promować swoje oświeceniowe poglądy na politykę, społeczeństwo i religię. Katolicka Bawaria od początku patrzyła na tajne gremium nieufnie – w 1784 roku zaczęły się represje na tej wątpliwej wielkości myślicielach, a w 1787 roku Zakon zlikwidowano.

Gdy dwa lata później szaleństwa rewolucji francuskiej rozpętały się w Paryżu, niszcząc monarchię i tradycyjny ład społeczny, w Bawarii posunięto się krok dalej – w 1790 roku władze ogłosiły, że działalność iluminacka będzie karana śmiercią. Gdy jednak we Francji zaczęły spadać głowy, a stary świat królów i arystokracji zaczął być zastępowany przez mieszczaństwo i kupców, znów pojawił się stary schemat teorii spiskowych – trudne do zrozumienia, nowe zjawiska społeczne zaczęły być tłumaczone w najprostszy sposób: spiskiem. I tak oto pierwsza konserwatywna gazeta w Rzeszy Niemieckiej, „Wiener Zeitschrift", założona w 1792 roku, zajmowała się walką z Iluminatami – i to w czasie, gdy Iluminatów już nie było. Oświeceniowe idee Zakonu podejmowali potem w swojej retoryce włoscy rewolucjoniści, tacy jak Filippo Buonaroti, którzy dopisywali im i treści, i znaczenie – późniejsi teoretycy spisków uznali, że jest to dowód na organizacyjną ciągłość między bawarskimi Iluminatami z XVIII wieku a włoskimi radykałami z następnego stulecia.

Dzisiaj istnieją dziesiątki filmów paradokumentalnych, fabularnych, książki i gry komputerowe – Adam Weishaupt nie mógł nawet marzyć o takiej karierze swojej organizacji. I tak oto kolejny spisek, niewielki i krótkotrwały, przerobiony przez teorię spiskową stał się wszechwładnym potworem rozciągającym swe macki na cały świat.

▶ Wspólnoty interesów a teorie spiskowe – przykład Żydów

Rywalizacja pomiędzy judaizmem a chrześcijaństwem od pierwszych wieków po narodzeniu Chrystusa sprawiła, że obie grupy religijne darzyły się znaczną niechęcią. Dochodziły do tego wzajemnie wykluczające się doktryny – pożyczanie pieniędzy na procent było przez chrześcijan potępiane, więc zajmowali się tym Żydzi, którzy z kolei wierzyli w przyjście Mesjasza, mającego pognębić współczesnych władców – a więc chrześcijan. Zbieżności rytuałów i obyczajów z islamem czyniły z Żydów sympatyków muzułmanów podczas wypraw krzyżowych, zaś rasowy antysemityzm pojawił się wraz z oświeceniem i przekonaniem o wytłumaczalności wszystkiego nauką i rozumem.

Niektórzy Żydzi, którzy porzucili swoje wyznanie, byli najbardziej gorliwymi antysemitami – jak to było w przypadku Karola Marksa, co zresztą jest typowe dla neofitów wszystkich grup – nowi członkowie chcą się przesadnie „wykazać", czasem demonstracyjnie odcinając się od wspólnoty, z której wyszli. Z drugiej strony wielowiekowa solidarność między Żydami i ich instynkt przetrwania w trudnych warunkach diaspory uczyniła niektóre rodziny silnymi ekonomicznie – rody Rotschildów czy Warburgów to prawdziwe legendy finansjery.

Do ogólnej rywalizacji pomiędzy wyznaniami czy ekonomicznej konkurencji Żydów i chrześcijan doszła jednak patologiczna teoria spiskowa, która – znowu – była stworzona przez spisek. W 1903 roku paryski oddział Ochrany, rosyjskich tajnych służb cara Mikołaja II, sfabrykował dokument, który zrobił w XX wieku zawrotną karierę. „Protokoły mędrców Syjonu" wymyślił oficer Ochrany Piotr Raczkowski, a napisał Matwiej Gołowiński, przedstawiając w nich rzekome posiedzenie Kongresu Syjonistycznego z sierpnia 1897 roku w Bazylei. Pismo zawierało rzekome konkluzje ze spotkania, wśród których miało być zniszczenie chrześcijaństwa i kontrola nad światem, na przykład za pomocą podziemnych tuneli pod miastami, które pozwolą w jednej chwili wysadzić w powietrze metropolie, po podłożeniu tam bomb. Funkcjonariuszom „Ochrany" chodziło o... metro, mające być

eprasa.pl 8308ffc301

narzędziem zniszczenia autorstwa Żydów. Fałszywka powstała jako element carskiego planu radzenia sobie z kryzysem wewnętrznym w imperium – pogromy na Żydach i kampanie antysemickie miały odwracać uwagę od ekonomicznych i społecznych trudności rządów Mikołaja II. Słowem: teoria spiskowa o Żydach przygotowujących się do władzy nad światem powstała w wyniku... spisku tajnych służb. Janusz Tazbir twierdził, że pismo było plagiatem z „Poufnych rad jezuitów", napisanych w 1613 roku przez eksjezuitę Hieronima Zahorowskiego, który oszczerczym paszkwilem chciał oczernić potężny zakon.

Profesor Daniel Pipes twierdzi, że w „Protokoły" uwierzył nawet sam car, historyk przypomina także, że dziełko zyskało uznanie takich mainstreamowych gazet jak „The Time", a w III Rzeszy było do końca przykładem rzekomych spisków żydowskich. Jeszcze z 2003 roku, z czasów kampanii referendalnej o przystąpienie do Unii Europejskiej, pamiętam, jak dziwni panowie rozdawali na jednej z łódzkich ulic „Protokoły mędrców Syjonu", ale datowane na... 1997 rok!

Lawina spisków

Teorie spiskowe zaliczyły już do grona wrogów wszystkie możliwe zjawiska. Daniel Pipes pisze, że w USA nawet narkomania wśród Murzynów stała się obiektem teorii – to rząd, Biały Dom, „biali z Waszyngtonu" mieli niszczyć w ten sposób czarnoskórą ludność. Na początku 1991 roku anonimowe ulotki w biedniejszych dzielnicach Nowego Jorku ostrzegały, że smaczny i popularny słodki napój „Tropical fantasy" został przygotowany przez Ku Klux Klan i prowadzi czarnoskórych do bezpłodności.

Jeden z najbardziej popularnych seriali sprzed dwóch dekad, „Z archiwum X", zawiera spis wszystkich teorii spiskowych, potraktowanych zresztą całkiem serio, włącznie z tajną współpracą rządu USA z kosmitami czy wszczepianiem eksperymentalnych urządzeń do mózgów niektórych obywateli. Dziś teorie o montowaniu przez Billa Gatesa nanochipów w głowach ludzi za pośrednictwem szczepionek albo o koronawirusie jako zaplanowanym sposobie depopulacji ludzkości (albo zarobienia pieniędzy na lekarstwach) głoszą rozmaici propagatorzy teorii spiskowych, przy czym oficjalna, unijna strona internetowa euvsdisinfo.eu wskazuje rosyjskie ośrodki dezinformacyjne jako źródło tych koncepcji.

Teorie spiskowe – zmyślone i szkodliwe

Wielokrotnie więc okazywało się, że teorie spiskowe są zmyślone w konkretnym celu – rosyjskie służby prowokowały do antysemickich zachowań, wyolbrzymianie roli masonerii i Iluminatów było celem czasem właśnie tajnych paramasońskich grup, chcących dodać sobie wizerunku wszechwładzy, wreszcie istnieją zwykli zarabiacze na teoriach spiskowych – autorzy książek i filmów albo politycy organizujący protesty i wzywający ludzi do buntu przeciwko wyimaginowanemu wrogowi. Proces zmyślania teorii spiskowej opisaliśmy m.in. w numerze 5/169 (2020) miesięcznika „Nowe Państwo" na przykładzie profesora Quigleya. Historyk opisał sekretne zgromadzenie anglofilów z pierwszej połowy XX wieku, a stowarzyszenie John Birch Society wybrało z jego książki niektóre fragmenty, dodając mroczne komentarze o tym towarzystwie zwanym m.in. „Grupą Okrągłego Stołu". Do dziś amerykański badacz (zmarł w 1977 roku) jest postrzegany jako wariat, choć on scharakteryzował jedynie część anglo-amerykańskiego establishmentu – teoretycy spisków wolą jednak relacje międzyludzkie zabarwić sensacją. I tak oto spiskolodzy zarobili na kilku fragmentach Quigleya więcej niż sam historyk na całej swojej 1600-stronicowej książce. Czyż więc zmyślanie i straszenie nie jest po prostu opłacalne?

Ale teorie spiskowe mają jeszcze jeden szkodliwy skutek. Demonizując do granic wyobraźni faktyczne spiski lub grupy interesu, paraliżują ich przeciwników, pogłębiają życiową frustrację i nie prowadzą do żadnych dobrych celów. Katoliccy działacze zamiast tworzyć silne wspólnoty głoszące Ewangelię, uganiają się za niewidzialnymi masonami, przegrani emigranci w Stanach Zjednoczonych za brak sukcesów obwiniają Żydów, a czarnoskóra ludność zamknięta w slumsach zamiast poddawać się socjalizacji i edukacji, woli wskazywać na spiski białych. Teorie spiskowe odwracają uwagę, marnują energię, marginalizują ludzi, a czasem łamią im życie. Ostatnio, nawet w Polsce, rzekomo bohaterski bunt przeciwko maseczkom zamiast pomagać w zmniejszaniu obostrzeń – sprzyja rozprzestrzenianiu się koronawirusa. Grzegorz Braun zresztą nie pierwszy raz tak heroicznie staje do walki z niewidzialnym wrogiem. W jednej ze swoich ostatnich książek Braun wspomina o mapie świata z XIX wieku, na której widać opisy III wojny światowej. Rafałowi Otoce-Frąckiewiczowi mówi, że to dowód na zaplanowanie historii na dekady naprzód. Teraz ten lider Konfederacji przewodzi marszom wyznawców teorii, że pandemia została zaplanowana przez Billa Gatesa. Nic tylko podsunąć Braunowi i jego wielbicielom jakąś nową teorię... ■

eprasa.pl 8308ffc301

Piotr Lisiewicz

Jesteśmy grudą ziemi i sumieniem świata

eprasa.pl 8308ffc301

„Piłsudski zogniskował w sobie miłość do Polski mocarstwowej, Polski zjednoczonej z Litwą. Wierzę, że najwyższym szczęściem duchów zbawionych jest to, że mogą współtworzyć z Bogiem w dziejach i losach świata. W takim sensie Piłsudski dla mnie jest zawsze żywy" – pisała Błogosławiona Natalia Tułasiewicz. W czasie wojny Armia Krajowa wysłała ją z misją do Niemiec. Zdemaskowana z winy nieostrożnego kuriera, bita i torturowana, zginęła w obozie Ravensbrück. W 1999 roku beatyfikował ją Jan Paweł II.

fot. Arch.

Nasz najpiękniejszy przydomek: »przedmurze chrześcijaństwa«, będący solą w oku współczesnym historykom i publicystom, znów nabiera pełni znaczenia... W czasie kanonizacji św. Andrzeja Boboli, w niesłychanym tłoku, zrozumiałam nagle i z pełnią oczywistości, że gdy Opatrzność żąda od nas najwyższego, zda się ponadludzkiego wysiłku, obdarza nas też w sposób niewidzialny ponadludzką mocą" – pisała w swoich niezwykłych zapiskach „Być poetką życia".

▶ „Rozkwitam jak królowa nocy"

Myliłby się ten, kto spodziewałby się, że to typowe zapiski kandydatki na ołtarze. Poetka, polonistka, zakochana w książkach, pisała w Ciechocinku o swoim byłym chłopaku... komuniście: „Czy jednak instynkt macierzyński wygasł we mnie? Albo instynkt kochanki? Należę do tych kobiet, których można na ulicy nie zauważyć, ale za to w miłości rozkwitam tak, jak królowa nocy, której cud jest niepowtarzalny, jedyny. Janek nie znał jeszcze całej tajemnicy tego cudu – nie mógł znać. Ale to, w co go miłość moja tylko dziewczęca wtajemniczyła, oszałamiało go szczęśnie. I trzeba być doprawdy ograniczonym półgłówkiem, by tę szczęśliwość przypisywać tylko temu, co dziś się określa powszechnie jako seksapil. Mojej miłości nie wyczerpują ani pocałunki, ani pieszczoty".

Inny zapis, również nietypowy jak na przyszłą błogosławioną: „Dobrze pamiętam, że gdy byłam w Czarnkowie i ciągle robiłam papierosy, to choć miałam dopiero rok szesnasty, tak mię atmosfera tytoniu brała, że aż mi się śniło, że palę. Teraz, gdzie się zbiera nieraz towarzystwo, spostrzegam, że papieros niejako ociepla atmosferę, dodaje palącym w oczach wielu współczesnych elegancji i szyku, wreszcie podnieca nerwy, nastraja je na ton towarzyskiej gawędy o wszystkim i o niczym. Jeden i drugi kieliszek wódki czyni atmosferę błyskotliwą. Rozumiem, że wszystko stosowane w miarę, ma swój sens".

„Jej wizja świętości ściśle wiąże się z ideą piękna" – pisze Jakub Żmidziński w książce „Wierność łasce i słowu. Błogosławiona Natalia Tułasiewicz", pod redakcją Jacka Hadrysia i Barbary Judkowiak. W wierszu „Pielgrzym" Tułasiewicz pisała o Poznaniu, do którego przeprowadziła się jako 15-latka. Opisywała w nim niemiecki Zamek Cesarski i stojący nieopodal Pomnik Najświętszego Serca Pana Jezusa w Poznaniu, nazywany też Pomnikiem Wdzięczności, który natychmiast po wkroczeniu zburzyli Niemcy:

eprasa.pl 8808ffc301

Jest w Polsce miasto z szarego kamienia,
W serce mu gromem zamek pruski wbito [...]
W pobliżu zamku Chrystus, Król Wolności,
Stał na cokole w spiżowej zadumie,
A Boże serce gorzało Mu złotem.
Klękali przed nim ludzie sercem prości.

Wiersz powstawał 29 i 30 października 1939 roku, a więc w dwa miesiące po wybuchu wojny, w święto Chrystusa Króla. Poetka zapowiadała:

Dlatego wam powiadam, ludzie sercem prości,
Nie wierzcie, iże skonał Król naszego miasta [...]
Baczcie! Szarość kamieni zielenią obrasta.
Hosanna! Chrystus wraca do swojego miasta!

Przepowiednia nie spełniła się dotąd o tyle, że władze Poznania od lat blokują odbudowę Pomnika Wdzięczności, natomiast w pruskim zamku działa dziś lewackie miejskie centrum kultury...

„Mickiewicz a muzyka"

Natalia Tułasiewicz urodziła się 9 kwietnia 1906 roku w Rzeszowie, pod zaborem austriackim jako córka Adama i Natalii. Ojciec był urzędnikiem skarbowym. Ochrzczona została w rzeszowskiej farze.

Już w szkole potajemnie pisała wiersze. Naukę rozpoczęła w Kętach koło Oświęcimia. Tam miała okazję widzieć na żywo Józefa Piłsudskiego. Napisze później: „Widziałam Piłsudskiego raz tylko, gdy miałem jakieś osiem czy dziewięć lat, w Kętach. Od tego czasu przylgnęłam do niego sercem i duszą". Potem kontynuowała naukę w Szkole Sióstr Klarysek i Prywatnym Gimnazjum Żeńskim w Krakowie. Uczyła się również grać na skrzypcach.

Jako że w domu nie przelewało się, Tułasiewiczowie przeprowadzili się w 1921 roku do Wielkopolski, w której potrzebni byli, po przepędzeniu Niemców, polscy urzędnicy. W Poznaniu rozpoczęła naukę w Gimnazjum Sióstr Urszulanek i konserwatorium muzycznym. Działała aktywnie w szkolnej Sodalicji Mariańskiej. Miała sporo kłopotów ze zdrowiem, przez co musiała przerywać naukę. W Wielkopolskim Czarnkowie przechodziła rekonwalescencję. Trudnym przeżyciem była dla niej śmierć młodej kuzynki, uzależnionej od narkotyków.

W 1926 roku ukończyła gimnazjum i rozpoczęła studia polonistyczne i muzykologiczne na Uniwersytecie Poznańskim. A studiowało wtedy niewiele kobiet. Była bardzo aktywna w życiu akademickim – działała w kole polonistycznym i w studenckiej Sodalicji Mariańskiej. Studia ukończyła w 1931 roku, a w 1932 roku uzyskała tytuł magistra filologii polskiej. Jej praca magisterska pod kierunkiem prof. Romana Pollaka, zatytułowana była „Mickiewicz a muzyka". Jej fragmenty zostały opublikowane w „Ruchu Literackim".

Mężczyzna poligamista...

W latach 1931–1937 pracowała jako nauczycielka w poznańskich szkołach: prywatnej Szkoły koedukacyjnej pw. św. Kazimierza i w Gimnazjum Sióstr Urszulanek Unii Rzymskiej. Utrzymywała cały czas kontakt z Uniwersytetem, uczestnicząc w seminariach. Planowała pracę doktorską o pisarzu katolickim Karolu Hubercie Rostworowskim. Ich ośmioletnia znajomość, którą Natalia określiła jako „okres nieustannej walki o światopogląd i duszę", zakończyła się zerwanymi przez nią zaręczynami.

Gdy dowiedziała się, że Janek ożenił się z inną, napisała, przeglądając stare listy: „W liście cały Janek: drobiazgowo wykrętny, dyskusyjny kazuista i chłopak, któremu miłość dziewczęca otwiera oczy na piękno życia i wyczarowuje z niej oddźwięki radosnej, wiośnianej poezji... Dopóki nie wiedziałam, że Janek się ożenił, garnęłam się ku niemu z całą tęsknotą, każdą myślą, każdym sprzeciwem, każdym buntem. Dziś nie mogę – zanadto szanuję prawo cudzej własności". Próbowała sobie wytłumaczyć to, że może być on z inną: „Mężczyzna może nie odczuwa tak silnie zmian takiego nastawienia. Jest przecież z natury poligamistą, podczas gdy w kobiecie normalnej tkwi monogamistka czystej wody".

Patronka Międzymorza

Wielki wpływ na jej myślenie o Polsce miała osoba Marszałka Piłsudskiego. 19 marca 1938 roku pisała: „Na dzisiejszej Mszy św. za duszę marszałka Piłsudskiego modliłam się najgoręcej jak umiałam, o pokój dalszy z Litwą, o to, by młode nasze państwo mogło w spokoju wzmóc się w siły i duchowe, i materialne potrzebne do spełnienia tych zadań, jakie Polsce przypadną w starciu przyszłym naszych sąsiadów od wschodu i zachodu".

Dzięki tym jej poglądom można by uznać ją dziś za patronkę idei Międzymorza. Pisała o Marszałku: „Piłsudski zogniskował w sobie miłość do Polski mocarstwowej, Polski zjednoczonej z Litwą. Wierzę, że najwyższym szczęściem duchów zbawionych jest to, że mogą współtworzyć z Bogiem w dziejach i losach świata. W takim sensie Piłsudski dla mnie jest zawsze żywy. Umiał kochać, a więc musiał też umieć nienawidzieć. Był zaprzysiężonym wrogiem małości.

eprasa.pl 8308ffc301

Jak każdy geniusz wielki był w dobrem i wielki w złem". W wierszu „Piłsudski" napisze:

Miłość Ojczyzny drapieżna, bez dna, szalona w uporze,
Nienawiść wroga pierwotna, mocna jak ostrze sztyletu.
Otom uznojon nad miarę, oracz na polskim ugorze,
Chciwy wolności ziarna i za krew chleba odwetu.

▶ Urodziłam się w niewoli. Horyzont się chmurzy...

Jej zapiski to na przemian demonstracja pełni wspaniałej kobiecości i... dojrzewania do świętości. Podczas pobytu w Ostrowie Morskim opowiadała o „życiodajnym dechu Bałtyku": „Pulsuje we mnie zwycięska, do walki sposobna młodość. Ciało wypoczęte staje się na swój sposób piękne. Drobne, ale kształtne i delikatne, jakże kocha pocałunki słoneczne i dobrą najdelikatniejszą pieszczotę wiatru".

23 sierpnia 1938 roku w Ciechocinku pisała o codziennym uczestnictwie w Mszy i przyjmowaniu Komunii św.: „Gdy z powodu deszczu nie ulewnego wczoraj nie poszłam do kościoła, czułam się zubożona – wydawało mi się, jakbym była jednym z członków jakiejś mistycznej, wszechświatowej orkiestry i oto przestałam grać, gdy cały zespół dźwiga melodię wzwyż".

Lubiła podróżować. Odwiedzała Wilno, płynęła Batorym do Norwegii. W 1938 roku udała się w podróż do Włoch. Wzięła udział w uroczystościach kanonizacyjnych św. Andrzeja Boboli w Rzymie. Zwiedziła Wenecję, Asyż, Florencję. To było dla niej wielkie wydarzenie z racji na jej miłość do sztuki.

▶ „Nasz żołnierz bić się będzie jak rycerz"

Jej zapiski pokazują jednak, że domyślała się, iż coś bardzo złego czeka świat, w szczególności Polskę. 12 marca 1938 roku odnotowywała: „Niemiecka armia wkroczyła dziś do Wiednia. Fakt dokonany, alea iacta est... Dla nas Anschluss jest wielkim niebezpieczeństwem... Horyzont się chmurzy... Pamiętam dobrze czas, gdyśmy nie mieli Ojczyzny. Urodziłam się w niewoli. Dlatego każdy skrawek naszej ziemi jest mi świętością. Mogę ogarnąć rozumem interesy i konieczności obce, ale to co własne, co polskie, jest dla mnie jedynym prawem".

1 października 1938 roku pisała o złudnej nadziei: „Nareszcie łapiemy oddech. Śląsk zaolziański wraca dziś do Polski. Nie cieszymy się z cudzej szkody ani nas nie rozpiera duma, że pognębiliśmy Czechów. Wraca do nas to, co nasze i dumni jesteśmy tylko z tego, że Polacy za Olzą wytrwali w polskości".

18 marca 1939 roku nie miała wątpliwości: „Już po Czechach! Niemcy wkroczyli na Hradczyn w Pradze, to wszystko idzie ku nam nieuchronnie... Nie tracę otuchy, chociaż to co ludzkie, zamiera czasem w sercu z trwogi. Modlę się ufnie: »Przecież Ty, Boże, jesteś mocą naszą. W Tobie nadzieja nasza. Doświadczaj, jak chcesz, jeno zachowaj nam Ojczyznę, dziedzictwo krwią serdeczną niedawno odkupione«".

Obok niemieckiego nazizmu widziała też idący z Rosji bolszewizm: „W Poznaniu komunista zastrzelił w kościele księdza. Wiedział, że będzie schwytany i skazany, ale odważył się. Materiał na świętego na diabelskim żołdzie. Czy ten więzień nawróci się? Modlę się o to z dziećmi naszej szkoły".

27 sierpnia 1939 roku zapowiadała proroczo: „My, Polacy, myślimy zupełnie innymi niż Niemcy kategoriami myślowymi. Bronimy swego, nie łupimy cudzego. Dlatego nasz żołnierz bić się będzie jak rycerz".

▶ „Reduta straceńców u Bałtyku wrót"

Po wybuchu wojny, pod niemieckimi bombami, zorganizowała prowizoryczną szkółkę dla dzieci. 1 października 1939 roku, gdy wszystko jest już jasne, zanotowała: „Znowu wymazano Polskę z mapy świata. Ale ona żyje w nas, żyje – bo jak mówi najpiękniejsza z pieśni świata – żyje, kiedy my żyjemy". W wierszu „Westerplatte" napisała:

Jesteśmy grudą ziemi i sumieniem świata,
My reduta straceńców u Bałtyku wrót.

W listopadzie 1939 roku całą dziewięcioosobową rodzinę Tułasiewiczów wysiedlono z mieszkania do obozu przejściowego na ul. Głównej w Poznaniu. Stamtąd wywiezieni zostali, jak wielu poznaniaków, do Ostrowca Świętokrzyskiego. 10 grudnia 1939 roku, już w Ostrowcu, zanotowała: „wywieziono nas w bydlęcych, zamkniętych wagonach w niewiadomym kierunku... Podróż w tych germańskich »kulturalnych« warunkach była tak uciążliwa, że życie w obozie było w porównaniu z tym sielanką... udzieliła nam (w dziewięć osób) najserdeczniejszej gościny biedna matka robotnika sezonowego".

▶ Walka, by nie ulec nienawiści

Z Ostrowca Świętokrzyskiego przedostała się do Krakowa. Tu zajęła się tajnym nauczaniem. Poprzez kontakt z urszulankami dotarła do uczennic. Jako nauczycielka dbała o to, by wojna „nie wyjałowiła ich dusz z poczucia piękna i dobra". Organizowała też konspiracyjne spotkania sodalicyjne oraz „środy literackie". 1 stycznia 1942 roku odnotowała: „I mija Nowy Rok. Tak mi się złożyło szczęśliwie, że noc sylwestrową mogłam spędzić u urszulanek na adoracji nocnej".

eprasa.pl 8308ffc301

Jej zapiski z tego czasu pokazują, że mimo tragedii ojczyzny nie traciła wiary. 25 lutego 1940 roku w Krakowie próbowała tłumaczyć sobie: „Mówiłam sobie wtedy w duchu: Boże mój miłuję Ojczyznę jak duszę własną... A jeśli w planach Twoich leży, aby na naszych ziemiach starło się zło od wschodu i zachodu – czyliż wolno Cię prosić, abyś odjął od nas ten kielich goryczy? Nie ma przecież zmartwychwstania bez Golgoty".

Pisała jednak szczerze o swoich odczuciach: „Ten, który mię kocha, wiedział także, że w duszy rósł nieraz bunt, dlaczego właśnie my, Polacy, tyle cierpimy w dziejach naszych. Chrystus narodów? Nie, nie! Krzyczało mi w duszy, że dopiero niecałych 20 lat egzystujemy na nowo, że jesteśmy jak młodość sama spragnieni słońca i przestrzeni".

dla tych zwłaszcza, którzy najmniej zawinili, za tych, którzy stracili wszelką nadzieję, za opętanych strachem męki i śmierci, za dzieci, kobiety, starców i za młodość ginącą w kłębach dymu i stosie płomieni".

Myślała o przyszłości świata: „Miłuję Polskę całą żarliwością duszy, poświęcę jej wszystkie siły, ale modlę się o to gorąco, bym równocześnie nigdy o tym nie zapomniała, że każdy człowiek jest moim bliźnim... Może nareszcie wnuki naszych wnuków podejmą to hasło, które podobni mnie mają odwagę, wbrew opinii powszechnej dziś nazywać po imieniu: hasło uniwersalizmu chrześcijańskiego".

Do tragedii ojczyzny dochodziła osobista – choroba i śmierć ojca. To jedne z najbardziej wzruszających zapisków: 20 czerwca 1940 pisała: „Drogie Ojczysko! Impetyk jak wszystkie Tułasy. Do tańca

27 sierpnia 1939 roku zapowiadała proroczo: „My, Polacy, myślimy zupełnie innymi niż Niemcy kategoriami myślowymi. Bronimy swego, nie łupimy cudzego. Dlatego nasz żołnierz bić się będzie jak rycerz".

25 marca 1940 roku modliła się: „Matka Jego niesie Mu nasze wołania i jak ongiś w Kanie Galilejskiej przypomina miłośnie: Ojczyzny nie mają! O Panie, nie odwlekaj z pomocą! Nie mów: Jeszcze nie przyszła moja godzina! Przybądź zwycięzcą!".

3 grudnia 1940 roku pisała dramatycznie: „najwięcej walki muszę staczać ze sobą, aby w moim wołaniu do Boga o sprawiedliwość nie było krzyku nienawiści".

Za młodość ginącą w kłębach dymu

Tworzyła sztukę teatralną o Bracie Albercie. „Mój kult dla Brata Alberta staje się jeszcze żywszy. Odnalazłam w Krakowie jego grób" – odnotowała 30 sierpnia 1941 roku. Nie mogła wiedzieć, że o Bracie Albercie sztukę napisze też Karol Wojtyła. I że w odległej przyszłości papież Jan Paweł II kanonizuje Brata Alberta i beatyfikuje ją samą...

Głęboko przeżywała także tragedię Żydów: „Są ludzie, którzy potrafią spokojnie tańczyć, gdy za ich ścianą dzieją się dantejskie sceny... jakże miałabym być głucha na rozpacz człowieczą, dlatego tylko, że cierpiącym jest człowiek innej rasy, innej wiary, innych przekonań? Więc tylko, ponieważ inaczej nie mogłam pomóc wszystkim nieszczęśliwym tego łez padołu, modliłam się sercem całym o zmiłowanie

i do różańca zawsze skory. Nieskomplikowany, a bynajmniej w życiu codziennym niełatwy. Pełnokrwisty Sarmata – o głupstwo »brałby się do korda«, a za chwilę gotów świętymi słowy przepraszać jak dziecko i ludzi, i Boga".

23 lipca 1940 roku pisała w poczuciu bezradności: „Gdy tak czuwa się przy ciężko chorym najbliższym człowieku, mimo woli wyobraźnia przywodzi na pamięć obrazy z przeszłości: chwile radości, tryumfu, rozpogodzonych żywością oczu, rozjaśnionych ust, ożywienia... i ten straszliwy kontrast! Na łożu boleści tli zaledwie iskra życia...".

W jaskini lwa

Robiła wszystko, by pozostać nieprzemakalna na propagandę wroga, by nawet pozornie nie pogodzić się z utratą Ojczyzny. 15 lipca 1941 roku po koncercie w Krakowie odnotowała: „Od czasu wojny nie słyszałam muzyki symfonicznej. Boję się swojej reakcji wewnętrznej na piękno muzyki w tych piekielnie skomplikowanych warunkach. Piękno sztuki, realizowane przez największego nawet wroga, oczyszcza z nienawiści lub jej pokusy – sublimuje nasze życie wewnętrzne. Gdyby nie ta makabryczna myśl, że i z tej okazji wróg korzysta, aby się dozbroić na nasze większe utrapienie!".

eprasa.pl 8308ffc301

Ale oprócz modlitwy czuła potrzebę działania, także tego, które wymaga poświęcenia, odwagi i bohaterstwa. W 1942 roku rozpoczęła działalność w konspiracji. W 1943 roku jako wolontariusz pojechała do Niemiec na roboty, w rzeczywistości będąc konspiracyjnym pełnomocnikiem Delegatury Rządu i wysłannikiem Wydziału Duszpasterskiego podziemnej organizacji „Zachód". Przeszkolona przez AK trafiła do fabryki „Pelicana", przerobionej dla potrzeb zbrojeniowych w Hanowerze, by pomagać robotnicom przymusowym. Po wielu godzinach codziennej, ciężkiej pracy fizycznej, prowadziła lekcje języka polskiego, wykłady o polskiej kulturze. Wsparte były one programem wychowawczym, na który składały się katechezy i nabożeństwa, akcje charytatywne i samopomocowe (na przykład paczki dla chorych). Były nawet chór i obozowe jasełka, które napisała osobiście.

Chcę do Nieba wwieść cały zastęp dusz

Natalia o swojej misji pisała 14 sierpnia 1943 roku: „Mam odwagę chcieć być świętą... Tylko świętość jest najpełniejszą miłością, więc nie tylko chcę, ale muszę być świętą, nowoczesną świętą, teocentryczną humanistką! To jest meta, do której jawnie i odważnie się przyznaję. Są dziś ludzie, którzy za wszelką cenę chcą być dyktatorami, są inni, co chcą być multimilionerami, królami nafty, smalcu, książętami prasy, radia, filmu, teatru. I nikt im się nie dziwi. Ja chcę o wiele mniej i o wiele jednocześnie więcej... I nie będzie tego, zaiste nie będzie, bym do nieba miała wchodzić sama. Chcę tam wwieść cały zastęp dusz!".

Ostatni z jej zapisków pochodzi z 18 sierpnia 1943 roku i brzmi: „Cóż ci mam, Panie mój, rzec w godzinie wołania Twego? Znasz mię, bo modlę się do Ciebie ustawicznie, modlę się całym życiem... Wiem, że mnie uważasz za wartą Getsemani, za kogoś, kto nie śpi, gdy Ty czuwasz, kto wtedy umie być z Tobą. Miłości moja! Jestem. Idę! Wiem, że mi błogosławisz".

Zdekonspirowana została przez nieostrożnego kuriera z Polski. Przez pół roku więziona była w Hanowerze i Kolonii, gdzie przeszła ciężkie śledztwo. Z wyrokiem śmierci odesłana została do niemieckiego obozu koncentracyjnego Ravensbrück.

Wieczory literackie na łóżku

„My z Krysią byłyśmy młode, przed wojną skończyłyśmy cztery klasy maturalne. W czasie wojny nie mogłyśmy się uczyć. Pani Nata postanowiła nas dokształcać. Prowadziła wykłady z literatury i historii, opowiadała treść przeczytanych książek, a nawet organizowała na moim łóżku »wieczory literackie«, recytując swoje wiersze. Na kartkach jednostronnych gazet niemieckich robiłyśmy wykazy autorów i tytuły książek – taki notatnik przechowuję do dzisiaj. Pani Nata uczyła nas również, jak mamy się modlić. W niedziele odmawiała z nami modlitwy stosowne do danej części Mszy Świętej" – tak wspominała jej działania Maria z Niedzielskich-Grabcowa, czyli „Misia" – współwięźniarka z Ravensbrück.

Jadwiga Wilczańska z Lublina tak relacjonowała jej pobyt w obozie jej siostrze Zofii: „Przez obóz w Ravensbrück koło Prezlau w Maklenburgii przeszło sto jedenaście tysięcy kobiet różnej narodowości. Miejsce, gdzie przyroda stworzyła tak cudowne warunki, że mogło nazwać się rajem... Niemcy zamienili w istną Golgotę dla kobiet. Pracowały na zmianę w dzień i w nocy po dwanaście godzin, wykonywały najcięższe prace, począwszy od ścinania drzew, noszenia cegieł, budowy, wyładowania statków... Nata od dłuższego czasu nie pracowała, była kompletnie wyczerpana po przebytej chorobie i głodzie, jaki panował w obozie. W Niedzielę Palmową miała Nata jeszcze tyle sił, że leżąc [poprowadziła] nabożeństwo, by uczcić rozpoczęcie Męki Pańskiej".

Łucja Janowska, inna więźniarka Ravensbrück, zapamiętała: „Nata zwierzyła mi się, że nurtuje ją myśl, jakoby już niedanym jej było wrócić do Polski... Prosiła, aby rodzina zaopiekowała się jej pamiętnikami, abym zbliżyła się do jej rodziny, którą mi z wielką miłością przedstawiła w długich rozmowach. Prosiłam, aby się ukrywała, nie wychodziła na »przeglądy«. Nie chciała się na to zgodzić, twierdziła, że jeżeli jej Pan Bóg przeznaczył śmierć w obozie, nie będzie się broniła ni sprzeciwiała. Oburzyłam się bardzo na takie stanowisko, twierdząc, że trzeba się bronić przed przemocą, aby uniknąć brutalnej śmierci z rąk oprawców". Zagazowana została 30 marca 1945 roku. Dzień przed wyzwoleniem obozu.

Jak świadectwo męczenników z początków chrześcijaństwa

W czerwcu 1999 roku papież Jan Paweł II włączył w poczet błogosławionych 108 polskich męczenników. Wśród nich Natalię Tułasiewicz. Podczas mszy 7 czerwca 1999 roku w Bydgoszczy Jan Paweł II mówił: „Za szczególną powinność naszego pokolenia w Kościele uważam zebranie wszystkich świadectw o tych, którzy dali życie za Chrystusa. Nasz wiek XX, nasze stulecie, ma swoje szczególne martyrologium w wielu krajach, w wielu regionach ziemi, jeszcze nie w pełni spisane. Trzeba je zbadać, trzeba je stwierdzić, trzeba je spisać, tak jak spisały martyrologia pierwsze wieki Kościoła i to jest do dzisiaj naszą siłą – tamto świadectwo męczenników z pierwszych stuleci". ■

eprasa.pl 8308ffc301

Dariusz Jarosiński

TYRMAND. OBOWIĄZKI WOLNEGO CZŁOWIEKA

niepraca.pl 8308ffc301

„[...] jest patologicznie zarozumiały, niezwykle pewny siebie, w swym egocentryzmie uważa się za jednego z twórców rewolucji kulturalnej roku 1956. Zatwardziały opozycjonista, o zdecydowanie negatywnym stanowisku wobec wszystkiego, co komunistyczne i co się w Polsce dzieje" – taka charakterystyka Leopolda Tyrmanda znalazła się w 1961 roku w jego esbeckim dossier.

FOT. TADEUSZ KUBIAK/PAP.

25 kwietnia 2019 roku Sejm RP przyjął uchwałę ustanawiającą 2020 Rokiem Leopolda Tyrmanda na upamiętnienie 100. rocznicy urodzin i 35. śmierci jednego z najbardziej oryginalnych polskich pisarzy, publicystów. W III RP przedstawiano go głównie jako *bon vivanta* epoki stalinizmu, znawcę i kreatora mody, bawidamka, bikiniarza, a przecież był też nieprzeciętnym komentatorem życia politycznego, erudytą, wykładowcą na Uniwersytecie Stanowym Nowego Jorku oraz Uniwersytecie Columbia, obrońcą wartości konserwatywnych, nieprzejednanym antykomunistą. Zablokowany przez peerelowską cenzurę, niszczony przez bezpiekę, zdecydował się w 1965 roku wyjechać z Polski. Na początku 1966 roku zamieszkał w Stanach Zjednoczonych, ojczyźnie ukochanej przez niego muzyki jazzowej.

Wartości ważniejsze od pieniędzy

Tyrmand przeżył rozczarowanie, że Ameryka, do której przybył, nie jest tą Ameryką, którą się w komunistycznej Polsce zachwycał. Kraj ogarnięty był rewolucją obyczajową, protestami przeciwko wojnie w Wietnamie. Trwał lewacki marsz przez instytucje. Na uniwersytetach zachwycano się komunistycznymi ideologiami. Tyrmand nie uległ jednak presji stadnego myślenia, podobnie jak w Polsce kontestował komunizm, wyrażał swój sprzeciw wobec powojennej rzeczywistości na różne sposoby, tak w Ameryce nie popłynął też z głównym nurtem – poddał krytyce lewicowe ciągoty amerykańskiej elity. W swoich tekstach w „The New Yorker", w renomowanym amerykańskim tygodniku, z którym współpracował w latach 1967–1971, ostrzegał przed zgubną fascynacją lewicową ideologią. „Przybyłem do Ameryki bronić jej przed nią samą" – napisał później. I wcale to nie było zdanie na wyrost.

Z tygodnikiem „The New Yorker" rozstał się w 1971 roku, kiedy wydawnictwo z nim związane odmówiło mu wydania książki „Cywilizacja komunizmu", będącej rozprawą z komunizmem, nazywanej też „pamfletem na komunizm". Pokazał wówczas, że ważniejsze od pieniędzy, i to niemałych, są dla niego wyznawane wartości. „Cywilizację komunizmu" wydał w 1972 roku w Londynie. Już we wstępie dowodził, iż Amerykanie nie rozumieją zagrożenia totalitaryzmem lewicowym. „Napisałem o tym, jak żyje się w komunizmie już ustanowionym i sprawdzonym przez miliard ludzi. Wierzę, że tak żyć się będzie w każdym modelu polityczno-społecznym, o jaki walczy dziś totalitarna lewica". Stefan Kisielewski, najbliższy przyjaciel Tyrmanda, podśmiewywał się z polskiego tytułu rzeczonej książki, bo przecież cywilizacja ma się jak pięść do nosa do komunizmu.

Neutralny i apolityczny „New Yorker" dostosował się na początku lat 70. do powszechnego trendu amerykańskich mediów afirmujących lewicowe ruchy pacyfistyczne i kontrkulturowe. Panującą wówczas atmosferę w Amery-

eprasa.pl/8808ffc301

ce opisał Norman Podhoretz, wieloletni redaktor naczelny konserwatywnego pisma „Commentary": „W drugiej połowie lat sześćdziesiątych w Ameryce panował, mówiąc z pewną przesadą, kulturalny terror lewicy. Kierunek ortodoksyjny lewicowy królował w większości znaczących czasopism, gazet i w innych mediach, a każdy, kto odchodził od tego kierunku, zostawał ukarany – atakowano go, izolowano lub wyszydzano. Tak więc był to bardzo trudny okres dla każdej osoby obracającej się w kręgach literackich, która nie miała poglądów lewicowych. Dotyczyło to zwłaszcza poglądów na system komunistyczny. Antykomunizm uważano za halucynację, paranoidalną fantazję. Nie znaczyło to, że wszyscy byli komunistami, prawdziwych komunistów było niewielu, ale większość osób ze środowiska literackiego pozostawała, jak to nazywaliśmy – anty – antykomunistami. Przedmiotem ich ataków była przede wszystkim Ameryka, nie świat komunistyczny. Jeśli więc pojawił się ktoś taki jak Tyrmand, o bardzo silnych poglądach antykomunistycznych, nie mógł raczej liczyć na ciepłe przyjęcie".

Norman Podhoretz wyrażał nawet zdziwienie, że teksty Tyrmanda były drukowane w „The New Yorker". „Prawdopodobnie opublikowano je – mówił w wywiadzie dla autorów książki »Tyrmand i Ameryka« – zanim ktoś się zorientował, jakie Tyrmand miał poglądy. A kiedy się dowiedzieli, szybko z niego zrezygnowali".

Od 1976 roku współtworzył z wybitnymi przedstawicielami amerykańskiego środowiska paleokonserwatywnego The Rockford Institute pismo ukazujące się do dziś „Chronicles of Culture". Zarazem pełnił funkcję wicedyrektora Rockford Institute.

Zmarł 19 marca 1985 roku na Florydzie na zawał serca. Napisał setki artykułów, kilka powieści, wiele szkiców i najważniejsze dzieło życia „Dziennik 1954", będące świadectwem stalinowskiej epoki. „Pozostawił miłośnikom wolności na całym świecie wspaniałe dziedzictwo" – napisał po jego śmierci prezydent Ronald Reagan.

▶ Wojenne biuro podróży

Leopold Tyrmand pochodził z zasymilowanej warszawskiej rodziny żydowskiej. Po uzyskaniu matury w gimnazjum im. Jana Kreczmara jako wybijający się uczeń otrzymał stypendium i wyjechał w 1938 roku do Paryża, by studiować architekturę w Akademii Sztuk Pięknych. We Francji po raz pierwszy zetknął się z amerykańską muzyką jazzową, której pozostał do końca życia wiernym słuchaczem, popularyzatorem. Jazz był dla niego nie tylko muzyką, lecz także stylem życia. Po wybuchu wojny podążył z falą uciekinierów do Wilna. Jego rodzice trafili do obozu w Treblince. Ojciec pozostał tam już na zawsze, matce udało się przeżyć, w niedługim czasie po wyjściu z obozu wyjechała do Izraela. Leopold spotkał się z nią dopiero po wielu latach.

W czerwcu 1940 roku Wilno znalazło się pod okupacją sowiecką. Leopold Tyrmand podjął wówczas pracę w polskojęzycznym sowieckim dzienniku „Prawda Komsomolska". W gazecie zamieszczał felietony polityczne zatytułowane „Na kanwie dnia", pisał też o sporcie. Nie podpisywał swoich tekstów imieniem i nazwiskiem, publikowane były anonimowo. Tyrmand był zbyt inteligentny, by mógł zaakceptować bolszewicką ideologię – zatem czym się kierował, podejmując tę pracę? Trudno znaleźć dzisiaj jednoznaczną odpowiedź na to pytanie. Andrzejowi Miłoszowi, bratu Czesława, tłumaczył w tamtym czasie, że „należy za wszelką cenę utrzymywać kontakt z polską ludnością Wilna, a taką szansę daje choćby komunistyczny, lecz wydawany po polsku dziennik". Joanna Siedlecka uważa, że współpraca z „Prawdą" była przykrywką dla działalności podziemnej. W 1967 roku, przebywając już na emigracji, Tyrmand przyznał publicznie, że pracował w redakcji komunistycznej gazety. Jego kolega jeszcze z czasów wileńskich, Franciszek Walicki, ojciec polskiego big-beatu, opowiedział o współpracy Tyrmanda z „Prawdą Komsomolską", w 1987 roku w wywiadzie dla wrocławskiej „Odry". Tyrmand nie mógł się odnieść do tej wiadomości, bo od dwóch lat już nie żył. Z jakichś powodów musiało bardzo zależeć Franciszkowi Walickiemu na ujawnieniu tego faktu, bo udał się na Białoruś, by odszukać tam ówczesnego redaktora naczelnego „Prawdy Komsomolskiej" i udowodnić współpracę Tyrmanda z Sowietami. Notabene Walicki pracował w sowieckiej gazecie jako ilustrator.

Jesienią 1940 roku Lolek, jak na niego mówiono, z dwoma kolegami, Leszkiem Zawiszą i Andrzejem Kornowiczem, nawiązali kontakt z polskim podziemiem niepodległościowym. Wykonywali różne zadania na polecenie Waldemara Babinicza. Lolek m.in. wynosił z redakcji „Prawdy Komsomolskiej" materiały drukarskie, czcionki potrzebne do wydawania podziemnego pisma. W kwietniu 1941 roku wszyscy trzej konspiratorzy zostali aresztowani przez NKWD i osadzeni w więzieniu na Łukiszkach. Najprawdopodobniej zadenuncjował ich do NKWD Waldemar Babinicz.

Gdy w latach 60. Służba Bezpieczeństwa próbowała zweryfikować okupacyjny życiorys Tyrmanda, zwrócono się do centrali KGB. 30 października 1961 roku przyszła odpowiedź, iż został on aresztowany w kwietniu 1941 roku jako jeden z przywódców Związku Wolnych Polaków, odpowiedzialnych za druk pisma „Za naszą i waszą wolność". Był to periodyk Okręgowego Biura Informacji i Propagandy Związku Walki Zbrojnej, adresowane głównie do młodzieży.

Tyrmand nie był szaleńcem i w komunistycznej Polsce nigdy publicznie nie opowiadał, z wiadomych względów, o swoich wojennych losach. Joanna Siedlecka, której zawdzięczamy dotarcie do wielu ważnych dokumentów, faktów z życia Tyrmanda, w dossier Babinicza znalazła następujące informacje: „W latach 1923–1925 podejrzewano

eprasa.pl 8308ffc301

go o szpiegostwo na niekorzyść Polski. Był przez pewien czas konfidentem policji. [...] W archiwach Oddziału II MSW figuruje jako agent gestapo. Z listu ambasadora RP w Moskwie, prof. Kota, z roku 1941 wynika, że Polacy z Wilna podzielali zarzuty o szpiegostwo Babinicza na rzecz Niemiec, denuncjowanie Polaków i wydawanie ich w ręce gestapo. W 1940 został zdemaskowany przez władze radzieckie i przewerbowany. [...] W 1955 jego sprawę przedstawiono do decyzji Departamentu III Julii Bristigerowej, przekazała ją jednak do archiwum".

Na Łukiszkach Lolek z kolegami siedzieli trzy miesiące. 22 czerwca 1941 roku, kiedy Niemcy zaatakowali Sowietów, więźniów z Łukiszek zapakowano do pociągu jadącego na wschód. Traf chciał, że Niemcy zbombardowali ów transport, a Lolkowi i jego towarzyszom niedoli udało się w czasie chaosu i zamieszania zbiec. Lolek powrócił do Wilna. W niedługim czasie podjął ryzykowną decyzję, ale jak się okazało później, trafną. Posiadał legitymację studencką francuskiej Academie des Beaux-Arts, znał dobrze język francuski, zgłosił się więc dobrowolnie jako obywatel francuski na roboty do Niemiec. Planował przedostać się z Niemiec do Francji. W Niemczech wykonywał różne prace – był tłumaczem, kelnerem, robotnikiem na kolei. Pływał też jako marynarz – kucharz, steward – na niemieckim statku. W norweskim porcie Stavanger został aresztowany podczas próby ucieczki i osadzony w obozie koncentracyjnym w Grini w pobliżu Oslo. Tam zastał go koniec wojny w Europie. Nie zdecydował się jednak od razu na powrót do Polski, przez rok imał się różnych zajęć w Danii i Norwegii. W kwietniu 1946 roku powrócił do Warszawy.

Powrót do Warszawy

W „Dzienniku 1954" pisał: „W 1946 roku wróciłem z Zachodu do Polski na stałe. Nie byłem marksistą, nie należałem do naiwnych, rysował mi się mgliście, lecz prawidłowo przyszły rozwój stosunków politycznych w mym kraju. Mimo to wróciłem. Doszedłem do wniosku, że zamierzam w moim życiu toczyć walkę o pewne wartości ideowe [...]".

Wybrał swoją przyszłość w mglistej polskiej rzeczywistości, jak ją określił, chociaż przecież mógł w Skandynawii wybrać wolność – wszak był człowiekiem obytym w świecie, znającym języki obce. Na początku podjął pracę w Agencji Prasowo-Informacyjnej. Stefan Kisielewski, z którym w tamtym czasie zadzierzgnął przyjacielskie relacje, wciągnął go do współpracy z „Ruchem Muzycznym". Szybko doceniono jego talent dziennikarski – pisał felietony do „Expressu Wieczornego", „Rzeczpospolitej", „Przekroju". Pełnił też funkcję szefa działu sportowego „Słowa Powszechnego", z redakcji odszedł z uwagi na konflikt z Bolesławem Piaseckim, szefem Stowarzyszenia PAX. Redakcja „Przekroju" wysłała go w 1948 roku na Kongres Intelektualistów we Wrocławiu, gdzie przeprowadził wywiady z Picassem, Erenburgiem, Szołochowem, fizykiem Julianem Huxleyem.

W grudniu 1947 roku udało się Tyrmandowi zamieszkać w pokoiku w budynku YMCA (Young Men Christian Assotiation, czyli światowej organizacji młodzieży chrześcijańskiej) przy ulicy Konopnickiej. Pisał w „Dzienniku 1954": „Zaraz po wojnie w czterdziestym piątym, szóstym, siódmym i ósmym gmach ten był centrum towarzyskim i rozrywkowo-kulturalnym Warszawy; szybko odbudowany z funduszy międzynarodowej pomocy YMCA, zasobny w wygodne pomieszczenia sportowe, krytą pływalnię, sale odczytowe i teatralną, sprężyście i atrakcyjnie administrowany przez tę znakomitą, bogatą instytucję, stanowił istne błogosławieństwo młodzieży i w ogóle warszawiaków, którzy gnieżdżąc się w urągających najczęściej wymogom ludzkim mieszkaniach, garnęli się do czystej, ciepłej, ożywionej YMCA".

Na dwóch górnych piętrach gmachu znajdowały się pokoje hotelowe, które zamieszkiwali tylko mężczyźni, wielu z nich to byli żołnierze AK, powstańcy warszawscy. Lolek dobrze się czuł w budynku YMCA. Miejsce to było autentyczną oazą wolności. Lolek uprawiał sport, m.in. trenował boks, grał w koszykówkę, prowadził bogate „życie towarzyskie i uczuciowe", cytując tytuł jego książki. Założył pierwszy po 1945 roku klub jazzowy. Niestety długo oaza nie potrwała. W 1949 roku komuniści zlikwidowali amerykańską „imkę". „Dobytek jej przejęła Liga Przyjaciół Żołnierza, a potem organizacje młodzieżowe, które rozpoczęły brutalną walkę z lokatorami działu mieszkaniowego, usiłując opróżnić z nich gmach" – pisał Lolek w „Dzienniku 1954". Zetempowcom nie udało się wyrzucić wszystkich lokatorów, pozostał m.in. Lolek w swoim malutkim pokoiku na trzecim piętrze. Zamilkła muzyka jazzowa, ulotniła się atmosfera wolności.

Przyjacielu, zostałem Tobie wierny

W 1950 roku Tyrmand został usunięty ze Związku Zawodowego Dziennikarzy i „Przekroju" za relację z meczu bokserskiego z pięściarzami ze Związku Sowieckiego, w którym skrytykował stronniczość sowieckich sędziów. W czasie meczu polska publiczność skandowała: „Bij Iwana za Katyń!", Tyrmand odnotował, że „wznosiła patriotyczne okrzyki". Stefan Kisielewski pomógł wówczas bezrobotnemu przyjacielowi i naraił mu pracę w krakowskim „Tygodniku Powszechnym". W 1953 roku pismo zostało zamknięte z powodu odmowy opublikowania w numerze z 8 marca nekrologu Józefa Stalina. Tyrmand cierpiał wówczas autentyczną biedę, nie skarżył się jednak przyjaciołom na swój los, robił dobrą minę do złej gry.

Na początku 1954 roku przez trzy miesiące pisał swój słynny „Dziennik". Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że komuniści nie dopuszczą do jego publikacji, pisał do szuflady. Dziennik po raz pierwszy opublikowany został

eprasa.pl 8308ffc301

w całości dopiero w 1980 roku w Londynie. Zajmuje się w nim nie tylko swoim życiem prywatnym, komentuje też życie publiczne, opisuje klimat, atmosferę Warszawy. Kreśli wiele świetnych portretów literackich znajomych, nieprzyjaciół, przyjaciół, m.in. Zbigniewa Herberta, Pawła Jasienicy, Stefana Kisielewskiego, Jerzego Turowicza. Lolek poświęcił wiele miejsca swemu przyjacielowi, Zbigniewowi Herbertowi, którego uważał za najwybitniejszego poetę pokolenia. „[...] wygląda uczniakowato, ubiera się biednie i przeciętnie, ale schludnie, ma małą zabawną twarz o zadartym, pełnym pogody nosie i ładne, jasne, uśmiechnięte oczy. Jest niezwykle grzeczny i równy w sposobie bycia, ową uprzejmością, życzliwością i spokojem płynącymi z najgłębszych pokładów bogatej, szlachetnej osobowości. Oprócz wielkiego talentu nosi w sobie nie mniejszą, arcyrzetelną erudycję i nieprzeciętną inteligencję, co razem składa się na rzadką, wybitną indywidualność". „Wieczorem wpadłem na chwilę do Zbyszka Herberta, na Wiejską. Dzieli on sublokatorski pokój, o wysokim suficie i raczej obdarty, z niejakim Walczykiewiczem Władziem [...]. Herbert jadł właśnie przedwczorajszy, na oko, chleb z tanią marmoladą i popijał herbatą ze szczerbatego kubka. Na mój widok, drzwi wejściowe otworzyła gospodyni, zawstydził się i jakby chciał uniewidocznić tę kolację. Dlaczego Herbert wstydzi się nędzy, a Michałowscy, Gembiccy, Chylińskie nie wstydzą się dobrobytu w komunizmie".

Herbert bardzo cenił Tyrmanda, uważał go za „wzór nonkonformizmu, wierności sobie oraz jednoznacznego osądzania złowrogiej komunistycznej utopii", jak pisał biograf autora „Pana Cogito", Andrzej Franaszek. W 1984 roku, a więc na krótko przed śmiercią Tyrmanda, Herbert wysłał list do przyjaciela do USA: „cały ten list pisany jest po to, żeby powiedzieć Tobie, mój Przyjacielu, że zostałem Tobie wierny. [...] Bardzo dużo dałeś mi w życiu i może już się nie spotkamy, więc należy to po męsku wypowiedzieć. In allgemeine (generalnie rzecz biorąc) – nie zdradziłem Ciebie. Myślę o Tobie często i czule. A jak Cię słyszałem, przez »Głos Ameryki«, zakręciły mi się łzy w oczach. [...] Tyle, bo się wzruszam. Walcz, jak możesz, a możesz, z komuchami!". List ten został zamieszczony w „Węźle gordyjskim". W podobnym tonie pisał w liście do Stanisława Barańczaka w 1990 roku o swoich warszawskich przyjaciołach z okresu stalinizmu: „Jedynymi moimi przyjaciółmi w Warszawie byli mój gospodarz, wierny i nieodżałowany Przyjaciel, Władysław Walczykiewicz, urzędnik Ministerstwa Handlu Zagranicznego, oraz nade wszystko Leopold Tyrmand, który wspierał mnie moralnie i materialnie. Na jego postawie moralnej wzorowałem się i naprawdę nie wiem, czy przeżyłbym bez niego te ciemne czasy". Herbert dedykował Leopoldowi Tyrmandowi wiersz „Zwierciadło wędruje po gościńcu".

2 kwietnia 1954 roku Tyrmand przerwał prowadzenie „Dziennika", bowiem otrzymał od wydawnictwa „Czytelnik" propozycję napisania „powieści sensacyjnej o chuliganach i bikiniarzach warszawskich". W grudniu 1955 roku ukazał się na rynku „Zły". Książka okazała się wielkim sukcesem wydawniczym, właściwie w powojennej Polsce nienotowanym – przed księgarniami ustawiały się długie kolejki czytelników. Tyrmand zrobił dobry interes finansowy, otrzymał wysokie honorarium, talon na samochód od Cyrankiewicza. Choć książka podbiła serca czytelników, to krytycy nie zostawili na niej suchej nitki. Z popularnością Tyrmanda pisarza mógł się porównywać wówczas jedynie Marek Hłasko. Książką zachwycił się Witold Gombrowicz, w „Dzienniku (1957–1961)" zapisał: „Tyrmand jest najdoskonalszą kontynuacją naszej romantycznej poezji, on przejął jej pióropusz, on pisze jej ciąg dalszy".

▶ TW „Justyna": „Tyrmand pełnił rolę kelnera"

Barbara Hoff, projektantka mody, druga żona Leopolda Tyrmanda, uważa, że to bezpieka wykreowała obraz jej byłego męża jako bawidamka, błazna, bikiniarza chodzącego w kolorowych skarpetkach. Twierdzi, że denerwował niektórych ludzi, bo się wyróżniał, odstawał od normy, był wybitnie inteligentny, pryncypialny. Bardzo się przejmował Polską, był wręcz uciążliwie poważny, miał też głęboką potrzebę pomagania innym ludziom.

Joanna Siedlecka, niestrudzona w tropieniu ubeckiej agentury w środowisku literackim, dziennikarskim, odkryła wiele interesujących faktów z życia Tyrmanda. Bezpieka zajmowała się autorem „Złego" przeszło 30 lat – od 1946 roku, czyli od powrotu do kraju ze Skandynawii, do roku 1980, kiedy już mieszkał w Ameryce. Ubeków szczególnie interesował jego życiorys okupacyjny. Według ustaleń Joanny Siedleckiej dwukrotnie próbowano zwerbować Tyrmanda, w 1946 i 1951 roku, oczywiście bez powodzenia.

W 1961 roku w jego esbeckim dossier znalazła się następująca charakterystyka: „[...] jest patologicznie zarozumiały, niezwykle pewny siebie, w swym egocentryzmie uważa się za jednego z twórców rewolucji kulturalnej roku 1956. Zatwardziały opozycjonista, o zdecydowanie negatywnym stanowisku wobec wszystkiego, co komunistyczne i co się w Polsce dzieje. [...] Od chwili powrotu do kraju nie krył się ze swym początkowo nieprzychylnym, a później wrogim stosunkiem do Polski Ludowej. Jako konferansjer Jazz Clubu przybierał na występach postawę »nieprzejednanego«, pozując na niezależną indywidualność i siląc się na oryginalne wystąpienia. Patronował ekstrawaganckim zabawom tzw. złotej młodzieży i bronił przed opinią publiczną różnych grup bikiniarzy. W czasie licznych orgii pijackich ironizował i wyśmiewał przedstawicieli władz. Twierdził, że porzucił dziennikarstwo, ponieważ wszędzie rzucano mu kłody pod nogi za jego niezależność".

eprasa.pl 8308ffc301

Najbardziej aktywnymi kapusiami byli dziennikarz muzyczny Roman Waschko TW „Adam", pisarz Kazimierz Koźniewski TW „33", współpracownik wywiadu PRL Wiesław Górnicki TW „Kawa", Teresa Trzaskowska z domu Arens TW „Justyna", żona muzyka jazzowego Andrzeja Trzaskowskiego, matka Rafała, obecnego prezydenta Warszawy. Koźniewski kapował na przykład pod datą 28 października 1959 roku: „W tej chwili zajęty jest urządzaniem mieszkania. Lekko sobie traktuje swój ślub kościelny, twierdzi, że nie zależało na tym ani Barbarze Hoff, ani jemu, tylko jej rodzicom. Oczywiście wygląda to trochę inaczej. Jest czuły, mimo wszystko, na opinie środowisk katolickich i mieszczańskich". Koźniewskiego musiała skręcać zazdrość, kiedy donosił 16 stycznia 1960 roku: „Za tłumaczenie »Złego« i »Siedmiu dalekich rejsów« otrzymał łącznie 2 tysiące dolarów. W drodze powrotnej zatrzymał się w Niemczech, kupił za 6 tysięcy marek zachodnioniemieckich samochód (mercedes bądź opel)".

Teresa Trzaskowska TW „Justyna" z detalami zrelacjonowała esbecji 19 grudnia 1961 roku imieniny Barbary Hoff, na które została zaproszona: „[...] początkowo atmosfera była dość sztywna, ale po wypiciu pierwszej partii trunków towarzystwo zaczęło się rozkręcać, głównie dzięki Kisielewskiemu, który tańczył i śpiewał rosyjskie czastuszki, ordynarne, wyzywające, opowiadał też szereg kawałów o podobnej treści [...]. Uczył Jonesową [żonę sekretarza ambasady amerykańskiej – przyp. D.J.] polskich słów, najbardziej brutalnych, co przyjmowała z zadowoleniem, odśpiewała również 3 hymny: amerykański, angielski i szkocki [...] Po dalszych alkoholach rozpoczęto strip – tease, czyli zabawę w butelkę, którą wykręcano, i każdy, przed kim się zatrzymała, musiał dać fant. Bawił się również Jones i jego żona, która częściowo się rozebrała, a Henryk Tomaszewski – całkowicie. Jonesowie podkreślali, że czują się świetnie i krytykowali sztywną atmosferę na przyjęciach dyplomatycznych. Tyrmand pełnił rolę kelnera i mało się udzielał". TW „Justyna" nie napisała, jak sama bawiła się na imieninach czy uczestniczyła w zabawie w butelkę, czy tylko pełniła rolę kapusia i mało się udzielała.

Apogeum bezpieczniackiej hucpy

W styczniu 1958 roku został uprowadzony i bestialsko zamordowany Bohdan Piasecki, syn Bolesława Piaseckiego. Traf chciał, że Tyrmand w listopadzie 1956 roku zamieścił w tygodniku „Świat" krytyczny artykuł o szefie PAX-u, napisał o dotychczas nieznanych opinii publicznej faktach, m.in. o okolicznościach darowania życia Piaseckiemu przez wysokiego rangą sowieckiego funkcjonariusza NKWD Iwana Sierowa. Artykuł ten przedrukowany został też w zachodniej prasie. SB uznała Tyrmanda za podejrzanego o morderstwo syna Piaseckiego, przypomniała mu odejście ze „Słowa Powszechnego" po konflikcie z przywódcą PAX-u oraz ów artykuł z tygodnika „Świat". Za jego winą miało też przemawiać pochodzenie żydowskie. Esbecja zastosowała wobec Tyrmanda niezwykle poniżające czynności. Właściwie traktowano go momentami jak faktycznego mordercę. Tyrmand bardzo przeżył bezpieczniacką hucpę.

Na początku lat 60. bezpieka przystąpiła do rozprawy z Tyrmandem. Odmawiano mu paszportu, zdjęto z ekranu film „Naprawdę wczoraj" nakręcony na podstawie jego książki „Siedem dalekich rejsów"; mimo dużego zainteresowania czytelników, nie wznawiano „Złego", Państwowy Instytut Wydawniczy zwlekał z publikacją powieści „Życie towarzyskie i uczuciowe". W 1963 roku Roman Waschko TW „Adam" otrzymał od bezpieki zadanie kompromitowania Tyrmanda, rozsiewania plotek o jego rzekomej współpracy ze służbami. Każdy krok autora „Złego" był kontrolowany, w mieszkaniu przy ulicy Dobrej został założony podsłuch telefoniczny i pokojowy.

W 1964 roku otrzymał wreszcie paszport. W następnym roku wyjechał z Polski. Zaczął się nowy rozdział w życiu Tyrmanda. W kwietniu 1967 roku Zarząd Główny Związku Literatów Polskich podjął jednogłośną decyzję o „skreśleniu kolegi Tyrmanda za działalność pisarską na Zachodzie, wymierzoną przeciwko Związkowi i jego członkom".

W Ameryce założył rodzinę. W 1971 roku ożenił się z Mary Ellen Fox, doktorantką iberystyki na Uniwersytecie Yale. Dziesięć lat później urodziły im się bliźnięta, Matthew i Rebecca. Długo jednak nie cieszył się z ich przyjścia na świat. Zmarł w 1985 roku w czasie wakacji na Florydzie na zawał serca.

Wkrótce po śmierci Tyrmanda ówczesny prezydent USA, Ronald Reagan, przesłał Mary Ellen list kondolencyjny. „Szanowna Pani, Nancy i ja pragniemy złożyć najgłębsze wyrazy współczucia z powodu śmierci Pani męża. Leopold Tyrmand pozostawił wspaniałą spuściznę Pani i Pani rodzinie, jak również tym wszystkim, którym droga jest idea wolności. [...] W ostatnim numerze [„Chronicles of Culture" – przyp. D.J.] napisał, że obowiązkiem każdego wolnego człowieka jest podjęcie walki z komunizmem w imię prawdy. Nigdy nie zapomnimy jego przestróg i z pewnością znajdzie się wielu, którzy zainspirowani jego przykładem będą kontynuować jego wielką pracę i ideały. Niech Bóg ma Panią w swojej opiece i doda otuchy Pani i Pani rodzinie. Z poważaniem Ronald Reagan". ■

_____

Bibliografia:
Marcel Woźniak, „Biografia Leopolda Tyrmanda. Moja Śmierć będzie taka, jak moje życie", Wydawnictwo MG, 2016; Katarzyna I. Kwiatkowska, Maciej Gawęcki, „Tyrmand i Ameryka", słowo/obraz terytoria, 2011; Joanna Siedlecka, „Kryptonim »Liryka«. Bezpieka wobec literatów", Prószyński i S-ka, 2008.

eprasa.pl 8308ffc301

Agnieszka Kowalczyk

Stanisław Wyspiański.
Między Apollinem a Tanatosem

eprasa.pl 8308ffc301

„Malowanie, a raczej rysowanie, było jego nie tylko powołaniem, ale i nieustanną potrzebą, a ołówek jakby szóstym palcem jego dłoni" – pisał o Wyspiańskim Adam Grzymała Siedlecki. „Gdy nieuleczalność choroby ubezwładniła mu prawą dłoń, czyniąc z niej jedną wielką ranę, nie czuł się upośledzony jako pisarz, bo myśli swoje i słowa mógł dyktować, natomiast niewypowiedzianie cierpiał, że ręka ta nie potrafi wypowiadać go w liniach i barwach".

Zaledwie sześć lat przed urodzeniem Stanisława (1869), w piwnicach krakowskiej kamienicy jego dziadka, kupca Mateusza Rogowskiego, gromadzono sztucery, dubeltówki i szable dla powstańców, wylewano ołowiane kule, a panny Rogowskie – Leona, Maria i Joanna – skubały szarpie, pozostając myślą przy bracie Adamie, który dołączył do walczących. Atmosfera podniecenia i rozgorączkowania panowała też w domu jego drugiego dziada – Ignacego Wyspiańskiego, którego dwudziestoletnia wówczas córka Albina przenosiła broń w fałdach spódnicy, syn Antoni bił się z Rosjanami w oddziałach Czachowskiego i Waligórskiego, a Franciszek, ojciec Stanisława, widywany był na tajnych spotkaniach u aptekarza Karola Mohra. Dla rodziny Rogowskich powstanie styczniowe zakończyło się zesłaniem Adama na Syberię i konfiskatą rodzinnego majątku.

Rodem z miasta królów i artystów

Życie toczyło się jednak dalej – Joanna wstąpiła do seminarium nauczycielskiego, a 26-letnia Maria miała za sobą kilka zerwanych zaręczyn, pisała wiersze, a pytana, na kogo czeka, mówiła, że na artystę. Okazał się nim Franciszek Wyspiański, jeden z najzdolniejszych rzeźbiarzy ówczesnego Krakowa, znany jako twórca pomnika konnego Sobieskiego, popiersia Kopernika i godeł wydziałowych w salach Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po tym jak w 1867 roku, w podzięce za ocalenie miasta od pożaru, wyrzeźbił posąg Madonny z Dzieciątkiem, nadając jej rysy Marii Rogowskiej, w kwietniu 1868 roku została jego żoną. W styczniu przyszedł na świat ich pierwszy syn – Stanisław, a dwa lata później jego brat – Tadeusz. Ich nową przystanią życiową stał się położony u stóp Wawelu Dom Długosza, „jeden z tych zakątków krakowskich, które przenoszą nas żywcem w średnie wieki, owiewają atmosferą powagi i pobożności, wsiąkniętą w mury i cegły". Tam też, w dawnej wozowni i stajni, Franciszek urządził sobie pracownię rzeźbiarską.

Szczęście Wyspiańskich nie trwało jednak długo. 16 stycznia 1875 roku zmarł na zapalenie opon mózgowych młodszy brat Stasia, a stan zdrowia chorej na gruźlicę Marii stale się pogarszał. Franciszek uciekał od problemów w alkohol. Coraz częściej można było go spotkać w restauracji „Kosza" na Grodzkiej lub „Bochnaka" na Szpitalnej. Pewnej listopadowej nocy zrozpaczona Maria wybiegła z domu, by wśród ciemności i deszczu odszukać męża. W efekcie poważnie się zaziębiła, nasiliły się u niej objawy gruźlicy, ustawicznie męczyły ją gorączka, halucynacje, krwotoki... Zmarła 18 sierpnia 1876 roku, na krótko przed swoimi 35. urodzinami.

Stanisław wychowywał się w ojcowskim domu zaniedbany i osamotniony, choć bliscy starali się otoczyć

FOT. NAC.

eprasa.pl 8808ffc301

chłopca troskliwą opieką. Albina odprowadzała bratanka do Szkoły Ćwiczeń na rogu Brackiej, a w dni wolne od nauki zabierała go na Planty, gdzie za jednego centa można było kupić garść wiśni lub dwa pierniki. Wuj Wawrzyniec Waśkowski, nauczyciel historii, zawsze miał dla niego w zanadrzu jakąś ciekawą książkę – „Bajki i powiastki" Jachowicza, „Pieśni Janusza" Pola, to znów uwielbiane przez chłopca Mickiewiczowskie ballady. Nauka nie sprawiała mu większych trudności, choć nie lubił rachunków, kaligrafii i szablonowego, prostolinijnego rysunku. Uwielbiał za to szkicować kwiaty, głowy kobiece i dziecięce, a jego ukochanym miejscem spacerów było prastare zamczysko wawelskie, tchnące duchem dawnych wieków.

Życie dorastającego Stanisława, ucznia gimnazjum św. Anny, nabrało jaśniejszych barw, gdy trafił pod opiekę ciotki Joanny, która zabrała go do siebie w 1880 roku, kiedy wyszła za Kazimierza Stankiewicza, niegdyś konspiratora, który „kochał Polskę i żył ideą jej odrodzenia". Do wujostwa Staś przylgnął całym sercem, bo jak wspominał Stanisław Estreicher, „żaden jedynak nie był chyba otoczony w domu takim przywiązaniem i uwielbieniem jak on". Z biblioteczki wuja wykradał najczęściej książki historyczne, chłonął powieści Kraszewskiego i Sienkiewicza, a całe ustępy z Mickiewicza znał na pamięć. Jak żywe stawały przed jego oczyma sceny z polskich dziejów, które utrwalał bez końca na kartach swego szkicownika. Nic więc dziwnego, że pierwszym mistrzem pędzla stał się dlań Jan Matejko, ówczesny dyrektor krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, stały bywalec w salonie Stankiewiczów, geniusz, który od razu dostrzegł wielki talent uzdolnionego plastycznie chłopca.

Jesienią 1884 roku, uczący się jeszcze w gimnazjum Stanisław, przyjęty został w poczet wybrańców Apolla jako student nadzwyczajny Szkoły Sztuk Pięknych. Nieodłącznymi jego towarzyszami byli wtenczas Józef Mehoffer, Stanisław Estreicher, Henryk Opieński i Lucjan Rydel, z którymi spędzał beztroskie chwile w Sukiennicach, na Błoniach i Plantach. Wielkich wrażeń dostarczał mu teatr, zwłaszcza gdy z parteru widowni, gdzie „najżywiej odczuwano grę i treść sztuki, [...] najgłośniej klaskano, tupano, wywołując aktorów", mógł oklaskiwać niezrównaną grę Heleny Modrzejewskiej, a w opartym na plecach Rydla szkicowniku odtwarzać całe sceny „chwytane w lot ołówkiem". W czerwcu 1887 roku przystąpił do egzaminu dojrzałości, który zdał pomyślnie, a na jego świadectwie pojawiły się oceny dostateczne z łaciny, greckiego, niemieckiego, fizyki, historii i geografii; stopień zadowalający z obyczajów, religii i matematyki, ale za to chwalebny z języka polskiego i filozofii. Zdanie matury świętowało się wtedy hucznie, bo jak wspominał Estreicher, „po uczcie obeszliśmy »gęsiego«, jak zwyczaj kazał, rynek i planty krakowskie. Odtąd wolno nam było nosić laski, cylindry i palić papierosy. Zostaliśmy dorosłymi".

Na rozdrożach między Krakowem a Paryżem

Prawdziwym wyzwaniem dla dwudziestoletniego artysty stały się prace przy restauracji bezcennych polichromii w kościele Mariackim. Całe dnie spędzał na rusztowaniach, pod sklepieniami mariackiego tumu, gdzie dusza jego, jak barwnie opowiada Józef Kotarbiński, „przesiąkała atmosferą pamiątek przeszłości, oko przyzwyczajało się błądzić w tajemniczych załamach arkad i wiązań, ku którym wznosiły się z dołu dymy kadzideł i modlitewne pieśni. Praca ta musiała spotęgować wrodzoną skłonność do bujań mistycznych".

Jednocześnie marzyła mu się wielka podróż po Europie. Wyjazdowi sprzeciwiał się jednak Matejko, nie chcąc, by Stanisław „zmanierował się pod wpływem potężnego wówczas Maneta". On jednak rwał się w świat i w tajemnicy przed wszystkimi 1 marca 1890 roku wyruszył na spotkanie z wielką sztuką. Jego grand tour po Europie znaczyły: Wenecja, Padwa, Werona, Mantua, Mediolan, Szwajcaria z Jeziorem Czterech Kantonów i wreszcie tak wytęskniona Francja, w której stanął oniemiały przed katedrą w Chartres – oblanym światłem księżyca wiekowym widmem, zastygłym w średniowiecznym kamieniu. Owładnięty duchem gotyku zwiedzał świątynie w Rouen, Amiens i Reims, wędrował szlakiem romańskich kościołów przez Spirę, Wormację, Moguncję i Frankfurt nad Menem. W Monachium zachwyciły go obrazy Dürera i Wolgemuta, opery Wagnera i sztuki Szekspira grane w teatrze, gdzie, jak pisał, „uczucie nieokreślone przepełnia ci piersi – czujesz się wśród świata, w życiu – w samym jego sercu".

Do Krakowa przyjechał na krótko, bo zasmakowawszy w wielkim świecie, czuł, że Paryż wzywa go do siebie. Nad Sekwaną zamieszkał razem ze swym przyjacielem Józefem Mehofferem, gdzie obaj wybrańcy Muz oddali się całkowicie sztuce. Uczyli się w Akademii Colarossiego, gdzie w arkana malarstwa wprowadzali ich uznani mistrzowie pędzla: bliski impresjonistom Ludwik August Girardot, portrecista Gustaw Courtois i malarz historyczny Joseph Blanc, u którego zgłębiali sztukę kompozycji. Popołudniami projektowali witraż do kościoła Mariackiego, a wieczory spędzali w Comédie Française. Drogi artystów rozeszły się jednak. Wyspiański chciał być sam. Jego nowy adres to: boulevard Montparnass 106, mieszkanie na szóstym piętrze, za które płacił tylko sześć franków, mając „spokój kompletny" i wspaniały widok na Paryż. Całymi dniami malował – u Colarossiego, a wieczorami przez trzy godziny ćwiczył rysunek.

Po powrocie do Krakowa stał się duszą towarzystwa, bo jak pisze Monika Śliwińska, „wieczorami brylował

eprasa.pl 8308ffc301

na żurfiksach u profesorowej Zakrzewskiej, Mehofferów, Jabłońskich, Estreicherów i Opieńskich", adorował Zosię Pietraszkiewiczównę, tańczył na balu Towarzystwa Muzycznego, wcielał się w rolę Czesława w amatorskim przedstawieniu „Nikt mnie nie zna" Fredry, a zawsze – „zapalny jak iskra, wrażliwy jak płomień świecy na wietrze". To stały bywalec w kawiarni Roszkowskiego i w restauracji Wenzla. Paradował po Krakowie w swym długim, czarnym anglezie i modnej, kwiecistej kamizelce. Nie przeszkadzało mu to jednak w usilnej pracy nad witrażem lwowskim.

Do Paryża wyrwał się ponownie zimą 1893 roku. Atelier przy Avenue du Maine 14 dzielił z Mehofferem, odgrodziwszy się od niego tkaninami ukwieconymi i przybranymi we wstążki. Chłonął atmosferę miasta, „z biciem serca" oczekując, kiedy przyjdzie stypendium i będzie mógł „zanurzyć się w teatrze i zobaczyć sztuki, które grają". Póki co, żył na kredyt. Latem kończył pierwszą wersję „Warszawianki" i pracował usilnie nad projektem witrażu lwowskiego z przedstawieniem cierpiącej, udręczonej Polonii. Jego portrety i studia pastelowe, przesłane do Krakowa i wystawione w Sukiennicach, wywołały skrajne reakcje – od entuzjazmu po niesmak. „Przegląd Tygodniowy" pisał, że na te obrazy z bliska nie sposób patrzeć, „artysta bowiem nie przebiera w kolorze; prawie wszystkie jego postacie mają niebieskie włosy, pąsowe oczy oraz fioletowe policzki". Zarzucano mu braki warsztatowe i manierę artystyczną.

Choć krytyka i niezrozumienie jego sztuki dotykały go boleśnie, nie rezygnował z własnej drogi twórczej. Podczas zimowego pobytu w Krakowie (1894) zapamiętale malował portrety członków rodziny i przyjaciół. Były wśród nich podobizny Kazimierza Stankiewicza i Marii Waśkowskiej, Henryka Opieńskiego, Anny Krzymuskiej i Lucjana Rydla z „Primaverą" Botticellego. Portretował też krakowską aktorkę Honoratę Leszczyńską w kostiumie Kasi z „Poskromienia złośnicy", co trwało ponad godzinę, lecz, jak wspominał jej mąż, w pewnej chwili odłożył pastele i nie mogąc ustać na nogach, osunął się na fotel. Miał zamknięte oczy, nie ruszał się i ciężko oddychał. Okazało się, że zemdlał, bo przez dwa dni nic prawie nie jadł i całkowicie opadł z sił.

Cały czas żył sztuką. Powróciwszy znów nad Sekwanę, ledwie wiązał koniec z końcem, utrzymując się ze skromnego stypendium i myśląc, jak spłaci długi w crémerie Charlotte Futterer, w pralni madame Lepage, u dozorcy i Lucjana Rydla... Momentem przełomowym w jego pracy twórczej miało być wystawienie w Sukiennicach kartonów z witrażami do lwowskiej katedry, które spotkały się jednak z falą krytyki – mówiono, że „archanioł Michał jest osadzony nieporadnie, a Jan Kazimierz mało widoczny w grupie dygnitarzy". Oglądającym nie podobała się też Polonia, „królowa bez korony, kobieta o grubych rysach twarzy". Wyspiański zraził do siebie władzę kościelną, nie chciał wprowadzić żądanych zmian do projektu. Komitet katedralny ostatecznie zrezygnował z wykonania jego witraża. Był to wielki cios dla artysty, podobnie jak odmowa jubileuszowego stypendium cesarza Franciszka Józefa. Jego obraz „Śmierć matki", na którym utrwalił chwilę skonania Marii Wyspiańskiej, nie zdobył uznania publiczności ani w Warszawie, ani w Krakowie. Przedarł więc dzieło na dwoje.

▶ „Z tego wyłonić się musi piękna, wielka sztuka"

Zmiażdżony krytyką, bez grosza przy duszy, wrócił do Krakowa i zamieszkał kątem na Zaciszu u wujostwa Stankiewiczów. Po mieszkaniu krzątała się nowa posługaczka ciotki Joanny – Teosia Pytko z podtarnowskiej wsi, która w przyszłości miała zostać jego żoną. Tymczasem niespokojny duchem młodzieniec, jak pisze Monika Śliwińska, „rozdzielony z Paryżem, uzależniony finansowo od Stankiewiczów, w pracowni na Zaciszu portretuje sąsiadów, bałamuci Teosię i podkochuje się w kuzynce, Marii Waśkowskiej. Obie rysuje, tej ostatniej kupuje wstążki niebieskie i seledynowe. Stankiewiczowa przypatruje się temu z niechęcią. Marzy o «pierwszej pannie» dla Wyspiańskiego".

I gdy wydaje się, że niepokorny artysta jest już stracony dla sztuki, niespodziewanie uśmiecha się do niego los. W kościele u ojców Franciszkanów rozpoczęto właśnie malowanie polichromii – ich twórcą miał być Józef Mikulski, który nie podołał jednak wyzwaniu. Wtedy też architekt Władysław Ekielski przypomniał sobie o przybyłym niedawno z Paryża Wyspiańskim i jemu to właśnie powierzono wykonanie dzieła, a uszczęśliwiony artysta od razu rzucił się w wir pracy. Chcąc zachować ducha wieków średnich i zarazem zdobyć się na prekursorską formę artystyczną, tworzy szafirowe sklepienie rozświetlone setkami złotych gwiazd przypominających płatki śniegu, ornamentowi paciorkowemu nadaje kształt koralików różańca świętego, a całość hojnie krasi motywami ojczystych kwiatów. Ze ścian prezbiterium, transeptu i nawy głównej wykwitają nasturcje, niezapominajki, bratki, dziewanny, mlecze i słoneczniki. Pąsowe lilie, płomyki i maki uczynił duchowym upostaciowaniem ognia, a irysy i nenufary związał z żywiołem wody. Jego witraże błyszczą dotąd całym blaskiem swej wspaniałości. Wyobrażenia świętego Franciszka i błogosławionej Salomei, jak pisze Władysław Skoczylas, nie mają sobie równych w prostocie wyrażania świętości, a „olbrzymi witraż, przedstawiający stworzenie świata w potężnej postaci Boga Ojca, jest wspaniałym wyrazem jakiejś kosmicznej potęgi, której w sztuce niewielu artystom udało się wyrazić". Równie niesamowite są wizerunki Matki Bożej z Dzieciątkiem, postacie Michała Archanioła i strąconych aniołów-buntowników. Olśniewają pla-

eprasa.pl 8308ffc301

styczne realizacje ogrodu wiecznej szczęśliwości oraz budzącego grozę „lasu zwątpienia, walki, trudów [...], gdzie pobyt jest straszny, przerażający".

Wyspiański kochał się w naturze. Polne kwiaty przypominały mu matkę, która zbierała całe ich naręcza, by ustroić pracownię męża. Z jego atelier zawsze bił odurzający zapach. „Nie mogę się doczekać [...] wiosny i wyobrażam sobie już moje szaleństwa jak cały pokój będzie pełny woni i barw zielska, zieloności, chwastów" – wyznawał z dziecinną radością. Z miłości do przyrody powstał w 1896 roku jego oryginalny „Zielnik" – pełen niezwykłych studiów florystycznych, które rodziły się podczas niezliczonych wycieczek w podkrakowskie okolice. Zrywał po drodze nie tylko chabry i maki, lecz także te wszystkie porastające rowy i nadwiślańskie brzegi cuda natury – osty, kąkole, pokrzywy, głogi, wysokie trawy o puszystych czubach i „jakieś kłujące o dziwacznych liściach zielska", w których jako „nieprzyjaciel szablonu i banalności" odnajdywał formę i wyraz. Utrwalone w jego rysunkach motywy roślinne miały mieć później zastosowanie jako oryginalne dekoracje do książek, lamp, świeczników, kolumn, fryzów i ścian. „Jest to cały świat lśniący się, dziwny, chce się wżyć w niego. Jakie tam cuda" – pisał zachwycony Rydel.

Jak prześcignąć śmierć

W tym czasie rozkwitał romans Wyspiańskiego z Teosią, biedną, wiejską dziewczyną, samotnie wychowującą nieślubne dziecko, o której Maria Waśkowska mówiła, że była „zupełnie ordynarna, bosa, brudna, rozczochrana, brzydka, niezgrabna". Inaczej zapewne postrzegał ją Wyspiański. W 1896 roku Teosia urodziła mu córkę Helenkę, która stała się dla niego całym światem. Jeszcze w tym samym roku otworzyły się przed nim nowe możliwości artystycznego spełnienia – tworzył rysunki do „Iliady" w przekładzie Lucjana Rydla, pełne dramatyzmu i szlachetnego piękna, łączące w przedziwny sposób „świat antyczny ze słowiańską duszą". Z zapałem zabierał się do projektowania polichromii kościoła św. Krzyża, gdzie podczas prac odkryte zostały oryginalne szesnastowieczne malowidła, które godzinami kopiował na zimnie i w przeciągach, widząc oczyma wyobraźni „cały dwór, ówczesny Kraków, poetów renesansowych, biskupów, humanistów i całe Rinascimento". Zapadał zmrok, a on nie opuszczał świątyni. Na najwyższym rusztowaniu, pod samym sklepieniem „miał własny kąt z piecykiem opalanym koksem i starym fotelem nakrytym zielonym pluszem". To jego świat – najwyższa sztuka, sacrum.

Wkrótce artysta dowiedział się, że cierpi na śmiertelną chorobę weneryczną, którą najprawdopodobniej zaraził się w Paryżu. Odtąd tworzył w artystycznym szale, pragnąc prześcignąć śmierć. Na początku 1897 roku w Sukiennicach światło dzienne ujrzało trzydzieści jego oryginalnych studiów pastelowych, które wzbudziły zachwyt nowego dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych Juliusza Fałata. Z kolei kierujący krakowskim teatrem Tadeusz Pawlikowski obiecał artyście, że wystawi jego „Warszawiankę". Wyspiański był wniebowzięty. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie ciągnęło go już do Paryża: „Ja się coraz więcej godzę z tą ideą pozostania, żem właściwie już powinien pozostać i nigdzie mnie nie ciągnie za granicę, żadne Włochy, żadna Szwajcaria, żadne nic, tylko kraj, i kraj, i mam tu wszystko".

Niedługo potem odniósł wielki sukces na pierwszej „Wystawie osobnej obrazów i rzeźb" w Krakowie (1897), podczas której swe dzieła prezentowali mistrzowie tej miary co Fałat, Malczewski, Wyczółkowski i Stanisławski. Ci to właśnie koryfeusze nowej sztuki docenili geniusz Wyspiańskiego, a on „uskrzydlony" i pełen niespożytej energii twórczej pisał do Rydla: „Na przyszły rok już mam miliard projektów [...] i czuję koło siebie [...] artystów, którzy mnie rozumieją i ochoty mam dziesięć razy więcej niż zwykle".

Z fascynacji wawelską nekropolią, gdzie snem wiecznym śpią polscy królowie, powstały jego zadziwiające projekty witraży, które wyobrażają wyłaniające się z trumien widma Kazimierza Wielkiego, św. Stanisława i Henryka Pobożnego. Patrząc na nie, Władysław Skoczylas miał poczucie, że żadne chyba dzieło nie wyraża tak doskonale starotestamentowej idei vanitas vanitatum et omnia vanitas, jak te „trzy potężne zjawy, odarte z purpury, z ciała, ze wszystkich oznak potężnej ich kiedyś władzy, spozierające krwawymi oczodołami do wnętrza katedry. Wszystkie «tańce śmierci» tak często w kościołach odtwarzane, wydają się przy tych trzech widmach obrazkami dla straszenia dzieci".

Wyspiański to także prekursor w dziedzinie polskiej sztuki dekoracyjnej. Jego dziełem obok wyszukanego urządzenia „Świetlicy" w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych są prace zdobnicze w krakowskiej Izbie Lekarskiej, której wnętrze zwieńczyła przepyszna balustrada z motywami liści kasztanowca oraz „pełen soczystych barw i nieco posępnej witalności Apollo, unoszony przez system astralny, w którym wirują upersonifikowane planety". Nie ustawał w wymyślaniu scenografii, kostiumów i rekwizytów do własnych dramatów. „Kiedy wystawił »Bolesława Śmiałego« Kraków oniemiał, zobaczywszy króla [...] we wspaniałym stroju, który był tylko twórczym wyzyskiem kierezji krakowskiej, w jakiej chłopi do dzisiejszego dnia przyjeżdżają w dni targowe na rynek krakowski". Swoje nieograniczone możliwości plastyczne objawił jako kierownik artystyczny krakowskiego „Życia" – młodopolskiego periodyku, którego szpalty wypełniał oryginalną i wyrafinowaną grafiką, stawiając pismo na najwyższym poziomie europejskim. Okazał się też projektantem mebli artystycznych – pierwszych dzieł sztuki użytkowej, które posłużyły gościom salonu pań-

eprasa.pl 8308ffc301

stwa Tadeusza i Zofii Żeleńskich, będąc naówczas prawdziwą rewelacją. Stworzył nawet kostiumy dla wrośniętego w tradycję podwawelskiego grodu Lajkonika i jego świty, a na kilkudziesięciu kartonach rozrysował z właściwą sobie fantazją projekty uniformów służby miejskiej, w tym woźnych, konduktorów i strażaków, nie mówiąc już o własnego pomysłu indeksach dla studentów krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Jednocześnie nie ustawał w eksperymentach malarskich, zaskakując miłośników sztuki unikalnym cyklem nastrojowych pejzaży zaokiennych, ukazujących kopiec Kościuszki w kilkudziesięciu różnych odsłonach. O tym, jak zrodziła się „Historia jednego dnia", bo taki tytuł nosi wystawa, na której się znalazły owe prace (1905), opowiada młodopolski artysta Feliks Jasieński. Mianowicie, gdy któregoś razu wybrał się do Wyspiańskiego, uwięzionego z powodu choroby w swym mieszkaniu przy Krowoderskiej, artysta był „chmurny, małomówny, cierpiący. Orzeł, zamknięty w kojcu dla kur... Wielki talent dekoracyjny, któremu potrzeba kościołów, pałaców, gmachów publicznych, by mógł się wypowiedzieć... Przestrzeni! [...] skazany, po skrępowaniu mu skrzydeł, na malowanie... »główek«". Przez trzy okna widać było tor kolejowy, a dalej jeszcze kopiec Kościuszki. Widok ten zrodził w Jasieńskim myśl, którą podsunął zrezygnowanemu twórcy: „A gdyby się zabrać do krajobrazu? [...] Wystarczy o różnych porach dnia i roku siadać przed tym oto oknem narożnym [...]. Jakażby to mogła powstać seria »kopców«! Seria? Dziesięć, sto serii!". Wyspiański nic na to nie odrzekł, jednak podczas następnych odwiedzin z figlarnym uśmiechem wprowadził gościa do pokoiku obok, gdzie oczom jego ukazał się pierwszy cykl zaokiennych obrazów, którego został „ojcem chrzestnym".

▶ „Teatr mój widzę ogromny"

Twórczość autora „Wesela" to niezwykły fenomen w polskiej kulturze także dlatego, że stanowi eksplozję artystycznego rozmachu, wielkich idei i nowatorskich pomysłów, odnajdujących najpełniejsze wcielenie w syntezie sztuk, jaką daje teatr. Teatr zaś to żywioł Wyspiańskiego, który wierzył głęboko, że scena „stoi najwyżej ze sztuk i że najwięcej wchłania w siebie uczucia i pożera życia". Juliusz Kaden-Bandrowski widział w artyście przede wszystkim twórcę, który sam osiągnąwszy wolność wewnętrzną, pragnął kształtować polską duszę i „wydobywać ją z dna niewoli". Był tym, który przepowiadał zmartwychwstanie ojczyzny, a swym potężnym słowem „wspomógł i rozjaśnił wszystkie prace, ku odrodzeniu Polski zmierzające na początku XX wieku". Był jednocześnie tym, który pozostawił testament dla Polski nowej, ogarniając ją już swym jasnowidzącym spojrzeniem na horyzoncie dziejów. W jego dramatach i rapsodach tkwiła siła porażająca, targająca polskim sumieniem, nakazująca odrzucić to, co zniewala, krępuje, skarla wewnętrznie, co dzieli i uniemożliwia budowanie wspólnoty.

Teatralne tryumfy artysty przyćmiła jednak wciąż postępująca choroba. W styczniu 1906 roku Maria Maciejewska donosiła Helenie Modrzejewskiej: „Wyspiański prawie dogorywa, tj. żyć jeszcze może, ale jakby go nie było. Mówić prawie nie może, bo rany w gardle sprawiają straszny ból, gorączka ciągła, słowem, straszny stan". Myśląc o przyszłości dzieci i Teosi, kupił dom ze skrawkiem ziemi w podkrakowskich Węgrzcach i tam ciężko chory przeprowadził się z rodziną. Wyspiańscy tonęli w długach. Stanisław zdecydował się sprzedać rękopisy swoich dramatów oraz najdroższe sercu portrety i pastele. W wyścigu ze śmiercią pracował w szaleńczym tempie. Porządkował swoje utwory, wnosił do nich poprawki, dopisywał nowe fragmenty. W październiku 1906 roku ukazała się jego „Skałka", w marcu 1907 – przekład „Cyda" i „Powrót Odysa", w czerwcu powstała scena dramatyczna „Zgon Barbary Radziwiłłówny". Nie był już w stanie unieść pióra, więc nocami dyktował Joannie Stankiewiczowej „Zygmunta Augusta". Wilhelm Feldman z boleścią patrzył na bezwładną rękę artysty, przymocowane do niej ciężarki i ołówek wetknięty między znieruchomiałe palce. Władysław Stanisław Reymont pisał, że wyglądał strasznie, „tylko oczy były jeszcze dawne, oczy jasnoniebieskie, władcze i mądre, oczy pełne błyskawic i woli nieugiętej, hetmanie oczy walki". W swym podkrakowskim gospodarstwie przeżył jeszcze najradośniejsze święto wsi – dożynki – „z muzyką i tupotem tańczących". Do jego pokoju wpadła gromada wiejskiej młodzieży z piękną dziewczyną, która uklęknąwszy przed Wyspiańskim, podała mu kłosiany wieniec zdobny w maki i bławatki. Na ten widok zapłakał.

Zmarł 28 listopada 1907 roku. Kraków tłumnie żegnał swojego artystę, a dzwon Zygmunt długo bił mu pieśń pożegnalną. On zaś jakby zdawał się przemawiać do żałobników strofami swego wiersza „Gdy przyjdzie mi ten świat porzucić":

Niech kto chce, grudę ziemi ciśnie,
Aż kopiec mię przywali,
Nad kurhan słońce niechaj błyśnie
I zeschłą glinę pali.

A kiedyś może kiedyś jeszcze,
Gdy mi się sprzykrzy leżeć,
Rozburzę dom ten, gdzie się mieszczę
I w słońce pocznę bieżeć. ■

_____

Źródła: M. Śliwińska, Wyspiański. Dopóki starczy życia, Warszawa 2017; S. Gowin, Stanisław Wyspiański (1869-1907), Warszawa 2006.

eprasa.pl 8308ffc301

Piotr Lisiewicz

Gdy komuniści zaczęli do swoich celów wykorzystywać twórczość Stefana Żeromskiego, Tymon Terlecki odpowiedział im na te uzurpacje: „Baryka zginął w Katyniu, leży pod śniegami Kołymy albo w gruzach »Starówki«, może rąbie drzewo w Kanadzie albo łupie węgiel w Walii". Tekst z 1951 roku autorstwa wybitnego emigracyjnego publicysty jest o Żeromskim, jako patronie – chciałoby się powiedzieć, także dzisiejszych – zwolenników łączenia idei niepodległościowych z poprawą losu zwykłych Polaków. Ale nie tylko, także o „fałszerstwach wielkości, hańbieniu świętych trucheł, bluźnierczym przemalowywaniu i przebieraniu pomników". Czyli o metodach komunistów, ale jak czujemy dziś, nie tylko...

Tymon Terlecki

Żeromski prawdziwy

Orwell nie przewidział jednej potwornej praktyki: fałszerstwa wielkości, hańbienia świętych trucheł, bluźnierczego przemalowywania i przebierania pomników. Te zabiegi odbywają się w Polsce na olbrzymią skalę. Jak snobistyczni parweniusze, jak typowi uzurpatorzy, nasłańcy moskiewscy dorabiają sobie drzewa genealogiczne.

Niedawno zmarły znakomity pisarz angielski George Orwell w ostatniej swojej powieści „Rok 1984" stworzył jakby satyryczną apokalipsę czerwonego totalizmu. Co dzień stwierdzamy, że jego przeraźliwe wizje są już rzeczywistością, że rzeczywistość prześciga lot panicznej wyobraźni. W koszmarnym świecie, nad którym unosi się złowrogi cień „Wielkiego Brata", Orwell nie przewidział jednej potwornej praktyki: fałszerstwa wielkości, hańbienia świętych trucheł, bluźnierczego przemalowywania i przebierania pomników. Te zabiegi odbywają się w Polsce na olbrzymią skalę. Jak snobistyczni parweniusze, jak typowi uzurpatorzy, nasłańcy moskiewscy dorabiają sobie drzewa genealogiczne. Rok mickiewiczowski dał sposobność do cynicznego, urągającego zdrowemu rozsądkowi widowiska, w którym twórca „Dziadów" wystąpił jako przodek i prorok komunizmu. A przecież Mickiewicz, największy geniusz narodowy, był także – i może przede wszystkim – jednym z największych geniuszów religijnych, geniuszów chrześcijańskiego odczuwania i rozumienia świata.

Złodzieje cmentarni

W 25 rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego przyszła kolej na to wielkie imię, na niezapomniane, płomienne istnienie, na niezapomnianą, palącą jak ogień, szarpiącą jak ból twórczość. Żeromski jest jeszcze zbyt bliski, zbyt głęboko wszczepiony w krew żyjących pokoleń polskich, aby go można było sfałszować w tak prostacki sposób, jak to zrobiono ze Staszicem i Kołłątajem, z Mickiewiczem i Słowackim. Zabiegi gwałcicieli grobów, złodziei cmentarnych są tutaj o wiele bardziej złożone. Rewiduje się Żeromskiego ze stanowiska doktryny, zgłaszając pretensje i zarzuty. Wystawia mu się pośmiertny glejt postępowości. Z tymi wszystkimi zastrzeżeniami i z bezczelnie protekcjonalnym poklepywaniem po ramieniu wskazuje się w nim duchowego ojca obecnych rządców Polski. [...]

Jest coś z niepokojącego samoponiżenia, gdy córka wydawcy wielkiego pisarza ośmiela się zawieszać domyślne pytajniki nad jego stosunkiem do komunizmu, gdy opierając się na tak nikłej podstawie, jak

eprasa.pl 8308ffc301

przechowywanie kilku odezw komunistycznych, dopuszcza, że ostatnie dzieło Żeromskiego, nienapisana, legendarna „Wiosna" miała być opowiedzeniem się za wiarą komunistyczną.

Ale jawnie urąga prawdzie wyprowadzanie z „Przedwiośnia" rodowodu komunistów rzekomo polskich i rzekomo polskiego komunizmu. Można bez przesady powiedzieć, że właśnie autor tej książki był najgłębiej wrogi porządkowi, który dziś w Polsce panuje, i ludziom, którzy go wprowadzają. Właśnie twórca „Przedwiośnia" stanowi żywe, płomienne potępienie tego porządku i jego ludzi.

Wszeptać niepodległość w sztukę nowoczesną

Żeromskiego urabiały rozmaite oddziaływania. Jednym z najważniejszych, najtrwalszych była myśl polskiej emigracji polistopadowej. Zbieg okoliczności, przypadek czy jakieś jasnowidzenie instynktu, nieuchronne ciążenie wprowadziły Żeromskiego na historyczny już za czasów jego młodości szlak emigrancki. Jako młody człowiek, na cztery lata przed pierwszym tomem opowiadań: „Rozdziobią nas kruki, wrony", na sześć lat przed pierwszą powieścią: „Syzyfowe prace", spędził Żeromski dłuższy czas w Rapperswilu. Pracując tam jako bibliotekarz, z żarliwą pasją i pedantyczną systematycznością, które tylko jemu były właściwe, zgłębił dorobek wielkiej emigracji. Zrozumiał go, odczuł, przeniknął na wskroś jak nikt przed nim i bodaj nikt po nim. Wyspiański sprowadzał na deski teatru krakowskiego Konrada z „Dziadów", zmagał się z duchem poezji romantycznej i podnosił go do apoteozy. Żeromski nasycił się nie tylko poezją, ale ideą, trudem wypatrywania przyszłości, pracą myślową i organizacyjną emigrantów polistopadowych. Stanowi on wyjątkowy przykład ciągłości kulturalnej, organicznego związku między epokami i pokoleniami.

Zwłaszcza jedna idea wielkiej emigracji zaważyła na czuciu, widzeniu rzeczy i działaniu twórczym Żeromskiego: idea łącząca sprawę narodową ze sprawą społeczną, sprzęgająca walkę a niepodległość z walką o sprawiedliwość [...].

Żaden pisarz polski nie złożył tylu świadectw prawie męczeńsko nadczułej wrażliwości na krzywdę społeczną. Niewielu też wykazało tak uparte, niezłomne natężenie woli niepodległości. Doktór Judym z „Ludzi bezdomnych" mówi: „Ja jestem za to wszystko odpowiedzialny! Ja jestem. Jestem odpowiedzialny przed moim duchem, który we mnie woła: nie pozwalam! ... Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którą bym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę się wyrzec szczęścia, muszę być sam jeden". Czarowic z „Róży" mówi w imieniu Żeromskiego: „Mam hasło niepodległości wpracować w trudy polskie, zakląć we wszystkie wysiłki, mam je wszeptać w sztukę nowoczesną". [...]

Żaden z pisarzy urodzonych w niewoli nie powitał niepodległości takim hymnem uszczęśliwienia, jaki rozbrzmiał w „Wiśle" Żeromskiego: „Bądź pozdrowiona przenajdroższa ziemio nasza, którą czciliśmy miłością bezdenną, gdyś była pod otchłaniami wód niewoli! Bądź pozdrowiona teraz i o każdej porze mową naszą tysiącletnią i na wieki świętą! Bądź pozdrowiona w sercu pokolenia, co się jeszcze morduje i cierpi oraz w sercu przyszłych szczęśliwych i radosnych".

Wolność i sprawiedliwość

W wolnej Polsce zachował Żeromski tę samą odpowiedzialność sumienia za zło społeczne, o której mówił Judym. [...] „Wiatr od morza" mówi o obowiązkach wobec wolnego istnienia. „Przedwiośnie" w sposób bezlitosny przywodzi przed oczy groźne zawikłania społeczne. Ciągle, do końca utrzymuje się ten sprzęg zawiązany w nim przez ducha wielkiej emigracji, sprzęg narodowego ze społecznym, wolności ze sprawiedliwością.

Właśnie „Przedwiośnie" i wcześniej najazd bolszewicki w r. 1920 dały Żeromskiemu sposobność do stwierdzenia, że nie ma i nie może być rozdziału między samorządnością polską, prawem do stanowienia o sobie i lepszym porządkiem społecznym, na polski sposób budowanym przez Polaków dla Polaków. Te dwa świadectwa złożył Żeromski w okolicznościach nieopisanie dla siebie bolesnych. Noszą też one piętno bezwzględnej prawdy. [...]

Wcześniej jeszcze w r. 1920 Żeromski zaświadczył co myśli o „sprawiedliwości" przynoszonej na obcych bagnetach, służącej za bluźniercze przybranie odwiecznemu duchowi najazdu i zaboru. Radykał społeczny do najtajniejszego fibru swojej duszy i do ostatniego tchnienia, stanął wtedy bez wahania po stronie zagrożonej niepodległości. Bronił jej słowem i czynem. Jeździł do strefy przyfrontowej. Jeden z takich wyjazdów opisał w drobiazgu „Na probostwie w Wyszkowie", który po trzydziestu latach ma znamiona uderzającej aktualności.

Naznaczeni w obcym kraju

Na owym wyszkowskim probostwie rezydował przed odparciem najazdu ówczesny „rząd polski" z nadania Moskwy, pierwsza edycja komitetu lubelskiego. Żeromski zastał tam świeże wspomnienie członków owego rządu, gotującego się do objęcia

eprasa.pl 8308ffc301

władzy w najechanym kraju. Dwu z nich, Kohna i Marchlewskiego, Żeromski znał osobiście z dawniejszych spotkań. O trzecim, Dzierżyńskim, pisze tak: „Nigdy nie byłem w promieniu jego jurysdykcji i cieszę się świadomością, iż nigdy nie widziałem ani jego twarzy, ani nie dotykałem ręki krwią obmazanej po łokieć, ani słyszałem wyrazów z jego ust wychodzących. Wyznaję, iż to imię i nazwisko wymówione w mej obecności sprawia na mnie obmierzłe wrażenie duszności i jakby torsji". Dziś tym imieniem i nazwiskiem chrzci się w Polsce szkoły, szpitale i biblioteki. Krwawy siepacz jest jednym ze świętych panującego regime'u. Zaiste jest to święty godny religii i jej wyznawców.

Bezwzględny osąd całego dzisiejszego układu rzeczy i wszystkich stojących za nim ludzi zawierają te pytania i odpowiedzi wielkiego pisarza: „Któż to byli ci trzej goście, którzy w tych izbach mienili się rządem polskim? Czy ich lud polski wybrał, czy ich ktokolwiek na tej ziemi mianował? Lud polski czy naród polski, tak rozumiany jak to jest w ich zwyczaju, nie naznaczał żadnego z nich na godność, którą sobie wybrali. Naznaczeni zostali przez kogoś z wyższa, w obcym kraju, w obcym zespole, w swej partii. Jako takich można by ich nazwać tylko komisarzami w znaczeniu, jakiego ten wyraz nabrał w polskiej opinii ludowej podczas długoletniej działalności komisarzy po „krestjanskim diełam" za poprzedniej inwazji carów na ziemię polską. I tamci stawali przecie w obronie ludu polskiego wobec ucisku szlachty. Tamci także opierali pomoc swoją dla chłopów polskich na nieprzeliczonej ilości bagnetów. Jedna tylko różnica: tamci komisarze nie byli z naszego rodu. Krew polska nie płynęła w ich żyłach".

To określenie z doskonałą precyzją przystaje do wszystkich posłusznych małorządców dzisiejszych wraz z Wasilewską-Korniejczukową, Passionarią Związku Patriotów, i „ministrem" Kruczkowskim, którym liberyjna krytyka dorabia pokrewieństwo z Cezarym Baryką z „Przedwiośnia". Jest to oczywista nieprawda. Baryka zginął w Katyniu, leży pod śniegami Kołymy albo w gruzach „Starówki", może rąbie drzewo w Kanadzie albo łupie węgiel w Walii.

„Opasali się pasem żołnierskim nędzarze"

Szkic „Na probostwie w Wyszkowie" zawiera obok siebie namiętne wołanie o poprawę ustroju społecznego i stwierdzenie wierności niepodległej ojczyźnie: „Cały lud polski poszedł w bój za ojczyznę. Opasali się pasem żołnierskim nędzarze, którzy na własność w ojczyźnie mają tylko grób, i z męstwem, na którego widok oniemiał świat, uderzyli na wojska najeźdźcy! [...]".

Ten głos brzmi poprzez odległość trzech dziesiątków lat, jakby dobywał się z piersi dzisiaj, jakby mówił o r. 1939 i 1944. I to na pewno nie jest złudzenie. Cały wysiłek orężny w ostatniej wojnie, cały ruch podziemny narodził się z natchnienia Żeromskiego. Żołnierze Armii Krajowej wcielili w żywy kształt jego bohaterskie wyobrażenie polskości, przenieśli je z kart książek na ziemię, ze świata marzenia w świat historii.

Żeromski ciąży nad nami także jako prawodawca społeczny. To właśnie walczące o niepodległość podziemie polskie wypracowało program społeczny, nie tylko radykalny, ale i uzgodniony przez wszystkie ośrodki opinii polskiej, nie tylko szlachetny, ale i konkretny, nie porywczy, ale rozważny, nie utopijny, ale możliwy do urzeczywistnienia [...].

[...] „Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, stratował... ten wyzuł się z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem ani miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej nie ma dla tych ludzi już ani tyle miejsca, ile zajmą stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła"...

W mieście boleśnie okaleczałym, w którym umarł, pod znowu udręczoną, znowu niewolną ziemią leży najczulsze z czułych serce Stefana Żeromskiego. Jego duch czysty i przenikliwy jak ton muzyczny, jak promień światła, jest z nami, jest w nas ojcowskie po nim dziedzictwo. Uczy nas męstwa, rozpaczliwej wiary, wyniosłej, zabijającej pogardy dla najmitów w „czapeczkach moskiewskich obstawionych wokoło pawimi piórami". ■

ŻADEN Z PISARZY URODZONYCH W NIEWOLI NIE POWITAŁ NIEPODLEGŁOŚCI TAKIM HYMNEM USZCZĘŚLIWIENIA, JAKI ROZBRZMIAŁ W „WIŚLE" ŻEROMSKIEGO: „BĄDŹ POZDROWIONA PRZENAJDROŻSZA ZIEMIO NASZA".

_____

Przedruk za: „Wiadomości", 04.02.1951, Londyn, Rok 6, Nr 5 (253).

eprasa.pl 8308ffc301

Ryszard Czarnecki

Przed 32 laty w „polskim" Londynie przeprowadziliśmy – wraz z Krzysztofem Turkowskim – rozmowę z jednym z nestorów polskiej imigracji niepodległościowej, a wcześniej bitnym żołnierzem RP gen. Klemensem Rudnickim. W tej opowieści, której pierwszą część mogli przeczytać Państwo w numerze wakacyjnym (7–8/2020) „Nowego Państwa", są zarówno polska wielkość, polska duma, jak i szczypta polskiej goryczy, a także sposób na to, jak być szczęśliwym.

Zapraszam, wraz ze współautorem rozmowy, do jednego z najciekawszych wywiadów, jakie przeprowadziłem w moim „dawnym", dziennikarskim, życiu. Życzę inspirującej lektury.

O wojnie z Niemcami w 1939 i o sowieckiej okupacji

Wojnę zacząłem z pułkiem w Brygadzie Podolskiej, która była częścią Armii Kutrzeby. Przeszliśmy Poznań, szliśmy aż na Zbąszyń. Stamtąd się wycofaliśmy, gdyż nie było żadnej styczności z przeciwnikiem. Dopiero 12 września armia Kutrzeby weszła do walki. O tym, że brałem udział w bitwie nad Bzurą, dowiedziałem się dopiero z historii. Dla mnie to była zwykła walka z Niemcami – z generałem Klemensem Rudnickim rozmawiali Ryszard Czarnecki i Krzysztof Turkowski

▶ Czy mógłby Pan opowiedzieć o Wyższej Szkole Wojennej?

Osiągnięcia Szkoły to zasługa przede wszystkim wybitnego sztabowca i dowódcy, generała Kutrzeby. To był austriacki oficer. Saper. Światowej klasy oficer, jako sztabowiec.

Prowadziliśmy wtedy gry wojenne. Były to z polecenia Naczelnego Wodza, ćwiczenia dla dowódców. Bardzo je lubiłem.

▶ Czy w Wyższej Szkole Wojennej w II Rzeczypospolitej byli dowódcy wyraźnie się wybijający?

Wszyscy generałowie przeszli przez moje ręce. Wybijał się Anders, generał Wład, Bołtruć, Szylling. To byli wybitni taktycy. Dowódcy w takiej grze stawiani byli w trudnej sytuacji wojennej i egzamin polegał na podjęciu optymalnych decyzji.

Przypomniała mi się taka historia, którą opowiedział mi szef Szkoły Wojennej generał Tadeusz Kutrzeba. Kiedyś, gdy akurat miałem dyżur, przychodzi do mnie i mówi: „Wiem, że to ciężka służba. Opowiem Panu coś z moich doświadczeń. Pan wie, że ja byłem u Mackensena [feldmarszałek August von Mackensen – przyp. R.Cz.], dowódcy 8. armii niemieckiej w Rumunii przed listopadem 1918 roku. I raptem dowiaduję się tam, że wybuchła Polska. Jestem z Krakowa, więc postanowiłem, że muszę wracać do mojego miasta. Byłem wtedy majorem austriackiego sztabu generalnego. Przyjeżdżam do Krakowa, tam mi powiadają, że muszę natychmiast jechać do Warszawy, bo tam jest brak oficerów sztabowych. Tam jest pułkownik Teliczko, także austriacki, a szefem sztabu jest generał Szeptycki, więc pojechałem. Melduję się i tej

eprasa.pl 8308ffc301

samej nocy dostaję rozkaz, że mam być dyżurnym w Naczelnym Dowództwie. [...]

W nocy przychodzi depesza od generała Latinika ze Śląska, która brzmi tak: »Czy mam zawrzeć rozejm z Czechami i na jakich warunkach?«. Ja ledwo od tego Mackensena przyjechałem, nic jeszcze nie wiem, co się w Polsce dzieje, więc nie wiem, co robić.

Idę do pułkownika Teliczki, budzę go w nocy, a on mi powiada: »Idź Pan do szefa sztabu, bo sprawa jest poważna, polityczna«. A gdzie on jest? Dowiaduję się, że mieszka w Hotelu Europejskim. Idę tam. Dzwonię do Szeptyckiego, a on już śpi. W końcu go budzą. Nakłada na nos okulary, mówię o depeszy Latinika. On ją czyta i mówi, że to poważna sprawa polityczna i trzeba iść do premiera, który właśnie jest tutaj na drugim piętrze. I jest tam także Wódz Naczelny – Piłsudski.

[...] nie wiem kto ważniejszy, nie wiem, co się tu dzieje. Poprawiłem się i pukam do drzwi. Otwiera mi pani Paderewska i zaprasza mnie na herbatę. Wchodzę do pokoju. A tu Piłsudski chodzi po pokoju, a Paderewski siedzi przy biurku. Melduję się – major Kutrzeba. Piłsudski bierze i czyta. Po chwili mówi: »To dla Was, premierze«. Paderewski czyta i zaczyna odpisywać. Napisał jeden arkusz, zmiął, wyrzucił. Drugi napisał i też wyrzucił. Potem napisał coś i daje Piłsudskiemu. A na to Piłsudski wtedy pyta się mnie: »Czy Pan to rozumie?«. Ja teraz nie wiem, co mam robić. [...] Powiem, że rozumiem, to źle, powiem, że nie – to jeszcze gorzej. Tak czy inaczej się narażę. W końcu zebrałem się i mówię: »Panie Komendancie, melduję, że nie rozumiem«. A na to Piłsudski: »Widzicie premierze, to jest żołnierz, to nie rozumie tego. Do żołnierza trzeba mówić jasno«. Sam wziął i napisał: »Rozejm zawrzeć z wypowiedzeniem 24-godzinnym«. Rano idę do Szeptyckiego i daję mu to. Szeptycki czyta i woła: »A co to za dureń to napisał?«.

I to są trudności oficera, który przyjechał od Mackensena, bo Polska wybuchła, a on nic o tej Polsce nie wie" – kończył opowiadanie generał Kutrzeba.

Ale wracając do Szkoły, to chowała ona rzemieślników sztabu, a nie dowódców. Francuzi chowali dowódców, my sztabowców.

Piłsudski, potem Rydz (Śmigły – przyp. R.Cz.) chcieli właśnie szkolić dobrych sztabowców. Takich, którzy potrafiliby zrobić analizę dla dowódcy, napisać rozkaz, dopilnować wykonania rozkazu. Takich fachowców potrzebowaliśmy. To było zadanie Kutrzeby i nasze.

Sam siedząc w Wyższej Szkole Wojennej miałem okazję sporo się nauczyć. Zbieraliśmy prasę z całego świata, czytaliśmy dużo prac naukowych. Opracowań sztabowych niemieckich, włoskich, francuskich.

▶ Panie Generale, jak Pan ocenia z perspektywy lat jakość wojska Polski niepodległej, jego przygotowanie do wojny – fachowe, sprzętowe, kadrowe?

Nie można stworzyć wojska i sztabu w ciągu kilku lat. Wspaniałe wojsko niemieckie potrzebowało dwustu lat. Jak tu żądać, żeby dokonać tego w ciągu 2–3 lat? Myśmy mieli doskonałych dowódców na szczeblu roku 1920, z których wyrośli generałowie, którzy potem dzięki temu, że byli dobrymi dowódcami batalionów albo pułków, osiągnęli wysokie stopnie. Nasza generalicja nie cała była na poziomie. Zawsze znakomici byli Anders, Szylling, Wład. Był też szereg wybitnych, rozwijających się dowódców. Mieliśmy znakomicie przygotowanych oficerów sztabowych dzięki Kutrzebie. Żołnierz był u nas bardzo dobry, wręcz doskonały. Natomiast, według mnie, niedobre były plany wojenne. Plan strategiczny Naczelnego Wodza w trzecim dniu wojny okazał się nierealny.

▶ Wróćmy do Pana losów.

Nadchodzi sierpień 1939 roku. Rok wcześniej objąłem dowództwo 9. Pułku Ułanów Małopolskich w Trembowli, po pułkowniku Tadeuszu Komorowskim, późniejszym „Borze", moim przyjacielu.

Przychodzi mobilizacja i mój pułk zostaje na ćwiczeniach w Miodoborach na Podolu. Podjąłem decyzję, że trzeba szukać Matki Boskiej. Pojechaliśmy z pułkiem do Jazłowca. Zapukałem do furty klasztornej i poprosiłem przełożoną, żeby pozwoliła złożyć nam votum.

▶ I tak zaczyna się szlak bojowy opisywany przez Pana Generała w książce, która miała dużo wydań na emigracji i w podziemiu [„Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939–1947" – przyp. R.Cz.]. Ale przypomnijmy pokrótce losy Pana Generała w czasie wojny.

Wojnę zacząłem z pułkiem w Brygadzie Podolskiej, która była częścią Armii Kutrzeby. Przeszliśmy Poznań, szliśmy aż na Zbąszyń. Stamtąd się wycofaliśmy, gdyż nie było żadnej styczności z przeciwnikiem. Dopiero 12 września armia Kutrzeby weszła do walki. O tym, że brałem udział w bitwie nad Bzurą, dowiedziałem się dopiero z historii. Dla mnie to była zwykła walka z Niemcami. Do grupy kawalerii, już wówczas pod dowództwem generała Abrahama, który był dowódcą Poznańskiej Brygady Kawalerii, dołączyły Brygada Podolska i część oddziałów Grzmot-Skotnickiego i z tą grupą przebijaliśmy się

eprasa.pl 8308ffc301

przez Puszczę Kampinoską na odsiecz do Warszawy. Przeżyliśmy ciężkie walki pod Sierakowem, pod Laskami, przebiliśmy się przez Młociny do stolicy. Weszliśmy w skład obrony Warszawy. Obroną dowodzili wtedy Rómmel. W związku z tym, że nie było dla kawalerii zajęcia w oblężonej Warszawie, powstały plany, żeby się przebić na Wilanów. To się okazało nierealne i wobec tego byliśmy uziemieni do końca obrony.

Broniłem Fortu Dąbrowskiego, to był mój sektor obrony. Tam zastała mnie kapitulacja. Ponieważ znałem Rómmla i jego szefa sztabu – Pragłowskiego – bardzo dobrze, to był mój przyjaciel, więc byłem na ostatniej odprawie. Był tam Rómmel, Kutrzeba, [Karaszewicz – przyp. R.Cz.] Tokarzewski, Czuma i ja. Rómmel oświadczył, że nie ma sensu walczyć dalej, ludność nie ma wody, żywności. Nie ma żadnych szans. Wtedy Tokarzewski powiedział, że pozostanie i będzie tworzył armię podziemną.

dzie siedzieli Ludwik Plater i moja siostrzenica. I powiedzieli, że przyjechali po mnie. Przebrałem się w ubranie cywilne, poszedłem w kierunku niemieckiego posterunku, kiwnąłem ręką, wsiadłem do samochodu i pojechałem. I tak znalazłem się w Warszawie u pani Łubieńskiej. Tam spotkałem pułkownika Godenoskiego, już ukrywającego się pod nazwiskiem Suchodolski, i szereg innych żołnierzy. Nie było ani chwili załamania. Rozumieliśmy doskonale, że jedną bitwę w wojnie przegraliśmy, ale to nie znaczy, że przegraliśmy wojnę. Wygramy. Zastanawialiśmy się, gdzie wziąć udział w walce. Jedni uważali, że trzeba walczyć w podziemiu, inni, że trzeba walczyć we Francji. Ja chciałem do Francji, z tym zamiarem uciekałem. Nie nadaję się na podziemie. Ale kiedy zobaczyłem u „Loursa" [słynna warszawska cukiernia i kawiarnia przy Miodowej 12, bywał w niej Piłsudski – przyp. R.Cz.] i w innych kawiarniach tyle naszych poprzebieranych za cywili ofice-

Słyszałem przemówienie generała Januszajtisa, który wygłaszał je gdzieś w Rosji. Mówił wtedy coś o panslawizmie. Żeby z bratnim narodem wspólnie bić Niemców. Brzmiało to bardzo niedobrze.

Ja wtedy konno z pułkiem w trzysta szabel poszliśmy do niewoli. Tak doszliśmy pod Grodzisk czy Błonie. Dałem wtedy następujący rozkaz, że jak długo ułani są z nami, to my, oficerowie, nie uciekamy. Z chwilą, gdy oddaliśmy konie i ułani zostali puszczeni do domów, dałem rozkaz ucieczki. I sam uciekłem.

▶ Jak Pan uciekł?

Bardzo prosto. Jako ciężko chory – symulowałem – zostałem na noszach wywieziony do polowego szpitala przez mego oficera – lekarza Paczkowskiego. To był sławny „Wania". On mnie wyniósł na noszach z obozu do szpitala jako umierającego człowieka. Szpital był polski. Jacobson, komendant, już wtedy był w porozumieniu z Tokarzewskim. To wszystko była „jedna mafia". Pozostałem przez kilka dni w tym szpitalu. Posłałem do Warszawy cyklistę, który pojechał po ubranie cywilne, zawiadomił moją siostrzenicę, Ewę Szarkowską-Gelejewską, i panią Łubieńską, że jestem w szpitalu. Pewnego dnia przyjechał samochód z flagą Czerwonego Krzyża. W samocho-

rów, rwących się do jakiejś roboty – postanowiłem, że muszę ich skierować do Tokarzewskiego, który właśnie organizuje podziemie.

▶ Co było dalej?

Dostałem się do niego przez Albrechta, pułkownika. Powiązałem ich z Tokarzewskim, a sam udałem się do Krakowa, żeby stamtąd iść przez Karpaty na Węgry. Gdy pod koniec października przyjechałem do Krakowa, to spotkałem tam mojego znajomego pułkownika Epplera, który mówił mi, że jest dowódcą różnych tworzących się oddziałów zbrojnych w konspiracji. Powiedział mi, że musi wyjechać i poprosił mnie, czy nie zechciałbym przejąć od niego konspiracji. Powiedziałem mu, że nie nadaję się do konspiracji i że tu, w szpitalu Bonifratrów, jest ukryty mój przyjaciel płk Tadeusz Komorowski. Poszedłem do niego i Komorowski się zgodził pod warunkiem, że zostanę z nim. I tak zostałem z Komorowskim w Krakowie. Nie wiedzieliśmy, kto ma prawo organizować to podziemie. Endecy i Stronnictwo Ludowe w Krakowie nie chcieli słyszeć o Tokarzewskim, żeby

eprasa.pl 8308ffc301

„legioniści" z powrotem nie rządzili. Poszli do Komorowskiego, żeby to robił, bo nie był „legionistą". Rudnicki także nie był „sanatorem".

Postanowiliśmy, że ja najpierw pójdę do Lwowa, żeby się dowiedzieć, jaka jest sytuacja pod okupacją sowiecką, wrócę i napiszemy wtedy raport przyzwoity do Sikorskiego i z tym raportem pójdę. Pojechałem do Lwowa, a właściwie poszedłem przez San koło Przemyśla, bez przewodnika. Takim utartym szlakiem.

Tamta okupacja kolosalnie się różniła od niemieckiej – tam był zupełny bałagan. Po Lwowie kręcący się żołnierze z karabinami na sznurkach. Idiotyzm zupełny. Myślałem wówczas, że to nie może trwać. Kompletna głupota. Spotykam mojego przyjaciela, profesora Halbana z Uniwersytetu Jana Kazimierza. Mówię mu: „W Czerwonym Sztandarze jest informacja, że ty podpisałeś taki hołdowniczy list do Stalina". On na to, że wie, ale z gazety się dowiedział, że coś podpisał. Uznałem, że groźniejsi są Niemcy, bo tu się musi rozlecieć. Z takim wrażeniem przyjechałem do Krakowa i Warszawy. Ale sam z raportem nie poszedłem [do Francji – przyp. R.Cz.], bo znalazł się kurier, który zabrał materiał. Kurierem był Władysław Techódowski. Przywiózł nam w krótkim czasie odpowiedź, że prawo organizowania podziemia ma Rowecki, a Tokarzewski ma organizować konspirację w zaborze sowieckim.

Albrecht przywiózł mi sugestię od Roweckiego, czy nie zgodziłbym się pójść do Lwowa jako zastępca Tokarzewskiego, gdyż znam miasto. Pojechałem do Warszawy, gdzie Rowecki poinformował mnie o sytuacji. Pojechałem do Tokarzewskiego, który mieszkał na Filtrowej. Powiedziałem mu: „Zwalczałem Pana Generała z powodów politycznych, ale jestem ze Lwowa i chętnie pójdę z Panem". On się zgodził. Dostałem 20 dolarów w złocie na drogę, które wręczyła mi pani Karasiówna [Janina Karasiówna „Jadwiga", „Berg", „Henryk Kościesza", mjr AK, współzałożycielka Służby Zwycięstwu Polski – przyp. R.Cz.] i poszedłem do Krakowa i stamtąd na Jarosław przez San. Była zima, śnieg, psy po śladach mnie znalazły.

▶ Czy bolszewicy rozpoznali, z kim mają do czynienia?

Nigdy. Siedziałem półtora roku w więzieniu w Dniepropietrowsku, toczyło się w śledztwo. Wiedzieli, że coś jest nie tak, ale dostałem bardzo łagodny wyrok, 5 lat wolnej zsyłki do Kirowa. Sam im powiedziałem, kim jestem, ale później.

▶ Przychodzi porozumienie Sikorski–Majski, jest rok 1941. Pan Generał gdzie jest wtedy?

Znajduję się w Kirowie i pracuję jako robotnik przy wyciąganiu drzewa z Wiatki. Występuję jako Józef Rumiński.

▶ W momencie, gdy Pan Generał się dowiaduje o amnestii dla Polaków, po układzie Sikorski–Majski, co się dzieje z Panem dalej?

Najpierw nie uwierzyłem. Słyszałem przemówienie generała Januszajtisa [Marian Żegota-Januszajtis, generał dywizji WP, ostatni dowódca I Brygady Legionów Polskich – przyp. R.Cz.], który wygłaszał je gdzieś w Rosji. Mówił wtedy coś o panslawizmie. Żeby z bratnim narodem wspólnie bić Niemców. Brzmiało to bardzo niedobrze. Potem dowiedziałem się z radia, że jest już ambasador, że przyjeżdża generał Szyszko-Bohusz i że generał Anders został mianowany wodzem. A to już co innego. Wtedy poszedłem do dyrektora fabryki i powiedziałem, żeby mnie puścił. Oni mi powiedzieli, że jestem „starik", a takich nie potrzeba w wojsku. Nie miałem innego wyjścia i postanowiłem opowiedzieć dokładnie, kto ja jestem. Najpierw z Kirowa posłałem list polecony do ambasadora i do Szyszko-Bohusza. Po pięciu dniach poszedłem do szefa NKWD i powiedziałem, kto ja jestem, i poprosiłem o odesłanie do armii. On zbladł, potem się zastanowił, podał mi rękę i poprosił, żebym siadł. Powiedział, że to trzeba przesłać do Moskwy, przejrzeć i zapytać. Zakazał, żebym cokolwiek komuś powiedział, i kazał wrócić.

Po dwóch tygodniach zostałem wezwany do NKWD. Przyjął mnie towarzysz Gawarik, szef kirowskiego NKWD, który ucieszył się bardzo. Mówił świetnie po polsku i powiedział, że „szukają Pana wszyscy, z Andersem na czele". Spytał mnie, czy jestem za naszym porozumieniem i czy wszyscy Polacy też popierają porozumienie. Odpowiedziałem, że wszyscy. A on stwierdził, że nie wszyscy, bo Zaleski, Sosnkowski nie są za. Powiedziałem, że nic o tym nie wiem. Zaproponował mi podpisanie cyrografu, że będę wtyczką NKWD w Wojsku Polskim. Oczywiście odmówiłem. Ale powiedziałem, że podpiszę, z tym że natychmiast zamelduję o tym w Moskwie. I posłali mnie pod konwojem do Moskwy. Konwój był bardzo elegancki.

W Moskwie czekał na mnie samochód i zawieziono mnie do „Narkomdiełu", gdzie przywitał mnie pułkownik Fedyczkin wspaniałym polskim językiem. Cieszyli się, że mnie znaleźli, bo wszyscy się o mnie rozbijają. Kazał mi zaczekać, bo szef chciał ze mną rozmawiać. Tym szefem okazał się Beria. Czekałem do drugiej w nocy i zaprowadzili

eprasa.pl 8308ffc301

mnie do Berii. On siedział za stołem, nie wstał, jak wszedłem, tylko zaczął krzyczeć: „Wy nie czestnyj cieławiek, wy obmauli Sowietskuju włast" – „Pan ukrył, kim pan był, pan wie, jak się z takimi postępuje?". Zdziwiłem się, skąd ta zmiana. A więc powiadam: „Panie, byliśmy w wojnie ze sobą, wszystko mogłem zrobić, ponieważ prowadziliśmy walkę. Ale kiedy nasze władze zawarły układ, pierwszy powiedziałem, kim jestem. Co Pan ode mnie chce?". On na to, żebym się nie denerwował i prosił, żebym usiadł. Siadłem i zadał mi takie pytanie: „Czy wszyscy Polacy chcą tego co władze?". I znowu wyjechał z Zaleskim i innymi. Powiedziałem, że nic nie wiem, bo siedziałem w więzieniu. „Ja jestem za porozumieniem". Potem mnie spytał, jakie jest znaczenie operacyjne Skały, to takie miasteczko nad Zbruczem. Powiedziałem, że żadne, „to takoj jewriejskij gorodok" [„to takie żydowskie miasteczko" – przyp. R.Cz.]. Spytał mnie wtedy, że jeśliby miał tam stać jakiś niemiecki sztab, to gdzie. Odpowiedziałem, że w pałacu Gołuchowskiego, gdzie nieraz polowałem. Wtedy on mnie poprosił, żebym narysował szkic. Pomyślałem, że jeśli narysuję szkic, każe mi się podpisać, to wyjdę na szpiega. I odmówiłem. Wtedy on powstał i powiedział, że dziękuje bardzo i poprosił, żebym zapomniał wszystko, co mnie u nich spotkało. „My zapominamy, że Pan nas oszukał". Wtedy powiedziałem, że jego podwładny towarzysz Gawarik w Kirowie zażądał ode mnie podpisania zobowiązania o współpracy z wami, ja to zrobiłem i proszę być pewnym, że natychmiast jak mnie puścicie, zamelduję o tym generałowi Andersowi i ambasadorowi polskiemu. Tak się nie robi wśród przyjaciół. On na to się uśmiechnął, otworzył szufladę i wyjął mój cyrograf, podał mi i ja to podarłem. Odesłali mnie od razu na nasz punkt zborny, gdzie wypłacili mi 3 tysiące rubli odszkodowania. To były wielkie pieniądze – ja tygodniowo zarabiałem 6–7 rubli.

Zgłosiłem się do ambasady. Właśnie był Anders, który się bardzo ucieszył. Powiedział mi, że wyjeżdża do Buzułuku [miasto nad Samarą w europejskiej części Rosji, w latach 1941–1942 stacjonowało tu dowództwo i sztab tworzącej się w Sowietach Armii Polskiej gen. Władysława Andersa – przyp. R.Cz.) i polecił mi wziąć samochód, który tu dostał, i kazał tym autem pojechać do Buzułuku. Dostałem wszystkie potrzebne papiery i dojechałem tylko do Kazania, gdzie aresztowali mnie na promie. Wyjaśniło się, że wszystko w porządku. Nie było sposobu, żeby przejechać, więc zawróciłem do Kazania. NKWD wsadziło mnie na statek na Wołdze i tak płynąłem chyba dwa tygodnie do Kujbyszewa. Natrafiłem na naszą ambasadę właśnie w tym mieście, dokąd przeniosła się z Moskwy. Kot [profesor Stanisław Kot, ambasador RP w ZSRS od 1941 roku – przyp. R.Cz.] przyjął mnie bardzo ładnie. Złożyłem mu raport o wszystkich moich przejściach, a także o podpisaniu cyrografu.

SIEDZĄC W WYŻSZEJ SZKOLE WOJENNEJ MIAŁEM OKAZJĘ SPORO SIĘ NAUCZYĆ. ZBIERALIŚMY PRASĘ Z CAŁEGO ŚWIATA, CZYTALIŚMY DUŻO PRAC NAUKOWYCH. OPRACOWAŃ SZTABOWYCH NIEMIECKICH, WŁOSKICH, FRANCUSKICH.

Potem pojechałem do Buzułuku i tam Anders mianował mnie zastępcą Okulickiego [Leopold Okulicki, późniejszy ostatni dowódca AK – przyp. R.Cz.], który był szefem sztabu.

▶ Jak długo był Pan zastępcą Okulickiego?

Jak zapadła decyzja przeniesienia wojska do Uzbekistanu, to zostałem wyznaczony na szefa ekipy, aby zorganizować sztab w Jangi-Jul. Już zaczynała się wojna... ■

_____

Klemens Stanisław Rudnicki, ps. „Klimek" (urodzony 28 marca 1897 w Żydaczowie nad Stryjem w pobliżu Lwowa, zmarł 12 czerwca 1992 w Londynie) – oficer dyplomowany kawalerii Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. 1 kwietnia 1945 roku mianowany generałem brygady, a 11 listopada 1990 roku mianowany przez Prezydenta RP na Uchodźstwie generałem dywizji.

Ryszard Czarnecki – historyk i polityk.

Krzysztof Turkowski – były wiceprezydent Wrocławia, pracuje w Telewizji Polsat.

Rozmowa przeprowadzona w Londynie w 1988 roku.

eprasa.pl 8308ffc301

Olga Doleśniak-Harczuk

Antoni Opaliński

W oddalonym 2,5 godziny drogi od Berlina Brunszwiku można było podziwiać odrestaurowany obraz Pietera Brueghela Młodszego „Droga Krzyżowa". Kto nie zdążył przed 11 października, długo niestety nie będzie miał okazji. Wystawa była czasowa. Inne cuda brunszwickich muzeów prawdopodobnie zostaną na powrót udostępnione zwiedzającym w grudniu, a może jeszcze później. Sztuka podzieliła los gospodarki i zapadła w pandemiczny letarg.

ZANIM ZAMKNĘLI MUZEA – TROCHĘ WARBURGA, SZCZYPTA BAROKU

eprasa.pl 8308ffc301

„Drogę Krzyżową" Pietera Brueghela Młodszego wydobyto z magazynów muzealnych po blisko 200 latach zapomnienia. Obraz wymagał żmudnych prac konserwatorskich, które zajęły 2,5 roku.

eprasa.pl

Klaggers zarządził wydobycie doczesnych szczątków pary książęcej, nadając temu rozgłos, który faktycznie zaciekawił samego Hitlera i przywiódł go do Brunszwiku rok później.

2 listopada w Niemczech weszły w życie kolejne obostrzenia związane z epidemią koronawirusa. Na co najmniej miesiąc zamknięto nie tylko restauracje, lecz także muzea. Wystawa „Atlasu Obrazów Mnemosyne" Aby'ego Warburga w Berlinie, która miała być dostępna dla zwiedzających do końca listopada 2020 roku, przepada tym samym wraz z drugą falą pandemii. Tak samo jak towarzysząca jej ekspozycja malarstwa, rzeźby i grafiki w Gemäldegalerie.

Druga młodość świata

Szaleństwo niespełnionego artysty czy wizjonerskie, choć niedokończone dzieło wielkiego humanisty? Prekursorska myśl wielkiego uczonego czy może efekt złudzeń zafascynowanego antykiem i renesansem potomka żydowsko-niemieckich kupców i bankierów? Odpowiedzi każdy musi poszukać sam, ale jedno jest pewne – gdyby nie pandemiczne szaleństwo świata, wystawa w berlińskim Haus der Kulturen der Welt powinna być wydarzeniem nie tylko niemieckim, lecz także ogólnoeuropejskim.

Świat w cieniu korony nie sprzyja muzealnym wycieczkom, więc mało kto miał szczęście, aby przejść przez jesienne ścieżki Tiergarten i zajrzeć do wielkich muzealnych sal HKW. Tam właśnie na ciemnych tablicach znaleźć można było dziesiątki czarno-białych zdjęć rysunków, reprodukcji, wycinków z książek i gazet oraz rysunków. „Atlas Obrazów Mnemosyne" – wizerunki bogów i świętych, bohaterów i mitycznych potworów, motywy architektoniczne i zdobnicze. Wszystko spięte w całość wypracowanym przez lata podróży i studiów kluczem – poszukiwaniem Nachleben, czyli „życia po życiu" najważniejszych wzorców myślenia i motywów sztuki świata, który narodził się w starożytności nad Morzem Śródziemnym, a drugą młodość przeżył w epoce renesansu. Dzieło niedokończone i niewydane za życia autora...

Aby Warburg – historyk i teoretyk sztuki – był niewątpliwym dzieckiem XIX-wiecznej niemieckiej kultury intelektualnej – bogatej, erudycyjnej, świetnie zorganizowanej... i jednocześnie nigdy niepotrafiącej ukryć kompleksów wobec blasków Italii. I świadomości, że chociaż władza, prestiż i bogactwo dawno już przeniosły się na germańską północ, to korzenie prawdziwej Europy zawsze pozostaną na romańsko-greckim południu.

Rodzina Warburgów, o proweniencji podobno sefardyjsko-weneckiej, od pokoleń robiła interesy i pieniądze w Niemczech. Sam Aby Moritz urodzony w 1886 roku miał wśród braci m.in. jednego z twórców amerykańskiej Rezerwy Federalnej. On jednak wolał sztukę i naukę – uchodzi dziś za prekursora nowoczesnej metodologii w historii sztuki. Założył w rodzinnym, kupieckim Hamburgu bibliotekę, przeniesioną przez następców uciekających przed Niemcami Hitlera do Londynu. Sam Aby, przez lata zmagający się z chorobami duszy i ciała, zmarł w 1929 roku. Nie dokończył dzieła życia. Mnemosyne, córka Uranosa i Gai, uosobienie pamięci, pozostała patronką niespełnionego, choć pięknego marzenia o księdze idealnej. A wystawa „Atlasu Obrazów" zostaje na długo pod powiekami.

eprasa.pl 8308ffc301

Z Berlina do Brunszwiku

Wchodząc do brunszwickiej Katedry świętych Błażeja, Jana Chrzciciela i Tomasza Becketa, pierwsze kroki kierujemy w stronę Krypty Welfów. Wstęp do świątyni jest bezpłatny, ale zwiedzanie podziemi wyceniono na jeden euro w ramach zbiórki na konserwację sarkofagów. W krypcie spoczywają nie tylko fundator katedry, książę Saksonii, Henryk Lew (1129–1195) z małżonką, Matyldą Plantagenet (1157–1189), lecz także książę Fryderyk Wilhelm (1771–1815) zwany Czarnym Księciem, kontrowersyjna królowa Wielkiej Brytanii i Hanoweru Karolina z Brunszwiku-Wolfenbüttel (1768–1821), żona króla Jerzego IV i jeszcze dwadzieścia innych książąt dynastii Welfów. Władcy są pochowani w zabytkowych sarkofagach, większość z nich ma bogate zdobienia i wyryte cytaty z Biblii. Sam Henryk Lew i Matylda spoczywają w granitowych, prostych tumbach w komorze wykonanej z myślą o nich w 1935 roku. To świadectwo z czasów III Rzeszy, kiedy Katedra Brunszwicka została przemianowana na Narodowe Miejsce Spoczynku, co pociągnęło za sobą przekształcenie części wystroju katedry na potrzeby narodowosocjalistycznej propagandy.

Czy Henryk Lew bohatersko spadł z konia?

Henryk Lew ze swoją „polityką wobec Słowian" doskonale się wpisywał w niemiecką ideologię Lebensraumu, na archiwalnych zdjęciach z lat 30. XX wieku widać m.in. Hermana Göringa pochylającego się nad nagrobną rzeźbą książęcej pary. Ciekawa historia łączy się z otwarciem książęcego grobowca. Zanim bowiem Henryk Lew

Za III Rzeszy Katedra Brunszwicka została przemianowana na Narodowe Miejsce Spoczynku, co pociągnęło za sobą przekształcenie części wystroju katedry na potrzeby narodowosocjalistycznej propagandy.

i Matylda trafili do skromnych tumb z granitu, ich doczesne szczątki spoczywały pod nagrobkiem z wapienia muszlowego uważanego za jeden z pierwszych dzieł średniowiecznej sztuki sepulkralnej z przedstawieniem pary książęcej. W czerwcu 1935 roku premier wolnego miasta Brunszwiku, Dietrich Klaggers, posłużył się mitem Henryka Lwa dla zwrócenia uwagi Adolfa Hitlera. Klaggers zarządził wydobycie doczesnych szczątków pary książęcej, nadając temu rozgłos, który faktycznie zaciekawił samego Hitlera i przywiódł go do Brunszwiku rok później. Prace ekshumacyjne nie przebiegły jednak po myśli Klaggersa. Okazało się, że pod wapiennym wizerunkiem Matyldy znajduje się kamienny sarkofag, a w nim mierzący 162 centymetry szkielet z wyraźnie zarysowanym uszkodzeniem lewego stawu biodrowego, co wskazywało krótszą kończynę. Pod figurą wyobrażającą Henryka Lwa znaleziono natomiast drewnianą trumnę z całunem ze skóry skrywającym dwa zęby trzonowe i fragmenty sprzączek od płaszcza. W południowej części grobu znaleziono ponadto trumienkę dziecięcą. Jeżeli ciała pochowano zgodnie z usytuowaniem rzeźb nagrobnych, wszystko wskazywało na to, że Matyldę złożono w kamiennym sarkofagu, a jej małżonka zaledwie w skórzanym całunie. Jeżeli jednak pomylono kolejność i to książę spoczywał w marmurowym sarkofagu, to jak wyjaśnić uszkodzony staw biodrowy i krótszą nogę? Książę pochowany w prostym całunie nie pasował do wyobrażenia o germańskim wojowniku, a wojownik z krót-

eprasa.pl 8308ffc301

szą nogą też nie wpisywał się w ideologię o pogromcy Słowian. Szybko znalazło się wyjaśnienie. Spece od propagandy przeszukali źródła, naradzili i doszli do wniosku, że uszkodzone biodro to wynik upadku z konia, jakiego Henryk Lew doświadczył w 1194 roku. Źródła co prawda wspominały jedynie o zbiciu podudzia, ale Kleggersowi to nie przeszkadzało.

Zrezygnowano ze szczegółowych badań szczątków i szybko przystąpiono do wieszania w katedrze, której wystrój zgodnie z zamysłem fundatora przypominał ten świątyni jerozolimskiej, swastyki i Reichsadlery, a posadzkę wyłożono wzorem czarno-białej szachownicy. W krypcie zaś nad granitowymi tumbami nowo urządzonego miejsca spoczynku Henryka Lwa i Matyldy zawieszono sporą swastykę. Po 1945 roku w jej miejscu zamontowano krzyż. Po wojnie naukowcy przyjrzeli się uważniej szczątkom wydobytym w 1935 roku i nabrali pewności, że zachowany szkielet należał do kobiety. I tyle na temat Henryka Lwa i jego kontuzji.

Abstrahując od krypt i propagandy III Rzeszy, jak już człowiek znajdzie się w brunszwickiej katedrze, warto dokładnie przyjrzeć się siedmioramiennemu świecznikowi z brązu. Ważący 400 kilogramów, mierzący 4 metry świecznik został wykonany w 1188 roku na polecenie Henryka Lwa i postawiony za ołtarzem Najświętszej Maryi Panny. Jego nóżki oczywiście stanowią lwy, symbol miasta, wszechobecny w jego architekturze i głęboko zakorzeniony w kulturze miejsca (nawet kamienne ławki wokół katedry są wsparte o rzeźby lwów). W okresie wojen napoleońskich świecznik zrabowano, a odnaleziony w 1815 roku powrócił do katedry niekompletny, pozbawiony 11 z 74 elementów. Świecznik brunszwicki w swojej formie przypomina menorę, która według tradycji symbolizuje krzew gorejący, który zobaczył Mojżesz na górze Horeb. Warto pobawić się w odgadywanie symboliki świecznika, który zarówno swoją wysokością, jak i bogatymi zdobieniami może onieśmielić.

W okresie wojen napoleońskich świecznik zrabowano, a odnaleziony w 1815 roku powrócił do katedry niekompletny, pozbawiony 11 z 74 elementów.

Jeżeli komuś katedry kojarzą się wyłącznie z powagą miejsca religijnego kultu, zmieni zdanie na widok okazałego, barokowego nagrobka księcia Ludwika Rudolfa z Brunszwiku-Lüneburga i jego małżonki, Krystyny Luizy Oettingen. Swobodne pozy zmarłych, bogactwo ich strojów, odtworzone z dbałością o każdy szczegół trzewiki Krystyny Luizy wprowadzają nieco zamieszania w stonowane wnętrze brunszwickiej świątyni. To nie nagrobek, tylko teatr świetnie oddający naturę tego małżeństwa, które słynęło z zamiłowania do dramatu i artystycznej autokreacji.

▶ Vermeer Vermeerem, spójrzcie na pieska

Z katedry spokojnie można pójść spacerkiem do Muzeum Księcia Antoniego Ulryka, miejsca, w którym zgromadzono jedne z najstarszych i największych zbiorów sztuki w Niemczech. Dumą tego miejsca jest odrestaurowany niedawno obraz Pietera Brueghela Młodszego przedstawiającego Drogę Krzyżową. Dzieło wydobyto z magazynów muzealnych po blisko 200 latach zapomnienia. Obraz wymagał żmudnych prac konserwatorskich, które rozpoczęto w 2017 roku, a ukończono w połowie 2019 roku. Do 11 października można było obejrzeć z bliska nie tylko dzieło, lecz także wystawę dokumentującą przebieg prac konserwatorskich. W zbiorach brunszwickiego muzeum znajdziemy ponadto „Dziewczynę z kieliszkiem wina" Jana Vermeera, „Judytę odcinającą głowę Holofernesowi" Petera Paula Rubensa, kolekcję sztuki użytkowej z lustrzaną witryną księcia, gabinet rzeźb, porcelany, numizmatyki i wiele innych. W kolekcji malarstwa weneckiego znalazł się i akcent polski. To portret „Młodej Polki" Jana Kupecký'ego. Z płótna patrzą na zwiedzających piękne piwne oczy. Nie wiadomo, kim była modelka, ale jej swobodny strój i poza przemycają w zimne sale muzeum sporą porcję zmysłowości. Barokowej i nie na te czasy. Żeby jednak nie kończyć zbyt ponuro, wskazówka dla tych, którzy mają poczucie humoru. W zbiorach muzeum znalazła się spora kolekcja zegarów, najzabawniejszy z nich ma postać złotego pieska mrugającego oczami. Figurka wygląda jak dziecięca zabawka zagubiona wśród kosztowności poważnej instytucji. Jeżeli będą Państwo w Brunszwiku, proszę łaskawym okiem zerknąć na mechaniczną fanaberię dworskiego zegarmistrza, musiał się nieźle bawić przy pracy. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Marek Kalinowski

Domowe recitale

Pianista Igor Levit nie zamierzał odpoczywać po znakomitych nagraniach sonat Beethowena ani bezczynnie czekać na otwarcie sal koncertowych. Podczas transmisji domowych koncertów przyciągnął olbrzymią publiczność internautów. Owocem tych spotkań jest płyta „Encounter" – wyjątkowy obraz kilku ostatnich miesięcy, w których przyszło nam żyć.

Choć zgodnie przyznamy, że rok ten jest niezwykle trudny dla kultury, w tym szczególnie dla sceny muzyki klasycznej, to rosyjsko-niemiecki pianista Igor Levit jest jednym z prekursorów czegoś zupełnie nowego. Kiedy wczesną wiosną wybuchła pandemia, a publiczność i artyści zostali odcięci od sal koncertowych, Levit zupełnie spontanicznie rozpoczął ze swojego berlińskiego mieszkania transmisje recitali przez serwis społecznościowy Twitter, gromadząc przed ekranami komputerów nawet kilkadziesiąt tysięcy odbiorców.

Artysta jest laureatem wielu ważnych nagród, w tym słynnej BBC Music Magazine Award. Za wieloletnią, gigantyczną pracę – nagranie kompletu sonat fortepianowych Ludviga van Beethovena – otrzymał w tym roku nagrodę prestiżowego miesięcznika „Gramophone". A jednak, niezależnie od nagród i popularności, skala zainteresowania jego domowymi koncertami przeszła chyba najśmielsze oczekiwania.

Igor Levit, ENCOUNTER, Sony Classical

To właśnie podczas tych wieczornych recitali narodził się pomysł nagrania nowego krążka „Encounter". Dwupłytowy album otwiera dziesięć preludiów chorałowych Johanna Sebastiana Bacha i sześć preludiów chorałowych Johannesa Brahmsa w transkrypcji Ferrucio Busoniego, które świetnie oddają nastrój wieczornych spotkań z Levitem. Utwory poruszają smutkiem i nostalgią. Żywsze dźwięki części trzeciej oraz mocniejsze akcenty części ósmej chorałów Bacha już po chwili zanikają w nastroju melancholii i zadumy kolejnych utworów. Levit w niezwykły sposób wydobywa cienie tej introwertycznej muzyki, która świetnie opisuje trudny czas, z którym przyszło nam się mierzyć. Nie sposób przecież nie odnieść zaproponowanej przez Levita muzyki do tego, co nas otacza.

Kolejne utwory są coraz bardziej uboższe w środki, po „Czterech pieśniach poważnych" Johanesa Brahmsa przychodzi czas na „Nachtlied" Maxa Regera – utwór z 1914 roku. Podniosły, introspekcyjny nastrój tej „nocnej pieśni" zamiast usypiać, bardziej niepokoi, prędzej więc wywoła płacz, niż zachęci do snu. Utwór Regera okazuje się też wstępem do zupełnie współczesnego już dzieła. Płytę zamyka bowiem „Palais de Mari", utwór amerykańskiego kompozytora Mortona Feldmana. Dźwięki padają coraz rzadziej i coraz ciszej, tracą porządek, wszystko zamiera w bezruchu i zmierza do wieczności.

Kompozycja Feldmana jest zwieńczeniem zarówno tej mrocznej, jak i pasjonującej drogi. Być może gdyby nie zestawienie zaproponowane przez Igora Levita, wielu z nas nigdy by do utworu Feldmana nie dotarło, a jeśli nawet, to dźwięki pozbawione takiego kontekstu nie zwróciłyby naszej szczególnej uwagi. Tymczasem owe, uwaga, bliskotrzydziestominutowe nagranie niezwykle zyskuje właśnie w zestawieniu z historycznymi chorałami Bacha, Brahmsa i późniejszym utworem Regera. Album Levita trzeba bowiem odbierać jako całość, a jeszcze lepiej, w odniesieniu do ostatnich miesięcy niepewności, strachu i osamotnienia, w których przyszło nam żyć. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Krzysztof Karnkowski

Dusza w podróży

11 października zmarł Paweł „Kelner" Rozwadowski, do końca aktywny muzycznie uczestnik i legenda pierwszych warszawskich załóg punkowych. O niecałe dwa i pół roku przeżył swojego przyjaciela i częstego współpracownika Roberta Brylewskiego, z którym grał między innymi w zespołach Izrael oraz Max i Kelner.

Wspominając o „Kelnerze", nie sposób pisać o Robercie Brylewskim, jest to bowiem w dużym stopniu wspólna i w obu przypadkach przedwcześnie kończąca się historia.

Początki

W swoich wspomnieniach „To zupełnie nieprawdopodobne" wydanych kilka lat temu Paweł Rozwadowski opowiada o tym, jak na czterdzieści lat swego życia stał się „Kelnerem". Ksywę zawdzięcza lekko zdefasonowanemu strojowi kelnera z hotelu „Victoria", w jakim dotarł pod koniec lat 70. do Anina na koncert kapeli The Boors. Tej samej, z której potem początek swój wziął słynny i znany nie tylko w Polsce Kryzys, który z kolei stał się później Brygadą Kryzys. W The Boors oprócz Brylewskiego grał m.in. Kamil Stoor, który trochę później wspólnie z „Kelnerem" tworzył pierwszy skład Deutera, formacji, z którą Rozwadowski kojarzony był chyba najbardziej i jej też – jedynej z tych, które zapisały się w historii polskiej muzyki – zdecydowanie liderował. Nim jednak powstał pierwszy z wielu składów Deutera, „Kelner" próbował sił w dwóch, istniejących krótko, zespołach. Fornit zapisał się w historii pierwszej fali polskiego punk rocka, zdążył zagrać obok takich zespołów jak Kryzys, KSU, Poerocks i Nocne Szczury na legendarnym już 1 Ogólnopolskim Przeglądzie Zespołów Rockowych „Nowej Fali" w 1980 roku w Kołobrzegu i pojawić się na wydanym po latach bootlegu (nieoficjalnym wydaniu zapisu koncertu) z tej imprezy. Wykonany wówczas kawałek „Jesteś sobą" to jedyne dostępne nagranie Fornitu. Drugi ówczesny zespół „Kelnera", Dexapolcort, jest dziś praktycznie zapomniany. Zresztą chwilę później powstał już Deuter. Jego pierwszy skład zdążył wziąć udział w głośnej dosłownie i w przenośni trasie koncertowej „Rock Galicja", w której udział wzięły też tak ważne później dla polskiego punka zespoły jak Dezerter i TZN Xenna oraz dołączony do składu na siłę przez komunistycznych decydentów do spraw młodzieży

eprasa.pl 8308ffc301

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/PAP

i kultury rockowy Bank. Wkrótce potem pierwszy skład Deutera zakończył działalność.

▶ Spotkanie

Tymczasem Robert Brylewski, padający wraz z kolegami ofiarą kolejnych szykan (w tym kilkakrotnych pobić przez milicję i zwykłych bandytów), zakończył jesienią 1982 roku działalność Brygady Kryzys, z którą nie chciał występować pod zmienioną nazwą Brygada K. na autoryzowanych przez reżim imprezach. Kilka miesięcy później wraz z „Kelnerem" Brylewski założył kultowy i kluczowy dla polskiej sceny reggae zespół Izrael, w którym mieszał się mocno przekaz mistyczny, chrześcijańsko-rastafariański i polityczny, choć zamaskowany motywami religijnymi i biblijnymi. Izrael początkowo był czymś w rodzaju supergrupy, do której trafiało wiele postaci związanych z warszawskim punkowym czy raczej już post-punkowym muzyczno-towarzyskim tyglem. Na pierwszej płycie zespołu, wydanej w 1985 roku, „Biada biada biada", Rozwadowski odpowiadał za większość tekstów, w tym najbardziej znane „Idą ludzie Babilonu" i „Płonie Babilon", a korzystając z religijnego sztafażu, mógł na wydanej oficjalnie w PRL płycie opowiadać słuchaczom o odprawiających krwawe czarne msze zbrodniarzach na tronach.

Nim jednak płyta Izraela zdążyła się ukazać, „Kelner" ponownie stanął na czele Deutera. Nowy skład w 1986 roku wydał singiel z piosenkami „Średniowiecze" i „Złe myśli", muzycznie mocno od punk rocka odległy, a więc mniej zrozumiały dla fanów. Z tej samej przyczyny ich mieszane uczucia wzbudził pierwszy sygnowany nazwą zespołu duży album, nagrany już częściowo z innymi muzykami w 1987 roku. Płytę tę otwiera „Piosenka o mojej generacji", jeden z ważniejszych utworów i tekstów Rozwadowskiego, zawierający pamiętne pokoleniowe oskarżenie: „Kiedy patrzę, jak trzymasz karabin / I nie jestem pewien następnego dnia, / Wtedy myślę o mojej genera-

eprasa.pl 8308ffc301

cji, / Która zapomniała, że jest Bóg". Płyta to mieszanina rocka, funku i niewielkiej dawki punk rocka, znalazła się tu też wersja utworu „Nie ma ciszy w bloku", niewytrzymująca porównania z jej punkowymi wykonaniami zarówno innych wcieleń Deutera, jak i (późniejszego) Dezertera, ważna jednak w historii polskiej muzyki jako pierwsze, zarejestrowane na wydanej płycie, podejście naszych artystów do rapu.

Mniej więcej w tym samym czasie „Kelner" znów spotkał się muzycznie z Brylewskim, tym razem w eksperymentalnym projekcie T-34, łączącym żywe instrumenty z samplami z oficjalnych materiałów propagandowych. Po tym zespole, w którym grał również Dariusz Malejonek, została ich wersja „Sztucznego świata" Fornitu. Różne koncertowe nagrania pokazujące, jak Deuter radził sobie na żywo w pierwszych kilku latach (i składach) w 1997 roku, wyszły na składance „Ojczyzna dumna 81–86". Zespół ponownie znikł w 1989 roku, a muzycy jego ostatniego składu popadli w konflikt z „Kelnerem", którego bezskutecznie próbowali nakłonić do śpiewania po angielsku. Gdy to się nie udało, nawiązali współpracę z Darkiem Malejonkiem i w ten sposób powstał kolejny ważny dla polskiego rocka zespół – Houk.

▶ Nowoczesność

„Kelner" połączył znów siły z Robertem Brylewskim, z którym zresztą przez cały czas współpracował przy organizacji ważnego dla muzycznego krajobrazu ostatniej dekady PRL warszawskiego festiwalu „Róbrege". Tym razem weszli w nowe nie tylko dla siebie rejony. Duet, nazwany Max (od drugiego imienia Brylewskiego) i Kelner, wypuścił bardzo – jak na swoje czasy – nowatorska płytę, na której znalazł się miks nowoczesnej, jak na polskie warunki, muzyki elektronicznej, tanecznej, opartej na beacie i samplach, uzupełnionej rapem i melorecytacjami Rozwadowskiego. Jedyną ówczesną polską płytą, z którą znaleźć można pewne podobieństwa, był wydany niewiele wcześniej debiutancki solowy album Kazika „Spalam się". Obie płyty były nowatorskie muzycznie, choć po latach brzmiały już niestety dość archaicznie. Muzyka, zwłaszcza ta nieoparta na brzmieniu żywych instrumentów, poszła przez te wszystkie lata bardzo do przodu, a i polscy realizatorzy dostali w międzyczasie do rąk narzędzia, o jakich na początku lat 90. mogli tylko pomarzyć. Zarówno „Spalam się", jak i „Tehnoterror" Maksa i Kelnera są w warstwie tekstowej zapisem polskiej transformacji, bardzo krytycznym, choć również, zwłaszcza u „Kelnera", przefiltrowanym mocno przez fobie i lęki wielkomiejskiego inteligenta. Charakterystyczny jest tu zwłaszcza utwór „Kartofelki", w którym Rozwadowski mocno krytykuje zarówno triumfujący materializm, jak i odzywający się po latach uśpienia pod komunistycznym kloszem polski patriotyzm, w tym opisie tożsamy z nacjonalizmem. Jeśli jednak wyjść poza sprawy ideowe, obowiązkowy antyklerykalizm początku lat 90. i analizę politologiczną jakby wyciętą z „Gazety Wyborczej", zostaje nam trafny i przygnębiający obraz nowej rzeczywistości, zawarty w takich utworach-fotografiach jak „Starufka" czy „Miasto".

Duet ogrywał płytę na koncertach i alternatywnych imprezach tanecznych, po czym drogi obu artystów znów się na pewien czas rozeszły. Brylewski wypuszczał kolejne eksperymentalne produkcje, „Kelner" podjął nieudaną próbę reaktywacji Deutera z okazji wydania wspomnianych nagrań z lat 80., jednak nie udało się zebrać oryginalnego składu. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło, zamiast Deutera dostaliśmy bowiem bardzo udaną płytę, nagraną przez Pawła Rozwadowskiego wspólnie z zespołem Dezerter, na której znalazły się bliskie oryginałom, jednak nagrane już w dobrych warunkach studyjnych, wykonania klasycznych kawałków kapeli „Kelnera". Prawdopodobnie był to też moment, gdy Rozwadowski znalazł się najbliżej mainstreamu – Dezerter nagrywał dla dużej firmy, a promujący płytę utwór „Młodym komunistom" pojawił się nawet na antenie radiowej Jedynki. Później Deuter wrócił jeszcze w 2002 i 2020 roku, za drugim razem nagrał nawet płytę „Śmieci i diamenty", która jednak przeszła bez echa. W 2008 roku „Kelner" wrócił do Izraela, by napisać i zaśpiewać kilka utworów na płytę „Dża ludzie". „Jestem duszą w podróży i marzycielem / Próbuję zasiewać nasiona Miłości i zrozumienia" – śpiewał Rozwadowski w duchu dawnego, pozytywnego przesłania obu zespołów, Deutera i Izraela. Stare kawałki grywał wspólnie z Brylewskim w kolejnym zespole, Kabarecie Starszych Punków.

▶ Odeszli

Robert Brylewski zmarł w wyniku komplikacji po pobiciu w czerwcu 2018 roku. Jego śmierć zaszokowała wielu fanów i wywołała duże poruszenie nie tylko w światku. „Kelner" w 2019 roku zagrał akustyczny koncert na festiwalu Rock na bagnie, pracował nad nowym materiałem Deutera, założył też eksperymentalny projekt Nie Cierpiące Zwłoki. Zmarł, chorując na płuca, w wieku 58 lat, nie kończąc tych projektów. Zapewne w innym miejscu zaczyna już tworzyć kolejny zespół, i jeśli tak jest, robi to znów wspólnie z Brylewskim. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Ryszard Czarnecki

Ksawery Branicki, czyli daleko padło polskie jabłko od targowickiej jabłoni

W XXI wieku w coraz większym stopniu siła państwa zależy od siły jego gospodarki. Oczywiście o bezpieczeństwo zewnętrzne i wewnętrzne dbać trzeba, zwłaszcza jak się jest w takiej sytuacji geopolitycznej jak Polska. Jednak siła finansów, usług, przemysłu, inwestycji decyduje o miejscu danego kraju w hierarchii światowej. Tym bardziej więc warto dziś wspomnieć tych, którzy w odległej przeszłości byli ludźmi wielkiego sukcesu biznesowego – wtedy, gdy to pojęcie jeszcze nie funkcjonowało.

W listopadzie tego roku obchodzimy 141. rocznicę śmierci Ksawerego Branickiego. Ten nasz rodak jest dowodem na to, że Polacy nawet w czasach zaborów – w tym wypadku rosyjskiego – potrafili bogacić się i budować potęgę gospodarczą.

Jego życiorys nadaje się na scenariusz filmowy. Branicki to kresowy magnat, Sarmata, o którym pisano, że „żył ze staropolskim rozmachem i fantazją". Nawet nie wiadomo, kiedy się urodził: w 1814 czy może w 1816 roku? Jest przykładem, że za winy przodków nie mogą odpowiadać potomkowie: jego dziadkiem ze strony ojca był uczestnik targowicy, hetman Franciszek Ksawery Branicki, ojcem rosyjski generał Władysław Branicki. Rodzina zdecydowała, że tak jak ojciec będzie służył w armii zaborcy. Był adiutantem antypolskiego feldmarszałka Iwana Paskiewicza, a potem przybocznym adiutantem samego cara Mikołaja I. Jednak Branicki wolał być Polakiem i przedsiębiorcą, a nie Rosjaninem i oficerem. Z powodu rzekomo złego stanu zdrowia zwolnił się z wojska i wziął potężną pożyczkę, którą zastawił własnymi dobrami, co okazało się potem... świetną inwestycją. Arystokrata wyjechał najpierw do Włoch, potem do Francji i pokazał, że jest nie tylko bogaczem, lecz także filantropem – dość ekstrawaganckim, skoro finansował wydanie książek radykalnego socjalisty francuskiego Proudhona, głoszącego, że „własność prywatna to kradzież". Ale przede wszystkim wspierał Polaków. Wspierał „Trybunę Ludów" współkierowaną przez Mickiewicza, dał też na przykład 100 tysięcy franków na polskie oddziały zbrojne przy armii Księstwa Sardynii. Wściekli Rosjanie zarządzili jego powrót pod but cara. W odpowiedzi Branicki pokazał im figę z makiem... przyjmując obywatelstwo francuskie. Reakcją Rosjan była konfiskata jego majątku, tyle że i tak przecież wcześniej pod ich zastaw polski magnat wziął potężne pożyczki, dzięki którym teraz dysponował wielkim kapitałem. We Francji założył, wraz z innym Polakiem – Ludwikiem Wołowskim, Credit Fonciere (istnieje do dziś!). Inwestował w linie kolejowe, nawet w Afryce. Mając zaledwie 33 lata, kupił słynny zamek Montresor, który od tej pory zawsze był w rękach polskich lub Francuzów polskiego pochodzenia. Właściciel pałacu także w Paryżu, był jednym z najbogatszych ludzi ówczesnej Francji.

Konsekwentnie wspierał polską emigrację: opiekował się weteranami i finansował szkołę polską w Batignolles. Utrzymywał też różne inicjatywy cudzoziemskie, które deklarowały wsparcie dla niepodległości Polski. Nie wiadomo, czy ze względu na lojalność do jego przybranej ojczyzny – Francji czy też może przez niechęć do drugiego zaborcy jego pierwszej ojczyzny – Polski – chciał wystawić pułk piechoty po wybuchu wojny francusko-pruskiej w 1870 roku.

Umarł, jak żył – z fantazją, podczas podróży do Egiptu. Ożenił się dopiero w wieku 57 lat z polską arystokratką i nie doczekał się potomków, ale sławy – jak najbardziej. Wnuk targowiczanina, hulaka za młodu, był polskim patriotą i emigrantem. Wybrał Polskę, a nie Rosję. Warto o nim pamiętać. ■

_____

PS W artykule tym skorzystałem m.in. z „Pocztu Przedsiębiorców Polskich, od Piastów do 1939 roku" Marcina Rosołowskiego, Andrzeja Krajewskiego, Arkadiusza Bińczyka i Wojciecha Kwileckiego.

eprasa.pl 8308ffc301

Kopalnia diamentów, której podobno... nie ma

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

O istnieniu tej kopalni – schowanej w cieniu mgieł zamkniętego lasu deszczowego – po raz pierwszy usłyszałem bodajże w Caracas. Potem od jakiegoś zorientowanego pana w Puerto Ayacucho. Gdy jej lokalizację potwierdził mi indiański przewodnik Carlos, już wiedziałem, że informacja ta może być prawdziwa. Wówczas nie miałem jednak pojęcia, jak bardzo doświadczę konsekwencji tej wiedzy.

eprasa.pl 8308ffc301

Wojskowym kontrolom podlegają nie tylko białych gringos

eprasa.pl 8308ffc301

Nawet lokalni Indianie nie mają dostępu do kopalni. Choć potrafią wskazać, gdzie się znajduje

Płyniemy już którąś dobę z rzędu. Którą dokładnie? Nie pamiętam. Po kolejnych dniach, z których każdy zaczyna przypominać ten poprzedni, człowiek przestaje nawet liczyć, ile to już czasu minęło. Za każdym razem bowiem poranek przynosi nam ten sam widok. Potem zresztą wcale nie jest lepiej. Popołudnie, wieczór, wreszcie noc... Chmury nad budzącym się do życia lasem. Ten sam, gęsto zalesiony brzeg. Ta sama ciemna, nieprzeźroczysta woda. I ta sama łódź, którą płyniemy już tak długo. Za długo.

Żadnego zasięgu telefonicznego, by choćby podłubać dla zabicia nudy w telefonie. Odczytać SMS od bliskich. Popłynąć wyobraźnią gdzieś tam daleko. Gdzie aktualnie zaczyna się zima. Pouśmiechać się do swoich myśli.

Żadnego internetu, by sprawdzić wiadomości. By poszperać w czołówkach ulubionych portali. By przeczytawszy kolejną wiadomość, znów się pomartwić. Albo pocieszyć. Czy wreszcie poekscytować naszymi małymi rzeczami. Które w normalnie przeżywanej codzienności urastałyby najpewniej do rzeczy niezwykle ważnych i istotnych. A tutaj? Gdy wokoło tylko woda i las?... Tutaj nawet o nich się nie dowiesz. Kto wie? Być może nigdy.

Żadnej książki. Żadnej gazety. Żadnego komputera. Nic. Bagaże musiały być przecież jak najlżejsze. Na rzece zresztą przyszłość takich sprzętów mogłaby być niepewna.. Choćby po takiej ulewie jak ta, która obudziła nas dziś w nocy...

Jak to wyglądało? Poczekajcie. Spróbuję sobie przypomnieć. To akurat jeszcze pamiętam. Ten konkretny szczegół trudno będzie mi zapomnieć.

▶ Powódź o zmroku

Początkowo wilgotny chłód wydaje się nawet dość przyjemny. Sympatyczne uczucie orzeźwienia dochodzi gdzieś z okolic nerek. Przy permanentnym upale taka

eprasa.pl 8308ffc301

Nad tą ziemią wojsko musi mieć szczególne staranie

odmiana jedynie umila sen. Póki co nawet go nie przerywa. Z czasem jednak chłód przeradza się w mokre zimno. Po chwili zaś mokre zimno w wilgotne cucenie.

„Wstawaaaj!" – nie ma zmiłuj. Krzyk śpiącego kawałek za mną w podwieszonym do dachu naszej łodzi hamaku Kuby musi mnie obudzić. Rozglądam się, badając po omacku podłoże. Nic nie widać. Musi być około trzeciej w nocy. Może czwartej. Apogeum mroku puszczy. Czarną pustkę przeszywa głośny odgłos ulewy. Rozbujana rzeka agresywnie atakuje falami burtę naszej łodzi. Wlewając do niej raz za razem kolejne litry wody. Już wiem, co mnie tak chłodziło. Od pewnego czasu dolna część hamaka miarowo zatapiała się w rosnącej z każdą minutą kałuży.

Od strony rufy widać dwa małe świetlne punkciki. Gwałtownie się poruszające. To w górę, to w dół. To czołówki Kuby oraz naszego indiańskiego przewodnika Carlosa. Są w samym środku żywiołowej walki o łódź. „Bieeerz kubeł! Wylewaaaj wooodę!" – Kuba usiłuje przekrzyczeć nasilającą się nawałnicę.

Sam cały czas usuwa kolejne litry deszczówki przemieszanej z wodą wlewającą się z rzeki. Carlos nic nie mówi. Podejrzewam, że wstał już dawno temu. Pewnie liczył, że to niewielki deszczyk i sam sobie poradzi. Tymczaseme trzeba zewrzeć szeregi i raz jeszcze dać z siebie wszystko. Walka z żywiołem nie zna pojęcia „spróbować". W tej bitwie nie przewiduje się rannych. Wygrywasz albo przegrywasz wszystko.

Biały błysk rozświetla nieboskłon. Tuż po nim słychać donośny grzmot. Znak, że burza jest nad nami. Że jesteśmy dokładnie w jej epicentrum. Błyskawice trzaskają z coraz większą intensywnością. Rzucając przy okazji poświatę na otoczenie. Dając jaki taki pogląd na naszą sytuację. A ta wydaje się naprawdę fatalna.

Dopiero teraz widzę, co tu się właściwie odbywa. Nas naprawdę zalewa! Woda, niczym z wielkiej rury ustawionej dokładnie nad łodzią, wlewa się centralnie na pokład. Burzowe oberwanie chmury! I to wszystko w środku nocy. Ciemnej i groźnej. Ciarki przechodzą mi

eprasa.pl 8308ffc301

O tajnych kopalniach pogranicza Kolumbii, Gujany i Wenezueli wiedzą m.in. mieszkający w tutejszej puszczy Indianie. Choć nie wszyscy

po plecach. Wszystkie te anakondy, kajmany i inne... Dotychczas niegroźne, bo za burtą... A teraz... Nieee! Czas się ocknąć! I jeszcze szybciej machać wiadrem! Niech ta łódź wreszcie przestanie się zanurzać!

Trzy jasne punkciki uwijają się niczym w ukropie. Głupie skojarzenie, ale... Nikt już nie krzyczy. Każdy wylewa wodę. Tej jednak z każdą minutą jest coraz więcej. Spływa także z dachu. To z lewej, to z prawej strony. Tworzą się wpierw naturalne wodospady, a następnie gigantyczne strumienie. Burta naszej łodzi jest coraz bliżej poziomu rzeki. Niebezpiecznie bliżej.

Macham wiadrem, ile sił w ramionach. I jeszcze szybciej. I jeszcze silniej. Wydaje się, że już nie może mocniej padać, tymczasem ulewa osiąga kolejny poziom. Od uderzeń kropel o blaszany daszek łajby aż dudni mi w głowie. Nie słyszę własnych myśli.

Ustaje.

Tak, na pewno ustaje.

Dyrygent deszczowej orkiestry łagodnie opuszcza batutę. Będą kończyć. Jeszcze tylko kilka groźniejszych pomruków grzmotu. Zdecydowanie cichszych od dotychczasowych. Ostatnia aria opadów. Ostatni akord. To już jednak nie symfonia. Raczej deszczowa piosenka. Ustaje wiatr. Woda na rzece momentalnie wraca do stanu sprzed wieczora, gdy nad idealnie wypłaszczoną taflą wody spokojnie można było myć zęby.

Nad puszczą zalega cisza. Nie słychać nawet ptaków. Kłębowisko czarnych, burzowych chmur powoli znika z ograniczonego koronami drzew horyzontu. W ich miejscu pozostają jedynie delikatne mgiełki. Najwierniejsze towarzyszki wiecznie zielonego lasu równikowego. Z wstępującymi w górę prądami. Cisza. Przewlekła i tajemnicza. Zadziwiające zjawisko. Nasza barka dopiero co omal nie utonęła pośród ogłuszającej ulewy, trzasku grzmotów i oślepiających błyskawic, a teraz... Teraz miarowo kołysze się na spokojnej już toni Rio Cunucunuma. Z przemoczonych liści skapują kolejne krople. Las dostał solidną dawkę wody.

Przeszliśmy chrzest. Rano czeka nas lizanie ran. Rannych wprawdzie miało nie być, ale dżungla tym razem zdecydowała się zmienić zasady w trakcie gry. Na szczęście – na naszą korzyść. Mokry śpiwór, mokry hamak. Mokre plecaki. Dostaliśmy nauczkę. Szkołę życia dedykowaną rozpieszczonym gringos.

▶ Ziemia władzy

Przez dłuższy czas myślałem, że ta nocna walka z deszczowym żywiołem będzie jedynym szczegółem, jaki zapamiętam z tych kilku dni nużącego i przedłużającego się w nieskończoność spływu. Ale nie. Wkrótce miało wydarzyć się coś jeszcze. Co

eprasa.pl 8308ffc301

Życie na granicy sekretu i tajemnicy

utkwi mi w pamięci chyba jeszcze bardziej niż nocna walka z burzową chmurą.

„Tam nie wolno nam płynąć" – jego głos jest mocny i stanowczy. Jakiś taki inny. Rzekłbym, że „mało Carlosowy". Carlos, nasz indiański przewodnik, był do tej pory raczej małomówny. Ograniczał się do konkretów. Że czas na postój. Żeby zmienić burtę, bo go ściągamy. Żeby uważać na głowy, bo nad nami konar... Zawsze był przy tym serdeczny i uprzejmy. Cierpliwie tłumaczył białemu gringo, co ten robi nie tak i dlaczego. Teraz jednak zareagował jak na siebie dość gwałtownie. Kategorycznie. Jak nie ten Carlos.

– Nie płyniemy tam... – powtarza.

– Ale jak? Ale co...? Co ci jest, Carlos? – jąkam się.

– To właśnie między innymi dlatego tak ciężko jest dostać się białemu na te tereny – mówi, nawiązując do naszych trudności z uzyskaniem od wojska pozwolenia na wpłynięcie. – Słyszałeś o tajnych kopalniach?

– O czym?

– O tajnych kopalniach Amazonas. Różne rzeczy tam wydobywają. Najczęściej diamenty i srebro. Choć mamy tutaj ponoć i pokłady złota oraz cyny.

– To chyba dobrze? Kraj się bogaci, czyż nie?

– Ech, gringo, gringo... To właśnie cały problem. Pochodzisz z innego świata. Wszystko ci trzeba tłumaczyć. U was nie ma Maduro. Nie zrozumiesz.

– Maduro może i nie ma, ale problemy z ludzką nieuczciwością jako tako kojarzę – dodaję z gorzką ironią, od razu przypominając sobie, że już kilka tygodni nie czytałem polskich gazet.

– No dobrze. Powiedz mi więc, czy jakikolwiek wasz dowódca zdołałby ukryć w tajemnicy przed społeczeństwem fakt, że kraj wydobywa na wielką skalę diamenty, srebro złoto i cynę?

Milczę. Carlos mocno wzdycha.

– Dlatego tutaj nie wpłyniemy. To ziemia władzy.

▶ Kopalnia, o której nikt nie wie

Z naszej łodzi po lewej stronie z lasu deszczowego wyrasta w tej chwili granitowa ściana sięgająca 1345 metrów nad poziomem morza. Gigantyczne wręcz tepui Yapacana. Stworzony w tym miejscu park narodowy sprawia, że niewielu ma prawo do prowadzenia na tym terenie jakichkolwiek badań. Obszar ma chronić dziewiczą florę i faunę wiecznie zielonego lasu deszczowego pokrywającego podnóże tepui. Przy okazji jednak chroni coś znacznie dla władzy cenniejszego. Tworzy parasol ochronny dla odbywającego się tutaj procederu wydobywczego. Poza społeczną kontrolą. Bez ograniczeń.

Wyizolowane. Z dala od cywilizacji. Miejsce, o którym świat de facto jakby zapomniał. Schowany pod zie-

eprasa.pl 8308ffc301

Gdyby nie pomoc lokalnych mieszkańców, nasza misja wcale nie musiałaby skończyć się sukcesem

loną gęstwiną. Z jedynymi świadkami w postaci szwędających się po brzegu kajmanów. Trudno się dziwić, że wśród Indian o Yapacana zaczęły krążyć tajemnicze opowieści.

– Nigdy tam nie byłem. Słyszałem jednak o osadzie założonej przez górników pod samą kopalnią. Z absolutnym brakiem poczucia wolności. Z szerzącą się prostytucją. Z wpływami karteli narkotykowych oraz kolumbijskiej partyzantki. Aż kusi, by sprawdzić – mówi Carlos.

Nie jestem pewien istnienia tej kopalni. Choć, jeśli ufać Indianom, jest tam ona na pewno. Część z nich ponoć nawet tam pracowała. To prawdziwie tajemnicze tereny. Nieodwzorowane na jakichkolwiek mapach. Nawet tych wojskowych. Kraina, o której istnieniu władza wolałaby, aby nikt nigdy się nie dowiedział. Póki co, dzięki skrzętnie ukrywanej tajemnicy, udaje im się to doskonale. Podobnie jak utrzymanie w sekrecie zagadki o dodatkowym źródle utrzymania reżimu. Jeśli wierzyć Indianom. Jeśli...

Ale ja im wierzę.

▶ Problemy

– No masz ci los... – zawodzący po cichu Carlos wybudza mnie z drzemki. Nie wiem, ile już śpię. Godzinkę, może dwie? Podnoszę leniwie głowę nad burtę naszej pirogi. Póki co nie widzę nic, co mogłoby wzbudzić niepokój naszego indiańskiego przewodnika. Ani tym bardziej mój.

– Co się stało?

– Kontrola. Problemy... – szepcze Indianin.

– Gdzie?! – spanikowany podnoszę głowę wyżej.

– Spójrz tam, po prawej...

Rzeczywiście. Tylko wprawne oko kogoś, kto od lat oswaja się z wybitną zielenią pejzażu selwy, ma prawo dostrzec taki szczegół. Na przeciwległym brzegu rzeki widać niewielki mostek. Z przycumowanym do niego wojskowym pontonem. Szarym. Z tej odległości zupełnie niewidocznym. Póki co na pomoście nie widać nikogo. Skąd więc Carlos wie, że to kontrola? Tego się nie dowiem. Po kilku chwilach będę natomiast wiedzieć coś innego. Naraz słychać jakieś złowrogie huki. Ktoś chyba wystrzelił ostrzegawczą salwę w powietrze. Wojskowych nadal nie widzę. Ale już wiem, że słowa Carlosa nie były czczą paniką.

Nasz przewodnik nie próbuje nawet zmieniać kursu. Posłusznie zwraca dziób naszej łodzi w stronę widzianego coraz wyraźniej wojskowego pontonu.

Za kilka minut zza traw wynurzają się postacie w wojskowych mundurach moro. Każdy z bronią. Czekają na nas.

eprasa.pl 8308ffc301

Krew w tętnicach pulsuje szybciej. Naprędce próbuję zebrać myśli i możliwie chłodno zorientować się w sytuacji. Oto jesteśmy na środku Orinoko. Do najbliższej miejscowości przynajmniej dwa dni spływu. Jest nas trzech, z czego jeden to swój, Indianin. Oprócz niego dwaj gringos, którym bardzo zależało, aby dostać się na zakazane ziemie. Przed nami zaś wojskowa motorówka. Jest już wystarczająco blisko, aby rozpoznać kształt. Wenezuelska flaga na przedzie. I trzech młodych ludzi. Jeden z wycelowanym w powietrze karabinem. Wszyscy w ciemnych okularach.

▶ Przesłuchanie

– Nawet nie ważcie się robić teraz zdjęć. Jeśli wam życie miłe... – tę ostatnią frazę Carlos musi powiedzieć już szeptem. Żołnierze są tuż obok naszej burty.

– Dlaczegoście się nie zatrzymali?! – wydziera się chyba najstarszy stopniem.

– Señor, nie widzieliśmy was.

– I do tego jeszcze łżesz! Eskortujemy was do brzegu. Tylko żadnych wygłupów!

Carlos jest zdenerwowany. Nawet na nas nie spogląda. Posłusznie wędruje w kierunku steru, by uruchomić silnik. W kilka chwil nasza barka cumuje przy brzegu. Rozpoczyna się rewizja.

– Wszystkie bagaże na wierzch! – pada komenda.

– Ale tu jest tylko sprzęt turystyczny.

– To rozkaz!

– Señor, nie żartujemy...

– Powiedziałem!

Sytuacja wygląda naprawdę nieciekawie. Podczas gdy my wynosimy wszystkie rzeczy z pokładu na brzeg, jeden z żołnierzy zaczyna odrywać podłogę łodzi.

– Ej, ej! Delikatniej może, co?! – reaguje gwałtownie Carlos.

– Siadaj na dupie i milcz! Już my wam pokażemy... Przemytnicy się znaleźli, kurna...

Wszystko więc jasne. Jesteśmy podejrzani o przemyt. Prawdopodobnie chodzi o wspomnianą kopalnię pod tepui Yapacana. Dopiero co ją mijaliśmy. Schowaną w ciemnym lesie, nie dostrzegłem nawet jej zarysów. Zresztą, kto wie? Może w pobliżu jest jeszcze jakaś? Tego się raczej już nie dowiemy.

– Na górę! – dowódca daje karabinem znać, abyśmy podeszli na skarpę. Carlos zostaje na łodzi. Jest u siebie. To jego tereny. Jest bezpieczny. Tutaj ofiarą może być tylko biały. Niechciany przybysz z wrogiego kapitalizmu. Na szczycie skarpy między drzewami stoi niewielki stolik. Na nim popielniczka z kilkoma niedopałkami.

– Dokumenty i kasa na stół! – siedzący przy stoliku żołnierz jest chyba jeszcze wyższy stopniem od tego, który nas tu przyprowadził.

– Panowie, to jakieś nieporozumienie... – próbuję ratować sytuację.

– Cisza!

– Ale...

– Cisza, mówię! Ja tu zadaję pytania. Jaki jest cel waszej ekspedycji?

– Yyy... No więc... – szybko przypominam sobie, że nie wolno nam nikomu zdradzić, dokąd tak naprawdę płyniemy. Tepui Duida położone jest na terenie ścisłego rezerwatu. Nawet papiery, którymi dysponujemy, nie pozwalają nam na wstęp na jego szczyt. Oficjalnie możemy dopłynąć tylko do jednostki wojskowej w Las Esmeraldas u południowego podnóża tepui. Nie dalej.

– Płyniemy do Las Esmeraldas. Do znajomego księdza – ratuje sytuację Kuba. Jego doskonała znajomość hiszpańskiego okazuje się w tej chwili bezcenna. Będziemy wiedzieć, co żołnierze mówią o nas między sobą. To ważne. Zwłaszcza teraz.

– Las Esmeraldas... – kapitan uważnie przegląda gotówkę, jaką wysypano mu na stół z naszych skonfiskowanych portfeli. – A po kiego ta kradzież, co?

– Jaka kradzież, señor?

– Widziano was wypływających z dopływu do kopalni. Nie wolno tam nikomu wpływać.

– To jakaś bzdura! – oburza się Kuba. – Od kilku już dni płyniemy wyłącznie po Orinoko. W górę rzeki. Z przystankami na noclegi.

▶ Happy end

Tak, to prawda. Historia skończyła się dobrze. Żołnierze zaprzestali dalszego rozbierania naszej łodzi. Zaniechali także rozpakowywanie naszych plecaków. Zresztą i tak nie znaleźliby tam żadnych diamentów. Co najwyżej kilka menażek, campigaz, hamak i kilka ciuchów. Nikomu o zdrowych zmysłach nie przyszłoby w takim kraju jak Wenezuela próbować kraść państwowe mienie. W dodatku tak pilnie strzeżone. I nie szkodzi, że to las. Że puszcza. Że nie ma świadków. Okazuje się bowiem, że świadkowie są. To tylko nam cały czas wydaje się, że jesteśmy tutaj sami. Najwidoczniej każdy nasz ruch jest tu bacznie obserwowany.

Zatem znowu się udało. I nie mam wątpliwości, że bez poręczającego za nas Carlosa nadal stalibyśmy teraz na tej trawiastej skarpie nad rzeką. Niepewni swojej przyszłości. I tego, gdzie tę przyszłość przyjdzie nam spędzić. Obiektywny fakt niewinności jeszcze niczego nam nie gwarantował. Wystarczyłoby przecież podrzucić nam do łodzi jakiś diament. Szybko zawiązać intrygę. Znaleźć fałszywych świadków. I sprawa gotowa. Na szczęście żołnierzy kupiła cierpliwość i dobre oczy Carlosa. Indianin po raz kolejny okazał się naszą tarczą. Naszą przepustką, by płynąć dalej.

A sama kopalnia? Mnie już nie trzeba przekonywać, że istnieje. I nawet już chyba wiem, gdzie... ■

eprasa.pl 8308ffc301

Antoni Rybczyński

Najdłuższa wojna nowożytnej Europy

Walki między Azerbejdżanem i Armenią mogą doprowadzić do gruntownej zmiany układu sił w regionie. Nie chodzi bowiem jedynie o to, kto panuje nad Karabachem. Chodzi też o bezwzględną rywalizację państw sąsiadujących z regionem. Przede wszystkim rywalizację Rosji i Turcji.

eprasa.pl 8308ffc301

Kaukaz przez stulecia służył za pomost, przez który armie maszerowały z Azji do Europy lub w drugą stronę. Rzymianie, Arabowie, Turcy, Persowie, Rosjanie. Radzić sobie z najeźdźcami musiały miejscowe ludy. Choćby Królestwo Armenii, którego początki sięgają 300. roku przed Chrystusem, a do którego odwołują się dziś ormiańscy nacjonaliści. To z tamtych czasów pochodzi nazwa Arcach, jak Ormianie określają enklawę Górskiego Karabachu – niegdyś część armeńskiego królestwa.

Trochę historii

Aż do końca XI wieku Karabach wchodził w skład kolejnych ormiańskich królestw. Ale w XIII wieku tureckie plemiona podbiły większość Kaukazu Południowego. Ormianie wycofali się w dużej części z nizin w góry. Od tej pory lokalni władcy uznawali zwierzchnictwo czy to Turcji, czy Persji. Do początku XIX wieku Górski Karabach był na wpół niezależnym regionem, zamieszkałym głównie przez chrześcijańskich Ormian, a rządzonym przez muzułmańskich Azerów (lud turecki), pod formalnym zwierzchnictwem perskiej dynastii Safawidów. Na jego czele stał chan. W październiku 1827 roku Rosja anektowała Chanat Erywański, włączając go w skład obwodu armeńskiego, powołanego dekretem Mikołaja I w marcu 1828 roku. Erywań stał się wówczas centrum imigracji Ormian z całego Bliskiego Wschodu i Kaukazu. Gwałtowne zmiany przyniósł wybuch I wojny światowej. Najpierw napięcia etniczne w regionie wzrosły, gdy dziesiątki tysięcy Ormian uciekły na tereny kontrolowane przez Rosję przed ludobójstwem dokonanym przez Turcję. Ocalali Ormianie nie rozróżniali zasadniczo kaukaskich muzułmanów (Azerów) od Turków. Kiedy upadł carat, a Rosja pogrążyła się w wojnie domowej. Już wtedy dochodziło do starć o kontrolę nad różnymi terenami, także Karabachem, między Ormianami a Azerami. Wiosną 1918 roku, niedługo po wycofaniu się sowieckiej Rosji z wojny światowej (pokój brzeski), Turcja ruszyła z ofensywą na Kaukazie Południowym, tym razem przeciwko armeńskim nacjonalistom, a nie Rosjanom. Tej kampanii towarzyszyły liczne etniczne starcia w regionie. Pod koniec marca 1918 roku azerska większość starła się z mniejszością ormiańską (stanowiła 20 proc. populacji miasta) w Baku. Ormian popierali lokalni bolszewicy i ich milicja. Zginąć miało wtedy nawet 12 tys. Azerów (według historyków azerbejdżańskich) i kilkakrotnie mniej Ormian.

Pod koniec maja 1918 roku Gruzja, Azerbejdżan i Armenia ogłosiły niepodległość. Terytorium nazywane Górskim Karabachem, z dominującą ludnością ormiańską, było częścią guberni jelizawietpolskiej, która w połączeniu z gubernią bakijską stworzyła Azerbejdżan. Przegrywając wojnę z Turcją i chcąc uniknąć całkowitej okupacji, Armenia zgodziła się na szereg ustępstw terytorialnych. Górski Karabach stał się częścią Azerbejdżanu (choć Kaukaska Islamska Armia stworzona przez Turków wciąż walczyła o te ziemie z bolszewikami). Tymczasem ententa próbowała zatrzymać marsz Turków, zajmując Baku. 29 maja 1918 roku władze Azerbejdżanu pod naciskiem ententy odstąpiły Armenii miasto Erywań. Ale już we wrześniu 1918 roku oddziały Islamskiej Armii zajęły Baku. Doszło do rzezi Ormian. Zginęło ich co najmniej 10 tys. Siły turecko-azerbejdżańskie zajęły także Górski Karabach. Ale kilka tygodni później Imperium Ottomańskie wycofało się z wojny światowej i zaczęło wycofywać wojska z Kaukazu Południowego, co pozwoliło Ormianom odzyskać kontrolę nad Karabachem. Miejsce po Turkach wypełniła Wielka Brytania. W 1919 roku Londyn próbował przekonać – bez powodzenia – Ormian z Karabachu do uznania terytorialnych roszczeń Azerbejdżanu. Tymczasem Azerowie rozpoczęli nową ofensywę w regionie, której towarzyszyły etniczne czystki. Stojąc w obliczu kompletnej porażki, karabascy Ormianie zgodzili się uznać zwierzchność Azerbejdżanu, przy zachowaniu pewnych warunków. Wiosną 1920 roku Ormianie rozpoczęli kontrofensywę, która zakończyła się jednak tragicznie dla ich rodaków w Karabachu. Siły Azerbejdżanu odparły natarcie i odpowiedziały zniszczeniem dzielnicy ormiańskiej w Szuszy, stolicy Górskiego Karabachu. Zginęło w czystce etnicznej od kilkuset do kilku tysięcy Ormian.

Ale już niedługo potem do gry powróciła Rosja. Tym razem bolszewicka. W 1920 roku wkroczyła Armia Czerwona i całe Zakaukazie – jak mówi się w Rosji – znów wróciło pod panowanie Moskwy. Ormianie liczyli, że Karabach zostanie włączony do republiki armeńskiej. Wtedy do akcji wkroczył Józef Stalin, a podejmowane przez niego decyzje, dotyczące też Armenii i Azerbejdżanu, do dziś wszyscy odczuwają. Otóż Stalin był komisarzem ludowym do spraw narodowości i to on miał decydujący głos w arbitralnym wyznaczaniu granic, także na sowieckim Kaukazie, gdzie podział administracyjny został sformalizowany ostatecznie w 1923 roku. Po długiej debacie bolszewicy w Moskwie pozostawili Karabach w składzie Azerbejdżanu (za czym stać miał Stalin). Obwód autonomiczny stał się częścią Azerbejdżańskiej Sowieckiej Republiki Socjalistycznej. W czasie wojny domowej po bolszewickim puczu doszło do pogromów Ormian z rąk Azerów (masakra w Gajballu w 1919, rzeź w Szusza w 1920 roku). A mimo to spis powszechny z 1926 roku wykazał, że aż 90 proc. mieszkańców Karabachu to Or-

FOT. STANISLAV KRASILNIKOV/ PAP/ITAR-TASS.

eprasa.pl 8308ffc301

mianie. Żeby skomplikować sytuację, Moskwa wyznaczyła takie granice, żeby Armenia nie miała wspólnego odcinka granicy z Karabachem. Jednocześnie powstał autonomiczny region Nachiczewan, podporządkowany władzom w Baku, wciśnięty między Armenię a Iran, niemający połączenia lądowego z Azerbejdżanem. Mieszkała tu wtedy mieszana, ormiańsko-azerska ludność. W 1919 roku Armenia zlikwidowała powstałą tutaj rok wcześniej, związaną z Azerbejdżanem Republikę Araksu. Rok później z kolei bolszewicka 11. Armia wkroczyła tutaj, po czym ogłoszono powstanie autonomii związanej z sowieckim Azerbejdżanem. Naciskała na to kemalistowska Turcja. Jeśli jeszcze w 1926 roku Ormianie stanowili 15 proc. populacji eksklawy, to w 1979 roku było to już zaledwie 1,4 proc. Po upadku ZSRS w regionie proklamowano Nachiczewańską Republikę Autonomiczną wchodzącą w skład niepodległego Azerbejdżanu.

miańska mówi o setkach ofiar. Przez następne trzy lata między Baku a Erywaniem dochodziło do przepychanek o to, kto gdzie rządzi, o granice, referenda. Wszystkiemu towarzyszyły cykliczne uliczne zamieszki i wiejskie pogromy. W grudniu 1989 roku władze sowieckiej Armenii i autonomii Karabachu podpisały wspólne postanowienie o włączeniu obwodu w skład Armenii, na co Azerbejdżan odpowiedział ostrzałem artyleryjskim granicy Karabachu. W styczniu 1990 roku Rada Najwyższa ZSRS ogłosiła stan wyjątkowy w strefie konfliktu. W styczniu 1990 roku, w odpowiedzi na pogrom Ormian w Baku (kilkaset ofiar), armia sowiecka wkroczyła do miasta. Doszło do starć, w których zginęły kolejne setki ludzi. Na przełomie kwietnia i maja 1991 roku w Karabachu została przeprowadzona Operacja „Pierścień" siłami OMON Azerbejdżanu i wojsk wewnętrznych MSW ZSRS. W ciągu trzech tygodni deportowano ormiańską ludność 24 karabaskich wsi, a ponad 100 osób przy tym zabito. Siły sowieckiego MSW i armii sowieckiej prowadziły akcje rozbrajania uczestników starć aż do sierpnia 1991 roku, gdy w Moskwie doszło do puczu.

To był ostatni gwóźdź do trumny Związku Sowieckiego. Kolejne republiki zrywały z Moskwą, ogłaszając niepodległość. Także Armenia i Azerbejdżan. 2 września 1991 roku w Stepanakercie proklamowano Republikę Górskiego Karabachu. Baku uznało to za nielegalne działanie. W grudniu 1991 roku przestał istnieć ZSRS. Ruszyły po obu stronach przygotowania do regularnej wojny. Po początkowych sukcesach Azerów wspieranych przez Moskwę zwrot nastąpił po rozpadzie ZSRS. 25–26 lutego 1992 roku Ormianie przy wsparciu 336. pułku armii rosyjskiej dokonali rzezi Azerów w mieście Chodżały. Potem była seria sukcesów militarnych Ormian wspieranych przez Rosję. Walki zakończył rozejm w maju 1994 roku, gdy ormiańskie oddziały kontrolowały niemal cały Karabach, jak też kilka otaczających go rejonów azerbejdżańskich. To była upokarzająca klęska Baku. Azerbejdżan stracił w 1994 roku niemal jedną siódmą terytorium (13,6 proc.). Zawieszenie broni z maja 1994 roku wytyczyło tzw. linię kontak-

W ŚWIETLE PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO GÓRSKI KARABACH I SIEDEM OTACZAJĄCYCH GO REJONÓW OKUPOWANYCH PRZEZ ORMIAN TO CZĘŚĆ TERYTORIUM AZERBEJDŻANU. TYM TEŻ KIERUJE SIĘ W OBECNEJ WOJNIE AZERBEJDŻAN, JAK I JEGO JEDNOZNACZNI SOJUSZNICY: AFGANISTAN, A PRZEDE WSZYSTKIM TURCJA.

Sowieckie dziedzictwo

Administracyjna przynależność do sowieckiego Azerbejdżanu zrobiła swoje: udział Azerów w populacji Górskiego Karabachu wzrósł z 10 proc. w 1926 roku do 21 proc. w 1989 roku. Karabascy Ormianie uskarżali się, że są dyskryminowani przez rządy z Baku. Pierestrojka i słabnący reżim sowiecki pobudziły narodowe oczekiwania w wielu zakątkach Sojuza, także na Kaukazie. 20 lutego 1988 roku Rada Deputowanych Ludowych Górskiego Karabachu, zdominowana przez Ormian, ogłosiła deklarację zjednoczenia z Armenią. W tym czasie trzy czwarte populacji regionu (liczącej 190 tys. ludzi) była narodowości ormiańskiej, zaś jedna czwarta – azerskiej. Na rezolucję parlamentu karabaskiego Biuro Polityczne KC KPZS odpowiedziało odmownie. To wywołało masowe demonstracje w Baku i Erywaniu, a chwilę potem pogromy etniczne. Dwa dni później Azerowie starli się z Ormianami niedaleko miasta Askeran – to była pierwsza przelana krew w tym konflikcie. 27 lutego azerski motłoch wtargnął do bakijskiego przedmieścia Sumgait, gdzie mieszkała duża społeczność Ormian. Oficjalnie zginęły 32 osoby, choć strona or-

eprasa.pl 8308ffc301

tu rozdzielającą obie strony (około 100 km). Około 30 ludzi zginęło, a ponad 1 mln wyrzucono z ich domów. Około 870 tys. Azerów uciekło z Górskiego Karabachu i otaczających go rejonów, jak też samej Armenii. Około 300 tys. Ormian wyemigrowało z Azerbejdżanu. Od 1995 roku Francja, Rosja i USA współprzewodniczą tzw. Grupie Mińskiej, inicjatywie OBWE, która do tej pory nie jest w stanie przekonać Armenii i Azerbejdżanu do rozwiązania konfliktu. Chyba najbliżej tego było w 2001 roku, gdy prezydenci obu krajów spotkali się na Florydzie.

Przez wiele lat armie Armenii i Górskiego Karabachu uważano za najlepsze, obok rosyjskiej i białoruskiej, siły zbrojne byłego ZSRS. Azerbejdżan, mający bardzo dużą przewagę liczebną i w posowieckim sprzęcie, został upokorzony. Dopiero od początku poprzedniej dekady, dzięki wzrostowi wpływów z eksportu ropy i gazu, Baku mogło zacząć rozbudowywać i modernizować wojsko. Od dekady armia jest w szybkim tempie modernizowana. Proporcjonalnie do wzrostu militarnego potencjału Baku rosło napięcie na linii kontaktu. Zanim doszło do obecnej jesiennej eskalacji walk, największy kryzys po 1994 roku miał miejsce w kwietniu 2016 roku, gdy zginęło około 200 żołnierzy i cywilów. Ale już w listopadzie 2014 roku Azerowie zestrzelili wojskowy helikopter separatystów, co omal nie doprowadziło do wybuchu wojny. W grudniu 2015 roku po raz pierwszy od 1994 r. użyto czołgów. Azerbejdżan liczył na to, że nowe władze Armenii, które w 2018 roku obaliły poprzedników związanych z tzw. klanem karabaskim, zgodzą się negocjować nowe rozwiązania dla Górskiego Karabachu. Było to tym bardziej uzasadnione, że Nikol Paszynian na początku poprzedniej dekady publicznie poparł plan oddania Azerom kontroli nad otaczającymi Górski Karabach rejonami w zamian za uznanie samodzielności samej enklawy. Ale takie rozwiązanie, przygotowane przez międzynarodowych mediatorów, budzi ogromne kontrowersje w Armenii. Kiedy Lewon Ter-Petrosjan poparł plan w 1997 roku, kosztowało go to prezydenturę. Zastąpili go politycy, którzy karierę zaczęli w Karabachu. Na następne dwie dekady rządy w Armenii zdominował klan karabaski, który nie chciał słyszeć o jakichkolwiek ustępstwach wobec Azerbejdżanu. W 2018 roku władzę na skutek ulicznych demonstracji przejął Paszynian. Szybko rozwiał nadzieję, pokazując, że nie ma zamiaru zmieniać polityki ws. Karabachu. Krótko po rozpoczęciu rządów odwiedził Stepanakert i ogłosił, że „Karabach to Armenia", podkreślając, że Erywań „nie ma ziemi, które może oddać Azerbejdżanowi".

Gra mocarstw

W świetle prawa międzynarodowego Górski Karabach i siedem otaczających go rejonów okupowanych przez Ormian to część terytorium Azerbejdżanu. Tym też kieruje się w obecnej wojnie – rozpoczętej 27 września – Azerbejdżan, jak i jego jednoznaczni sojusznicy: Afganistan, a przede wszystkim Turcja. Wcześniej Turcja nie wspierała tak jednoznacznie Azerbejdżanu. Szczególnie wtedy, gdy Baku najbardziej tego potrzebowało. W 1993 roku ówczesny prezydent Azerbejdżanu Abulfaz Elczibej otwarcie w publicznej telewizji tureckiej wyraził frustrację postawą Ankary. Turcy nie zaoferowali nawet paru śmigłowców, żeby ewakuować cywilów azerbejdżańskich z rejonu Kelbadżar, gdy ruszyła nań armeńska ofensywa. Teraz jest inaczej. Turcja chce zastąpić Rosję jako główny strategiczny partner Azerbejdżanu, także w sferze bezpieczeństwa. Chce zabezpieczyć transport ropy i gazu gazociągiem BTE i ropociągiem BTC z Azerbejdżanu do Turcji, biegnącymi niedaleko granic Armenii i narażonymi na ostrzał armeński. Po trzecie, Ankara widzi w Karabachu element targów w grze z Rosją, grze obejmującej także Syrię i Libię.

Walki między Azerbejdżanem i Armenią mogą doprowadzić do gruntownej zmiany układu sił w regionie. Nie chodzi bowiem jedynie o to, kto panuje nad Karabachem. Chodzi też o bezwzględną rywalizację państw sąsiadujących z regionem. Przede wszystkim rywalizację Rosji i Turcji. Tym, co różni obecną wojnę od poprzednich eskalacji konfliktu, jest niezwykle silne zaangażowanie Ankary. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że Erdogan popchnął Alijewa do wojny. Turcja idzie na zwarcie z Rosją na kolejnym już regionalnym froncie. Wszak pamiętać należy o trudnych relacjach Ankary i Moskwy w Syrii oraz o ich konflikcie w Libii. Erdogan pcha się w kolejną awanturę, bo taką agresywną politykę zagraniczną prowadzi, punktując w ten sposób też wśród nacjonalistycznie nastawionych wyborców. Wystąpienie po stronie tradycyjnego sojusznika Azerbejdżanu przeciwko tradycyjnemu wrogowi Turcji, czyli Armenii, idealnie wpisuje się w strategię Erdogana. Azerbejdżan występuje tutaj jako bliski sojusznik Turcji. Stosunki między Armenią a Rosją są za to bardziej skomplikowane. Moskwa nigdy nie ukrywała, że nie przepada za Paszynianem, który przejął władzę dzięki ulicznym protestom, zaskakując Rosjan. Do tego od kilku lat Rosjanie mają coraz lepsze stosunki z Azerbejdżanem, któremu zresztą sprzedają dużo broni. Dlatego jak na razie – inaczej niż Turcja – Rosja zachowuje się dość wstrzemięźliwie, nawołuje do pokoju i nie angażuje się mocno w konflikt. Tylko porozumienie Putina z Erdoganem może trwale wstrzymać walki. Kreml gotów jest zgodzić się na utratę przez Ormian części terytoriów, jeśli taka ma być cena porozumienia z Ankarą (i Baku). Rosjanie wiedzą bowiem, że Armenia i tak jest skazana na sojusz z Moskwą. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Sieć 5G–Chiny–EU

19 października czeski operator sieci telekomunikacyjnej CETIN ogłosił, że nie będzie korzystał ze sprzętu Huawei i że wybrał współpracę ze szwedzką firmą Ericsson. CETIN należy do grupy inwestycyjnej PPF, będącej własnością najbogatszego czeskiego biznesmena Petra Kellnera, a utworzonej w wyniku podziału czeskiego operatora telefonii komórkowej O2.

20 października Szwecja ogłosiła, iż sprzęt chińskich firm Huawei i ZTE nie będzie wykorzystany przy budowie sieci 5G. Szwedzki Urząd Poczty i Telekomunikacji (PTS) podjął decyzję o wykluczeniu firm z ChRL na podstawie obowiązującej od początku roku nowej ustawy i po przeprowadzeniu konsultacji z wojskiem i służbami specjalnymi, „by zapewnić, że używanie sprzętu radiowego w tych pasmach nie przyczyni się do narażenia bezpieczeństwa Szwecji".

PTS poinformował też, że firmy biorące udział w aukcji pasma dla technologii 5G, które do tej pory korzystały ze sprzętu Huawei, muszą go usunąć ze swojej infrastruktury mobilnej do 1 stycznia 2025 roku.

Pierwszym państwem w Europie, które w tym roku ogłosiło zerwanie współpracy z Huawei, jest Wielka Brytania. W lipcu Londyn nakazał całkowite usunięcie sprzętu Huawei z brytyjskiej sieci 5G do 2027 roku. Zaraz po decyzji Brytyjczyków, francuska Agencja ds. Bezpieczeństwa Cybernetycznego (ANSSI) oświadczyła, że zezwoli operatorom na używanie sprzętu Huawei, na podstawie licencji od trzech do ośmiu lat. Po upływie tego czasu licencja nie zostanie przedłużona, co oznacza, że Francja wykluczy Huawei z budowy sieci 5G do 2028 roku.

Rządy europejskie dokonują w tej chwili przeglądu roli chińskich firm w budowaniu ich sieci 5G. Stany Zjednoczone przekonują swoich europejskich sojuszników, że korzystanie ze sprzętu Huawei i ZTE stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa, m.in. dlatego, że chińskie firmy i obywatele muszą zgodnie z prawem ChRL pomagać państwu w gromadzeniu informacji wywiadowczych.

O związkach Huawei i kilku innych chińskich firm z wojskiem mówi też Guo Wenggui, miliarder z ChRL ubiegający się o azyl w USA i współpracujący w tej chwili m.in. z byłym doradcą prezydenta Donalda Trumpa, Stevem Bannonem, w celu ujawniania korupcyjnych działań komunistycznych Chin. „Ludzie na Zachodzie nie mają racji, mówiąc, że to są przedsiębiorstwa biznesowe czy firmy tylko wywodzące się z Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChALW). Szefowie wszystkich tych przedsiębiorstw mają trzy tożsamości: po pierwsze, każdy ma swoje numery identyfikacyjne w ChALW; po drugie, osoby te są na liście wspieranych i chronionych przez chińskie władze finansowe; po trzecie, mają przywileje dyplomatyczne nadane im przez chińskie ministerstwo spraw zagranicznych" – twierdzi Guo.

Korea Północna

10 października w Pjongjang, stolicy Korei Północnej, odbyła się parada wojskowa z okazji 75. rocznicy powstania rządzącej Partii Pracy Korei (PPK). W trakcie uroczystości punktem kulminacyjnym był pokaz nowego ogromnego międzykontynentalnego pocisku balistycznego (ICBM). Jak podaje Reuters, analitycy stwierdzili, że jest on jednym z największych pocisków balistycznych na świecie.

Tegoroczna defilada wojskowa była pierwszą taką imprezą w Korei Płn. od dwóch lat. Reżim Kim Dzong Una wstrzymał parady w 2018 roku, kiedy to prezydent USA Doland Trump spotkał się po raz pierwszy z przywódcą Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej (KRLD).

W tym roku na uroczystość wybrano dość nietypową porę, bo tuż przed świtem. Być może miało to związek z koronawirusem.

Uwagę analizujących materiały z wydarzenia zwrócił też fakt, że żaden z uczestników, w tym przywódca Kim

eprasa.pl 8308ffc301

Dzong Un i urzędnicy wysokiego szczebla, na zdjęciach zrobionych przez państwowe media w Korei Płn. nie nosili maseczek. Tymczasem od sierpnia organ prasowy Komitetu Centralnego PPK, Rodong Sinmun, przypomina o takim obowiązku.

Ale Pjongjang stosuje jeszcze bardziej drastyczne „metody" walki z COVID-19. Jak donosi południowokoreańska agencja Yonhap, Ministerstwo Spraw Bezpieczeństwa Korei Północnej utworzyło specjalną strefę w odległości od 1 do 2 kilometrów od obszaru przygranicznego i nakazało wojsku bezwarunkowe zabijanie ludzi i zwierząt, które weszły do strefy lub zbliżyły się do granicy KRLD.

Z tego powodu doszło już do spięcia z Chinami, które wystosowały protest po kilku incydentach, w których chińscy obywatele zostali zastrzeleni przez północnokoreańskich żołnierzy w strefie przygranicznej.

Protestuje także Korea Południowa. Według Ministerstwa Obrony w Seulu we wrześniu żołnierze Korei Płn. zastrzelili 47-letniego południowokoreańskiego urzędnika nadzoru łowisk, w czasie gdy prowadził patrol w pobliżu granicy morskiej pomiędzy krajami. Ciało urzędnika północnokoreańscy żołnierze spalili. Ten mord Korea Płn. argumentowała koniecznością walki z koronawirusem.

Chiny–COVID-19

Po wykryciu w pierwszej połowie października kilku grupowych przypadków COVID-19 w chińskim mieście Qingdao, reżim ChRL rozpoczął kampanię mającą na celu zbadanie wszystkich mieszkańców miasta, około 11 mln ludzi, w ciągu pięciu dni. 17 października władze Qingdao ogłosiły, że wszystkie wyniki testów były negatywne, a państwowe media w ChRL wychwalały komunistyczną władzę za walkę z epidemią i „sprawienie, że cały świata podziwia Chiny" za tak szybkie testowanie. Do wyników testów w Qingdao dość sceptycznie podchodzą nie tylko zagraniczni eksperci, lecz także sami Chińczycy.

Tajwański minister zdrowia i szef Centrum Dowodzenia Epidemiologicznego, Chen Shih-chung, mówi, że wynik uzyskany w Qingdao jest niemożliwy, ponieważ w przypadku takiej dużej liczby testów zawsze pewna część tych pozytywnych i negatywnych jest fałszywa.

W rozmowie z dziennikarzami wydawanej w USA chińskiej gazety „The Epoch Times" kilku mieszkańców Qingdao przyznało, że nigdy nie dostali pisemnych pełnych wyników testów.

Jeden z Chińczyków powiedział dziennikarzom: „Wiem, że nie są tak skuteczni. Wszystkie te dane można dowolnie wymyślić. Zasadniczo władza podejmuje działania mające na celu złagodzenie niepokoju publicznego. Ten rząd ma zerową wiarygodność. Nie wierzymy w to, co mówi, ale ponieważ jest to rząd autorytarny, nie możemy nic zrobić".

„The Epoch Times" zwraca uwagę, że Centrum Kontroli Chorób w Qingdao ma tylko 200 pracowników, a oddziały okręgowe mają po dziesiątki pracowników, co „uniemożliwia im prowadzenie masowych testów".

Dong Yuhong, ekspert od wirusowych chorób zakaźnych ze szwajcarskiej firmy biotechnologicznej SunRegen Healthcare, też wątpi w chińskie możliwości przeprowadzenia około 11 mln testów w pięć dni. Testy kwasów nukleinowych COVID-19 muszą odbywać się w wyznaczonych laboratoriach bezpieczeństwa biologicznego poziomu drugiego i wyższym. Biorąc pod uwagę, że laboratorium wirusów w zwykłym szpitalu z reguły jest w stanie przetworzyć setki próbek wirusów w ciągu jednego dnia, nie jest możliwe, by Qingdao było w stanie tak szybko wykonać miliony testów.

„The Epoch Times" zapytała jednego z urzędników Centrum Kontroli Chorób w Qingdao o to, jak wiele testów można przeprowadzić w tak krótkim czasie. Dziennikarze usłyszeli, żeby „po prostu ufali rządowi".

Od samego początku pandemii chińskie władze mówią o zaufaniu, ale także od samego początku świat przekonuje się, że informacje i dane dotyczące COVID-19 przekazywane przez Pekin są fałszywe.

Gdy 31 grudnia 2019 roku Pekin przekazał Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) informację o przypadkach „nieznanej choroby, co do której nie ma przesłanek, że roznosi się z człowieka na człowieka", Tajwan przekazał do WHO wiadomość od personelu medycznego w Chinach, że wirus rozwijający się w ChRL przenosi się z człowieka na człowieka. WHO podało światu wersję chińską i powtórzyło ją jeszcze w swoim oświadczeniu 14 stycznia 2020 roku.

Dziś już wiemy, że gdyby Chiny na przełomie grudnia i stycznia podały prawdziwą wiadomość na temat wirusa albo gdyby WHO przekazało dalej prawdziwe informacje płynące z Tajwanu, to można byłoby uniknąć pandemii o zasięgu światowym.

Japonia

Według danych japońskiego ministerstwa zdrowia, pracy i opieki społecznej, z powodu spadku dochodów, wynikającego z pandemii, rekordowa liczba rodzin w Japonii otrzymała od rządu pomoc finansową na opłatę czynszu. Między kwietniem a sierpniem złożono około 109 tys. wniosków o rządowe wsparcie, z czego władze przychyliły się do około 96 tys. To 2,6 razy więcej niż w całym roku fiskalnym 2010, gdy świat odczuwał skutki kryzysu gospodarczego.

Program pomocy finansowej na opłatę czynszu początkowo był skierowany do wysiedlonych pracowników, ale w kwietniu rząd Japonii złagodził warunki i objął nim osoby, których dochody spadły z powodu utraconych w wyniku koronawirusa godzin pracy. ■

eprasa.pl 8308ffc301

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Ideologia politycznej opozycji w Rosji

Zamach na życie Aleksieja Nawalnego wywołał dyskusję na temat stanu rosyjskiej opozycji i tego, czy są ludzie mogący go zastąpić. Jedna rzecz to personalia i struktury, druga to poglądy i program. Jaki jest obraz współczesnej rosyjskiej opozycji? Czego można się spodziewać po ludziach chcących zastąpić Władimira Putina? Jakie mają poglądy i pomysł na władzę? Na te pytania próbowali odpowiedzieć Siergiej Biełanowskij i Anastazja Nikolskaja, którzy wyniki swoich badań przeprowadzonych w środowisku opozycyjnym przedstawili na niezależnym portalu Riddle.io. Poniżej tłumaczenie artykułu opublikowanego 10 września 2020 roku.

Artykuł ten powstał w oparciu o serię wywiadów przeprowadzonych przez Grupę Biełanowskiego z przedstawicielami rosyjskiej opozycji niesystemowej w lipcu i sierpniu 2020 roku. W sumie rozmawiano z 60 osobami należącymi do następujących partii i ruchów: PARNAS, Jabłoko, Otwarta Rosja, Nowi Ludzie, Fundacja Walki z Korupcją, Głos Dalekiego Wschodu. Część respondentów nie identyfikuje się z żadnym z ruchów, lecz współpracuje z lokalnymi oddziałami opozycyjnych struktur (czasem wieloma). Obszar zasięgu badania to Moskwa, Sankt Petersburg, Jekaterynburg, Niżni Nowogród, Rostów nad Donem, Tomsk, Chabarowsk. Pytani byli zarówno szeregowi członkowie ruchów, jak i ich liderzy/ideolodzy. Poniżej głównie przedstawione będą opinie szeregowych działaczy, ponieważ poglądy liderów są bardziej złożone i potrzebują oddzielnej analizy. Celem badania było określenie spektrum idei, które w przypadku radykalnych przemian w obecnej władzy mogą sformować nową agendę dnia.

Przy prowadzeniu badania założono obecność dwóch osi ideologicznych: demokraci-imperialiści i liberałowie-socjaliści. Większość ankietowanych zaliczała siebie do demokratów. Imperialny dyskurs ideologiczny na tym etapie pracy nie został w pełni przedstawiony. Z tego powodu wyniki badania są wstępne i niekompletne, gdyż bez analizy poglądów imperialnych nie można opisać całościowego obrazu politycznego. Jeśli chodzi o liberałów i socjalistów, mamy tu do czynienia z dominacją eklektycznych światopoglądów (na linii demokratów-imperialistów wręcz przeciwnie, istnieje ostre rozgraniczenie). Należy pamiętać, że znaczenie słów „liberałowie" i „socjaliści" wśród zwykłych uczestników ruchów różni się od ich znaczenia w terminologii politycznej.

Usunąć pomniki Lenina

Platforma ideologiczna większości przedstawicieli opozycji demokratycznej jest raczej niejasna. Większość z nich nazywa siebie liberałami, ale woli unikać pytania, czy są prawicowymi czy lewicowymi liberałami. Pytania wyjaśniające prowadzą nas do wniosku o dominacji eklektycznego światopoglądu: z jednej strony respondenci opowiadają się za zmniejszeniem roli państwa, rozwojem biznesu i obniżką podatków, z drugiej strony za bezpłatną służbą zdrowia i edukacją, progresywną skalą opodatkowania oraz rozwiniętą pomocą społeczną. Wszystkie te tezy są często wypowiadane pod rząd w jednym zdaniu lub akapicie.

- *Ingerencja państwa w życie obywateli powinna być minimalna, ale potrzebne są gwarancje społeczne.*

eprasa.pl 8308ffc301

- *Nie ma podatków nakładanych na płace minimalne, a wraz ze wzrostem płac rośnie podatek.*

Wartości wyrażane przez respondentów: wolność osobista, demokratyczny system wyborczy, rywalizacja polityczna, równość szans, pomoc społeczna.

- *W sensie ideologicznym popieram wartości demokratyczne, opowiadam się za reformą sądownictwa, a także za zmianą rządu. Musimy zdekomunizować władze, usunąć wszystkie pomniki Lenina i uniewinnić więźniów politycznych.*
- *Moją dzisiejszą ideologią jest przywrócenie Rosji normalności, od wyborów do sfery ekonomicznej i społecznej. Potrzebujemy również normalnego federalizmu.*
- *Platforma ideologiczna to walka z korupcją, demokratyczne, liberalne wartości. Nie mogę nic więcej powiedzieć.*

Każdy ruch ma własny program oparty na ideałach demokracji. Oznacza to, że deklarowane cele w zasadzie pokrywają się. Jedynie sposoby ich osiągnięcia różnią się nieznacznie. Mówią głównie o rozwoju politycznym: parlamentaryzmie, federalizmie, różnych wolnościach.

- *Konieczne jest przekazanie parlamentowi znacznej części uprawnień. Potrzebujemy systemu rozdziału władzy.*
- *Konieczne są niezależne media, co powinno doprowadzić do zmniejszenia skali korupcji. Potrzebny jest normalny federalizm, co pomoże uniknąć separatyzmu.*
- *Przede wszystkim ważna jest wymienialność władzy, jej odpowiedzialność wobec ludności.*

▶ Polityka gospodarcza, społeczna i sądy

Zdecydowana większość respondentów ma słabe wyobrażenie o programach gospodarczych. Z reguły nie dotyczą one tematów ekonomicznych. Odpowiedzi na zadawane pytania są wymijające, nie uważają się oni za specjalistów. Wielokrotnie powtarzano, że w razie potrzeby konieczne byłoby przyciągnięcie specjalistów.

- *Jeśli chodzi o platformę ekonomiczną, nie mogę nic powiedzieć. Są od tego specjaliści. Ale mogę powiedzieć, że musimy sprawdzić legalność prywatyzacji z lat 90.*
- *Nie mogę nic powiedzieć o platformie gospodarczej. To zupełnie nie jest moja sprawa. Moim celem jest ratowanie ludzi.*
- *Gdy tylko zmieni się rząd, powołamy kompetentnych specjalistów w dowolnej dziedzinie.*

Respondenci mimochodem poruszali kwestie polityki społecznej, głównie mówiąc o państwie opiekuńczym. Często powtarzali (być może nie zdając sobie z tego sprawy) narodowe programy rozwojowe proponowane przez Kreml.

- *Przede wszystkim potrzebne jest szkolenie w zakresie przedsiębiorczości. Aby każdy mógł się uczyć (na uwagę ankietera, że takie programy już istnieją, respondent odpowiedział: Programy, które istnieją teraz, to za mało).*
- *W odniesieniu do medycyny powinno istnieć obowiązkowe bezpłatne ubezpieczenie, ale usługi te będą wiązały się z pewnym dyskomfortem – kolejkami, wielomiesięcznymi wizytami u lekarza – co zmusi obywateli do ubiegania się o płatne usługi, jeśli zajdzie taka potrzeba.*

MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE OSTATECZNYM CELEM OPOZYCJI JEST IDEA DEMOKRACJI, PRZY WYRAŹNYM BRAKU ZROZUMIENIA ZAGADNIEŃ STRUKTURY PAŃSTWA, GOSPODARKI I INNYCH DZIEDZIN ŻYCIA PUBLICZNEGO, A TAKŻE REALNEJ OCENY AKTUALNEJ SYTUACJI.

eprasa.pl 8308ffc301

Wśród innych deklaracji politycznych częściej niż inne brzmiały reformy sądownictwa i rozwój demokracji na szczeblu gminnym. Oświadczenia o reformie sądownictwa ograniczały się do stwierdzenia, że jest to konieczne. Jedynym konkretyzującym stwierdzeniem była teza o niezależności sądu.

- *Dla mnie ważne są niezależne sądy, wolność słowa, wolność mediów. Gdybym teraz doszedł do władzy, zacząłbym od reformowania wymiaru sprawiedliwości (niezależności), zreformowania Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.*
- *Konieczna jest reforma sądów, niezależne sądy.*

W odniesieniu do rozwoju demokracji miejskiej respondenci opowiadają się za maksymalną konkurencją polityczną i zaangażowaniem ludności w podejmowanie decyzji (nie poruszono kwestii finansów samorządu).

- *Samorząd lokalny to nowy typ przywództwa, przywództwo rozproszone, które tworzy konkurencyjne środowisko, w którym jest wielu polityków. Co więcej, tworzy sieciowy wysiłek wielu ludzi pracujących nad wspólnym pomysłem.*

Podsumowując, można powiedzieć, że ostatecznym celem opozycji jest idea demokracji, przy wyraźnym braku zrozumienia zagadnień struktury państwa, gospodarki i innych dziedzin życia publicznego, a także realnej oceny aktualnej sytuacji. Rozwiązanie wszystkich problemów odkłada się na później, kiedy zwycięży demokracja.

Prowadzi to do atmosfery oczekiwania na cud społeczny, który rzekomo się spełni, gdy istniejący reżim zostanie zastąpiony przez demokratyczny. To oczekiwanie jest tym, co naprawdę jednoczy dziś zwykłych przedstawicieli opozycji demokratycznej.

- *Trudno mi mówić o tym, co będziemy robić dalej. Przede wszystkim musisz przełamać istniejący system polityczny, zwiększyć reprezentację polityczną rządzących, a następnie zatrudnić specjalistów, którzy zdecydują, co robić.*

▶ Charakter reżimu jednoczy wszystkich opozycjonistów

Przeprowadzone badania, mimo swojej niekompletności, pozwalają stwierdzić, że istnieje przepaść między rzeczywistymi programami reform państwa i gospodarki a wyobrażeniami o tych reformach wśród działaczy demokratycznej opozycji. Realistycznie myślący przywódcy i ideolodzy rozumieją ten problem.

- *Głównym problemem współczesnej demokracji jest przepaść między kompetencjami elit politycznych a ludnością. Wyborcom trzeba powiedzieć, co rozumieją, a nie co właściwie robią elity polityczne (pracowałem jako asystent kilku gubernatorów, czułem tę lukę). Nie możemy robić tego, czego chcą wyborcy, rozmawiamy z nimi różnymi językami.*
- *Kiedy hasło „Zostaw nasze podatki w regionie!" wychodzi na ulice, nikt nie potrafi wyjaśnić, jakie podatki należy zostawić i jakie będą tego konsekwencje. Oczywiście ludzie powinni mieć przedstawicieli w postaci posłów. Ale z czym ludzie do nich chodzą? Nie w kwestii podatków, ale w kwestii placów zabaw. W tym języku należy mówić.*
- *W warunkach ograniczonych zasobów przekazujemy ludziom wiadomości, które najlepiej do nich docierają.*

W dzisiejszych kręgach opozycyjnych priorytetowym zadaniem jest zmiana reżimu, jednakże przy braku programu kolejnych działań. Świadczą o tym również wydarzenia na Białorusi i pośrednio na obszarze Chabarowska. Liderzy opozycji też to rozumieją.

- *Nie może być ogólnorosyjskiego programu, z wyjątkiem zmiany reżimu.*
- *Pod naszą dyktaturą wszystko jest czarno-białe: jesteś albo za obecnym systemem, albo przeciw. Charakter reżimu jednoczy wszystkich opozycjonistów, nawet o diametralnie różnych poglądach.*

Stąd istnieje niebezpieczeństwo, że w przypadku nagłych przemian demokratycznych dyskusja o konkretnych działaniach utonie w strumieniu nierozwiązywalnych konfliktów politycznych, które pociągną za sobą dezorganizację zarządzania i kolejny kryzys. Może to spowodować masowy powrót do idei rządów „silnej ręki", która przywróci porządek. Z tego powodu należy z wyprzedzeniem pomyśleć o konkretnych krokach, jakie będzie musiał

eprasa.pl 8308ffc301

podjąć nowy rząd. W kluczowych kwestiach potrzebny jest jak najszerszy konsensus. Nie należy próbować omawiać wszystkich problematycznych kwestii, ważne jest, aby ograniczyć się do tych, które nie budzą kontrowersji i wątpliwości. Program powinien być nie tyle opozycyjny (skierowany przeciwko władzy), ile alternatywny i niezależny. Jednocześnie powinien zawierać analizę zabronionych tematów, przede wszystkim odnośnie do polityki zagranicznej. Niestety, istniejące dziś zespoły ekspertów są przestarzałe, wypalone i po ludzku za stare. Liderzy opozycji doskonale zdają sobie sprawę z tego problemu.

W DZISIEJSZYCH KRĘGACH OPOZYCYJNYCH PRIORYTETOWYM ZADANIEM JEST ZMIANA REŻIMU, JEDNAKŻE PRZY BRAKU PROGRAMU KOLEJNYCH DZIAŁAŃ. STĄD ISTNIEJE NIEBEZPIECZEŃSTWO, ŻE W PRZYPADKU NAGŁYCH PRZEMIAN DEMOKRATYCZNYCH DYSKUSJA O KONKRETNYCH DZIAŁANIACH UTONIE W STRUMIENIU NIEROZWIĄZYWALNYCH KONFLIKTÓW POLITYCZNYCH, KTÓRE POCIĄGNĄ ZA SOBĄ DEZORGANIZACJĘ ZARZĄDZANIA I KOLEJNY KRYZYS.

- *Opracowanie dobrego programu jest trudne, kosztowne, ponieważ trzeba płacić ekspertom, i bezużyteczne, ponieważ eksperci są zdemotywowani.*
- *Jakość dokumentów strategicznych opracowanych przez zespoły ekspertów w poprzedniej dekadzie spadła, zwłaszcza po 2018 roku.*

Wyjścia upatruje się w przyciąganiu do pracy eksperckiej przedstawicieli elity rządzącej, zarówno państwowej, jak i biznesowej. Osoby te nie są zaangażowane w tworzenie programów strategicznych i mogą nie mieć do tego niezbędnych umiejętności, ale chętnie wyrażają swoje opinie w wywiadach. Przykładem jest działalność kanału RBC i częściowo OTR, którym często udaje się przyciągnąć silnych ekspertów. Jednak praca tych kanałów jest ograniczona określonymi ramami i nie stawiają sobie one za zadanie usystematyzowania pomysłów ekspertów. Liderzy opozycji, którzy mieli okazję pracować w strukturach rządowych i wielkim biznesie, rozumieją, że urzędnicy wysokiego i średniego szczebla nie zawsze zgadzają się z polityką, którą prowadzą na podstawie rozkazów z góry. Ich doświadczenie i kwalifikacje pozwalają im identyfikować i artykułować problemy do rozwiązania. Ta wiedza będzie nadal pożądana, gdy zmieni się system polityczny. Opozycja powinna postrzegać takie osoby (ukrytych u władzy dysydentów) nie jako wrogów, ale sojuszników, z którymi należy nawiązać współpracę.

Przykładem tego, jak znaczące zmiany w pracy aparatu administracyjnego mogą nastąpić wraz ze zmianą postaw politycznych, są działania byłego gubernatora Kraju Chabarowskiego Siergieja Furgala [gubernator usunięty z urzędu przez Kreml i oskarżony o przestępstwa kryminalne, co wywołało wielomiesięczne lokalne protesty – przyp. tłum.]. Oto ważne świadectwo respondenta:

- *W administracji nie było wielu redukcji. Furgal zintegrował się z systemem, który już istniał, ale administracja zaczęła z nim pracować inaczej.*

W tym kontekście żądanie dymisji Putina stawiane przez opozycję nie wydaje się takie naiwne. Jednak dużym błędem byłoby zadeklarowanie obstrukcji wobec aparatu zarządzającego. Kiedyś bolszewicy zrozumieli to bardzo szybko, a Borys Jelcyn rozumiał to od początku. Celem nie powinna być konfrontacja, ale osiągnięcie narodowego konsensusu, przynajmniej w kluczowych kwestiach. Głównym sposobem jest poszukiwanie kontaktów z cichą opozycją w aparacie państwowym i zdawanie się na ich kwalifikowaną opinię. ■

_____

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 8308ffc301

Marcin Wolski

OD POWIETRZA, GŁODU, WOJNY...

A już można było pomyśleć, że przynajmniej jeden z Jeźdźców Apokalipsy zniknął z naszego widnokręgu. Szczepionki, antybiotyki, profilaktyka, rozwinięta medycyna wydawały się skutecznie chronić ludzkość – a przynajmniej tę lepszą, zasobną jej cześć – od zmory minionych wieków. Zaraza, tak jak wojna czy klęska głodu, pojawiała się wprawdzie mniej regularnie niż pory roku, lecz praktycznie od początków cywilizacji – czarna śmierć, czerwony mór, cholera, tyfus były plagami, które okresowo nawiedzały ludzkość, potem znikały. Nie znano metod leczenie, poza izolacją, toteż przeżywali silniejsi i bogatsi, których stać było na to, by chronić się w odosobnionych rezydencjach. Z czasem zauważono, że epidemie towarzyszą zwykle innym kataklizmom. Czarna śmierć pojawiła się w dziesiątym roku wojny stuletniej, hiszpanka dziesiątkowała ludzkość pod koniec wielkiej wojny, epidemia uderzyła w Polskę po potopie szwedzkim, a cholerę przywlekło w 1831 roku rosyjskie żołdactwo, maszerujące, by zdławić powstanie listopadowe i inne zrywy europejskie.

Czynnikiem sprzyjającym było wycieńczenie społeczeństwa – tak fizyczne, jak i psychiczne. Dżumę Justyniana w latach 541–542, pierwszą prawdziwą pandemię całego ówczesnego świata, poprzedziła klęska głodu, będąca efektem megawybuchu wulkanu Krakatau, którego pyły, przysłaniając popiołami słońce, na parę lat obniżyły temperaturę na Ziemi, ściągając klęskę nieurodzaju. W poszukiwaniu żywności Bizancjum zaczęło ściągać zepsute zboże z Egiptu, nie przejmując się importowanymi z nim szczurami, w których futrze żerowała pchła nosicielka pasteurelli pestis (pałecznika dżumy). Zaraza zaatakowała Konstantynopol – najbardziej ludne miasto ówczesnego świata, potem rozlała się na Bałkany i resztę świata, kładąc kres marzeniom cesarza o odbudowie Cesarstwa Rzymskiego.

Epidemiom sprzyjał rozwój komunikacji i przełamanie granic separujących odrębne dotąd cywilizacje. Indianie okazali się nieodporni na mało groźną w Europie odrę – zmarło na nią 90 proc. mieszkańców Ameryki Środkowej, ale zrewanżowali się syfilisem, który już po roku zaatakował Europę, kosząc dynastie (Jagiellonowie!) i przyczyniając się do reformacji i kontrreformacji. Co ciekawe, że tę wstydliwą chorobę we Francji zwano hiszpańską, w Polsce francuską, a w Rosji polską. Zauważono również, że po dłuższym czasie następowała „odporność stadna" i choroba łagodniała. Odporność zresztą wynikała z wcześniejszych kontaktów z zarazkiem. Dlatego niewolnicy murzyńscy, odporni na bakcyle białego człowieka, zastąpili jako siła robocza Indian w Ameryce. A w Europie największa śmiertelność na dżumę miała miejsce w Wielkiej Brytanii i Skandynawii, natomiast Polacy – od wieków ścierający się z najeźdźcami ze Wschodu – byli na nią zadziwiająco odporni.

INDIANIE OKAZALI SIĘ NIEODPORNI NA MAŁO GROŹNĄ W EUROPIE ODRĘ – ZMARŁO NA NIĄ 90 PROC. MIESZKAŃCÓW AMERYKI ŚRODKOWEJ, ALE ZREWANŻOWALI SIĘ SYFILISEM, KTÓRY JUŻ PO ROKU ZAATAKOWAŁ EUROPĘ, KOSZĄC DYNASTIE (JAGIELLONOWIE!) I PRZYCZYNIAJĄC SIĘ DO REFORMACJI I KONTRREFORMACJI.

Od dawna istniała też pokusa wykorzystywania zarazy jako broni biologicznej. Czarną śmierć w XIV wieku zapoczątkowało przerzucenie przez Mongołów kilku zarażonych trupów przez mury oblężonej Kaffy na Krymie. Jaka jest prawda o rzeczywistych początkach COVID-19, też pewnie się kiedyś dowiemy.

Dżumę ostatecznie wygnało z Europy przybycie w XVII wieku szczura wędrownego, w którym śmiercionośne pchły nie znajdowały właściwego nosiciela. Dlatego wielka zaraza (pustosząca Anglię w latach 1665–1666) opisywana przez Daniela Defoe czy Samuela Pepysa, okazała się ostatnią wygraną czarnej śmierci. Inne zarazy ustały dzięki szczepionkom. Jak będzie teraz? Jedno jest pocieszające – wszystkie znane pandemie trwały maksymalnie dwa lata. Należy zatem czekać, modląc się indywidualnie, by nas to doświadczenie ominęło. ■

eprasa.pl 8308ffc301

Tomasz Sakiewicz

Postęp czy upadek

Spór o stosunek do ludzi upośledzonych, chorych czy niedołężnych dzielił ludzkość zawsze. Nie da się wyraźnie powiedzieć, że coś było charakterystyczne dla jednej epoki pod tym względem i całkowicie zmieniało się w innej. Generalnie jednak rozwój wiązał się z większą troską o ludzi słabszych. Z czego to wynikało? Z chęci posiadania polisy na własną starość i choroby. Od dziecka wyrabiano ludziom szacunek dla starszych, który gwarantował godną starość rodzicom. Ten szacunek był wpisany w wiele religii i systemów kulturowych. Chroniło go prawo obyczajowe, a nierzadko państwowe. Czy były wyjątki? Oczywiście. Drastycznym przykładem była Sparta. Kult siły i sprawnego żołnierza doprowadził do zabijania dzieci kalekich. Dlaczego ciągle powołujemy się na ten przykład? Ponieważ był bardzo odosobniony.

Ludzie chorzy obowiązkowo byli objęci różnymi świadczeniami ze strony całego społeczeństwa. Ci, którzy się nimi opiekowali, na ogół cieszyli się estymą. Pewnym przełomem było tu oczywiście chrześcijaństwo. Jednak i pod tym względem nie wprowadziło ono niczego nowego. Nadało opiece nad ludźmi wymiar duchowy. Nie wiadomo, czy zwiększyło to istotnie troskę o bliźnich, ale na pewno spowodowało ogromną popularyzację samego chrześcijaństwa. Długo religię Chrystusa nazywano religią niewolników lub ludzi słabych. Szybko okazało się, że ludzi, których można uznać za słabych, jest większość.

Nadanie sensu cierpieniu i dowartościowanie pomocy dla chorych i upośledzonych dało chrześcijanom najlepszy PR w historii. Ten PR jednak miał swoją cenę. Było nią absolutne dowartościowanie ludzkiego życia. Człowiek nie musiał już udowadniać potrzeby swojego istnienia, bo jako stworzony na obraz i podobieństwo Boga był wartościowy najbardziej. To zrodziło jednak dalsze konsekwencje. Nikt nie mógł odebrać życia ludzkiego, chyba że w wyniku sprawiedliwej kary albo w samoobronie. Pod tym względem chrześcijaństwo przez dwa tysiące lat niemal się nie zmieniło. Jedyną zmianą był stosunek do kary śmierci, ale nie miał on charakteru doktrynalnego, raczej zaleceń.

Skąd wziął się więc problem aborcji?

Płodność przez ludy pierwotne, ale też niemal do dzisiejszych czasów, traktowana była jako dar niebios. Kobieta płodna dawała potomstwo, które gwarantowało przeżycie rodzicom. Jednak poczucie obowiązku wychowania rodziców lokowano w pochodzeniu biologicznym. Ta całkowicie niechrześcijańska tendencja niestety zdominowała średniowiecze. Konieczność zachowania dziewictwa do ślubu i wierność kobiety wynikały z pragnienia mężczyzn wychowywania własnego potomstwa.

Pomijam tu kwestię czystości, która skierowana była do wszystkich i miała mieć tylko konsekwencje duchowe. I tak jak ze wszystkim grzechami, raczej od czasu do czasu wszyscy mieli z tym problem.

Chęć posiadania wyłącznie biologicznego potomstwa oczywiście tworzyła atmosferę dla pozbywania się dzieci nieślubnych. Mimo wielu fatalnych zmian w dziedzinie obyczajowości XX wiek akurat spowodował tu zmianę mentalności, która ułatwiała wychowanie dzieci niepochodzących ze związków małżeńskich. Pod jednym względem jednak sytuację pogorszył. Właśnie w stosunku do osób niepełnosprawnych. Ludzie odrzucili nie tylko chrześcijańską naukę o wartości życia, lecz zaczęli także podważać sens jakiegokolwiek cierpienia. To miało swoje fatalne konsekwencje w wielu dziedzinach. Zabijanie ludzi starych i chorych pojawiło się najpierw w ustrojach totalitarnych, szczególnie w Niemczech hitlerowskich, ale potem cała ta eugenika została zaadaptowana przez ustroje liberalne. Co ciekawe, programy eugeniczne zaczęły być finansowane przez firmy ubezpieczeniowe, które w ten sposób chcą zmniejszyć sobie koszty obsługi ludzi niedołężnych. Pod tym względem popadamy w istne barbarzyństwo, cofając się dosłownie do epoki kamienia łupanego. Zabijanie dzieci z zespołem Downa i ludzi starych ma ten sam kontekst upadku cywilizacji. Jest kwestią czasu, gdy zezwolenie na likwidację kolejnych grup społecznych stanie się sprawą poprawności politycznej, o ile się temu mocno nie przeciwstawimy. ■

W XX WIEKU LUDZIE ODRZUCILI NIE TYLKO CHRZEŚCIJAŃSKĄ NAUKĘ O WARTOŚCI ŻYCIA, LECZ ZACZĘLI TAKŻE PODWAŻAĆ SENS JAKIEGOKOLWIEK CIERPIENIA.

eprasa.pl 8308ffc301

niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ**
Z **NOWOCZESNOŚCIĄ**

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce

niezalezna.pl

eprasa.pl 8308ffc301